

Nic po Jędraszewskim ■ Granica nas dzieli ■ Europa po wyborach
Polska na mefedronie ■ Niekochany Lewandowski ■ Podglądanie na ekranie

Kraków 12 – 18 czerwca 2024 nr 24 (3910)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

**BOGDAN
DE BARBARO,
psychoterapeuta:
Uczucia,
które dziś
nami rządzą**

STRONY SPECJALNE

KSIĄŻKI
W TYGODNIKU

NAGRODA
LITERACKA
PODRÓŻ HESTII



PIWNICA POD BARANAMI | 21:00

01.07 Henryk Miśkiewicz Quartet – Tribute to Jan Ptaszyn Wróblewski
02.07 Marian Pawlik Quartet
03.07 New Bone
04.07 Jacek Kochan / Dominik Wania / Rafał Sarnecki / Robert Kubiszyn
05.07 Krzysztof Popek Fresh Air Project
06.07 Hildegard Wanzlawe Quartet
07.07 Old Metropolitan Band NIEDZIELA NOWOORLEAŃSKA
08.07 Margo Zuber
09.07 Friends: Baron / Napiórkowski / Galas / Dębski / Czerwiński
10.07 Włodzimierz Nahorny Trio
11.07 Mateusz Pałka Quartet – Tribute to Polish Jazz Masters
12.07 Filippo Dall'Asta & Hot Strings ITALIAN JAZZ DAYS
13.07 Michaela Rabitsch Quartet
14.07 Italian Jazz Night: Mike del Ferro & Kacper Smoliński – Puccini / Aldo Joshua Band feat. Giovanna Marinuzzi / Jam Session ITALIAN JAZZ DAYS
15.07 Boba Jazz Band
16.07 Andrzej Olejniczak – 70-cio lecie urodzin
17.07 Adam Palma / José Torres
18.07 Krzesimir Dębski Project
19.07 Bernard Maseli & DJ Eprom – Warp Travelers
20.07 Krystyna Stańko Trio
21.07 Marek Napiórkowski Trio
22.07 Dorota Miśkiewicz & Marek Napiórkowski
23.07 Orchestra Dedicated – Grobortz & Cronies
24.07 Hornet
25.07 Krzysztof Ścierański Quartet
26.07 Laboratorium
27.07 Funk de Nite feat. Andy Ninvalle
28.07 Maciej Sikala Trio
29.07 Pavel Włosok Quartet
30.07 Mike Parker Trio
31.07 Adam Czerwiński Trio – 40 lat na scenie

HARRIS PIANO JAZZ BAR | 21:30

01.07 Bartek Leśniak Electric Trio
02.07 Organ Spot
03.07 Jam Session
04.07 Sławek Pezda Quartet
05.07 Little Egoists
06.07 Rafał Sarnecki / Piotr Lemańczyk / Adam Golicki – New York Session
07.07 Carmen Vela Quartet NIEDZIELA NOWOORLEAŃSKA
08.07 Marta Wajdzik Experiment
09.07 Nat Osborn / Mike Parker Duo
10.07 Jam Session
11.07 Aldo Joshua Quartet feat. Giovanna Marinuzzi ITALIAN JAZZ DAYS
12.07 Michaela Rabitsch Quartet
13.07 Mike del Ferro Trio feat. Kacper Smoliński ITALIAN JAZZ DAYS
14.07 Dino Massa Quartet ITALIAN JAZZ DAYS
15.07 Szymon Mika Trio
16.07 Hot Swing
17.07 Jam Session
18.07 Ohad Niceberg Trio
19.07 Yanika
20.07 Tomek Grochot Electric Machine
21.07 S. E. A. Trio: Dominik Bukowski / Piotr Lemańczyk / Krzysztof Gradziuk
22.07 Piotr Rodowicz / Karol Dobrowolski Band – Tribute to Maciej Strzelczyk
23.07 Prince JeanPierre
24.07 Jam Session
25.07 AMC Trio feat. Viliam Csontos
26.07 Robert Wypasek Quartet
27.07 Łukasz Kokoszko Quartet
28.07 Adam Kawończyk Quartet
29.07 Tomasz Chyła Quintet
30.07 Ostatnie
31.07 Marcin Ślusarczyk Quintet – Trzaskowski Reminiscences

07.07 NIEDZIELA NOWOORLEAŃSKA

12:00 – 16:00 Koncerty w kawiarniach na Rynku Głównym
Boba Jazz Band / Hot Swing / Playing Family / Old Metropolitan Band
17:00 Parada Nowoorleañska z Rynku Głównego na Plac Szczepański
17:30 Koncert na Placu Szczepańskim
TOPSIDE U.S. Naval Forces Europe Band / Old Metropolitan Band
/ Carmen Vela Quartet UROCZYSTOŚĆ WRECIENIA NAGRODY FESTIWALOWEJ
– BARANKA JAZZOWEGO

ZAMEK W RUDNIE | 19:00

21.07 Jacek Dewódzki & Jacki
17.08 Soul Finger & Magda Hanausek



SUMMER JAZZ FESTIVAL KRAKÓW

29th edition 2024

koncerty klubowe

wydarzenia plenerowe

koncerty klubowe

spiritual music days

GLOBUS MUSIC CLUB | 20:00

04.07 Chicken Trio
05.07 Hildegard Wanzlawe Quartet
06.07 Ilona Damińska Piano & Vocal Solo
11.07 Julia Amirova Trio feat. Iwona Karcz-Wojnarowska
12.07 Dino Massa Quartet ITALIAN JAZZ DAYS
13.07 Filippo Dall'Asta & Hot Strings ITALIAN JAZZ DAYS
18.07 Fuzzy Birds
19.07 Ohad Niceberg Trio
20.07 Krzysztof Fetráš & Tomasz Król Acoustic Guitar Duo
25.07 Piotr Domagała & Martin Wesely
26.07 Tomasz Białowski Trio
27.07 AMC Trio feat. Viliam Csontos

ALCHEMIA | 20:00

31.07 Mateusz Smoczyński & Jan Smoczyński
10.08 Voicings All Stars Radio
VOICINGS FESTIVAL na SUMMER JAZZ FESTIVAL KRAKÓW
Grzegorz Karnas / Manu Domergue / Mateusz Kolański
/ Grzegorz Masłowski / Mateusz Szewczyk
17.08 Adam Pieronczyk & DJ Eprom

SCENA MŁODYCH | 19:00

Pałac Potockich-Zbarskich
12.08 Hulajdusza
13.08 Jan Piwowarczyk Group
14.08 Hania Derej Quintet

TAJEMNICZY OGRÓD | 18:00

pl. Wszystkich Świętych 3-4
17.07 Krakowska Katarynka + Improvizator: Andrzej Olejniczak
24.08 Marek Bałata Performance

RADISSON BLU HOTEL | 20:00

19.07 Sylwia Stańczyk Trio – Tribute to Astrud Gilberto

RADIO KRAKÓW | 20:00

28.07 Piotr Wyleżół International Quartet: Piotr Wyleżół / Andy Middleton / Michał Barański / Ferenc Németh

STRADOM HOUSE | 21:00

09.08 Funk de Nite feat. Andy Ninvalle

KRAKÓW SPIRITUAL MUSIC DAYS | 20:00

Bazylika na Skałce
26.08 Grażyna Auguścik & Jarosław Bester
Klub Alchemia
27.08 Ibrahim Trio: Wassim Ibrahim / Joachim Mencil / Szymon Madej
Klub Alchemia
28.08 Jorgos Skolias & Oleś Brothers – Sefardix
MSITJ Manggha
29.08 Marek Bałata – Niemen- Wspomnienie
MSITJ Manggha
30.08 Urszula Dudziak / Grzech Piotrowski
Auditorium Maximum
31.08 Nigel Kennedy & Band – Spiritual Connection
Radio Kraków
01.09 A Story of Polish Jazz
ROZDZIAŁ ŚMIERCI JARKA ŚMIETANY
Piotr Baron / Marcin Wadołowski / Kajetan Galas / Antoni Dębski
/ Adam Czerwiński / Bzyk / Marcin Guzik / Philip Catherine
/ Cezariusz Gądzina

solo piano week

SOLO PIANO WEEK | 18:00

Filharmonia im. Karola
Szymanowskiego
w Krakowie
25.08 Joachim Mencil
26.08 Mateusz Pałka
27.08 Dominik Wania
28.08 Piotr Orzechowski
29.08 Adam Makowicz
30.08 Włodzimierz Pawlik

BRAD MEHLDAU

Filharmonia im. Karola
Szymanowskiego
w Krakowie
29.06 | 20:00

JAMES CARTER

Radio Kraków
11.07 | 20:00

CHRISTIAN SANDS TRIO

MSITJ Manggha
12.07 | 20:00

JOSÉ JAMES

MSITJ Manggha
15.07 | 20:00

LIZZ WRIGHT

Kino Kijów
18.07 | 20:00

STACEY KENT

Kino Kijów
20.07 | 20:00

NIGEL KENNEDY & BAND

Auditorium Maximum
31.08 | 20:00

specjalne gwiazdy 29. edycji



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



FILHARMONIA
KRAKÓW

INSTYTUCJA KULTURY
WIEDZYSTWA
MAŁOPOLSKIEGO



Instytut
Kultury
w Krakowie



Instytut
Muzyki
w Krakowie



Rada
Miasta
Krakowa



Rada
Miasta
Krakowa

austrackie forum kultury

dwójka
Polskie Radio

TVP
KRAKÓW



Narodowy
Instytut
Muzyki
i Tańca

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury w ramach
programu „Miejskie” realizowanego przez
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca



Radio
Kraków



PWM
EDITION



Rada
Miasta
Krakowa



wyborcza.pl



jazz forum



KRAKÓW



Radisson
BLU



GRAND ASCOT



Rada
Miasta
Krakowa

KS. ADAM

Boniecki: *Umysł, duch i dusza*

PISANIE O KONKRETNYM CZŁOWIEKU JEST RYZYKOWNE. Pisanie dobrze o konkretnym człowieku jest ryzykowne podwójnie. Ale trudno, takim go znam i o takim Bogdanie de Barbaro piszę. Znam go wiele, wiele lat. Kilkadziesiąt. Nigdy nie słyszałem o nim złego zdania, co nie znaczy, że takich zdań nie ma. Pewnie są, jak o każdym. Przecież nie to czyni go wyjątkowym.

W rozmowie z Katarzyną Kubisiowską pt. „Szkoła uczyć” mówi: „Nawet relacje między narodowe uwarunkowane są tym, co czujemy, a w każdym razie to, co myślimy, zależy od tego, co czujemy. Pod spodem myśli kryją się nasze urazy, traumy, kompleksy, duma, marzenia”. Cały on.

Jest lekarzem, lecz manifestuje swoją nieznajomość medycyny – oczywiście poza posiadaną specjalizacją, psychiatrią. Na jej z kolei temat w błahych rozmowach (na przykład ze mną) nigdy się nie wypowiada. W niebłahych – co innego. Napisał kilka świetnych książek, cieszy się szacunkiem i uznaniem w swoim środowisku. Chociaż formalnie jest już na emeryturze, dalej praktykuje jako lekarz, wygłasza odczyty i nadal studiuje. Psychiatria go pasjonuje. Nie mądrzy się przy tym, co jest cechą mądrych ludzi. Zapomina się więc, że jest autorytetem, że potrafi powagą swoich sądów przechylić w debatach szalę diagnoz i ocen jednych poglądów nad innymi.

Sądy o lekarzach bywają twarde, czasem bezwzględne, czasem słuszne, często niesłuszne. Taki jest los lekarzy i z tym muszą żyć, pracować, ryzykować... Pracować często ponad miarę. Podziwiam ich wszystkich, wybrali zawód, który w powszechnej opinii jest dużo więcej niż tylko za-



wodem, więc i wymagania wobec nich są niebotyczne. Mój bohater czuł ten ciężar, lecz nigdy przed nim nie uciekał. Zresztą, co ja wiem o psychiatrach? Mieszanina oddziaływania farmaceutycznego i ludzkiego jest tu dla mnie przedziwna.

Na nas, księży, też mówią „lekarze dusz”. Ciekawe. W moim seminarium w końcu lat 50. zeszłego stulecia takiej formacji nie było. Nikt tak nie myślał, choć oczywiście ksiądz musi umieć rozróżnić, czy ma do czynienia z chorobą, którą trzeba leczyć medycznie, czy z „chorobą duszy”, którą też trzeba leczyć, tylko inaczej. Moje doświadczenie jest takie, że czasem rozpoznam, czasem się pomylę. Może zresztą dziś przyszłych spowiedników tego uczą, tylko że teraz coraz więcej ludzi nie idzie do spowiednika, ale od razu do lekarza. To chyba dobrze, pod warunkiem że lekarz się zorientuje. Zakładamy, że się zorientuje, choć historia – nie tak odległa – pokazuje, jak lekarze się w tych kwestiach mylili. Jak medycyna się myliła...

Czasem potrzebna jest współpraca księdza i psychoterapeuty. Nie jest dobrze, kiedy następuje zamiana ról, kiedy psychoterapeuta chce zastąpić księdza albo ksiądz psychoterapeutę. Kiedyś sam de Barbaro o tym pisał.

Wracam więc do naszego autora i terapeuty: czytajmy go i oglądajmy siebie jak w zwierciadle. Siebie i naszych bliźnich, bliźnich milej niż siebie, ale rozpoczynając od bliźnich w końcu i tak trafimy na siebie, co może okazać się zbawienne. Czytajmy książki de Barbaro – jest wytrawnym znawcą ludzi, naszej prostoty i pokrętności. Więc czytajcie. Jest w tym numerze... ©P

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



● **zapytaj
Adama**

Ks. Adam Boniecki obchodzi w lipcu dziewięćdziesiąte urodziny

Poprosiliśmy redaktora seniora naszego pisma, żeby przy tej okazji zrobił nam wszystkim prezent i odpowiedział na kilka pytań. Nie naszych – Twoich.

Żeby je zadać, napisz na: zapytajAdama@tygodnikpowszechny.pl

W treści maila powinno znajdować się oczywiście pytanie do Jubilata, ale i kilka słów o Tobie. Wybrane pytania i odpowiedzi na nie przeczytacie na www.TygodnikPowszechny.pl | **Jubilat czeka na pytania do 10 lipca 2024 r.! Nie zwlekaj!**

18

Niekochany

MICHAŁ OKOŃSKI

Przed rozpoczynającym się Euro nikt nie pompuje balonika. Polacy zmęczyci się nawet Robertem Lewandowskim.

40

Piłkarska terapia narodowa

ŁUKASZ GRAJEWSKI

Rok 2006 – gdy RFN gościła Mundial – był najlepszym zbiorowym przeżyciem w historii współczesnych Niemiec. Jakie są oczekiwania przed Euro?



30 Nic po nim

ROZMOWA Z TOMASZEM TERLIKOWSKIM:

Abp Jędraszewski poniósł klęskę jako metropolita i przywódca polskiego Kościoła. Nawet biskupi nie potrzebują jego ideologicznych klisz.

74

Pudło myśliwego

KALINA BŁĄŻEJOWSKA

Roman Bratny wydał 120 książek, ale tylko dwie zapisały się w historii. Za pierwszą był uwielbiany, za drugą nienawidzony. A w konsekwencji zapomniany.

**BOHATER
Z OKŁADKI**

88

Szkoła uczyćROZMOWA
Z BOGDANEM
DE BARBARO:

Nawet relacje międzynarodowe uwarunkowane są tym, co czujemy. Pod naszymi myślami kryją się urazy, traumy, kompleksy, duma, marzenia.



56 Podróż do wnętrza pyłku

MARTA PANAS-GOWORSKA,
ANDRZEJ GOWORSKI

Nie zauważamy go, chyba że cierpimy na katar sienny. Dla naukowców to niewyczerpane źródło wiedzy – nie tylko botanicznej.

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Europa: na prawo patrz!
PIOTR OLEKSY

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

16-17 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

18 Niekochany
MICHAŁ OKOŃSKI

22 Szybka ścieżka
MAREK RABIJ: *Media straszą
fentanylem. Bardziej realne zagrożenie
ze strony mefedronu nie budzi
już takich emocji*

26 Kim jest dzisiejszy mężczyzna
SZYMON ŻYŚKO: *Pod określeniem
„kryzys męskości” kryją się różne
zjawiska, w zależności od tego,
kto ów problem definiuje*

■ ■ WIARA

30 Nic po nim
ROZMOWA Z TOMASZEM
TERLIKOWSKIM

34 Jak Pantokratora pisałem
STANISŁAW ZASADA:
*„Szpetny ten mój Chrystus” – mówię.
Ojciec Jacek: „Niech pan da Mu szansę”*

38 Nieistniejąca zasłona
PIOTR SIKORA: *Modlitwa nie jest
oddzielną czynnością. Jest sposobem
życia*

■ ■ ŚWIAT

40 Piłkarska terapia narodowa
ŁUKASZ GRAJEWSKI

43 Ukraińskie ciemności
MACIEJ ZANIEWICZ:
*Eksperti od energetyki przestrzegają:
Ukrainie grozi blackout*

45 Zadyszka trybuna
MAREK RABIJ: *Wraz z mandatem do
utworzenia kolejnego rządu premier
Indii Narendra Modi dostał
od wyborców żółtą kartkę*

TEMAT TYGODNIKA

MACIEJ ŁUCZNIWSKI / REPORTER



12 Granica jest we mnie

MACIEJ ŻYWNÓ,
WICEMARSZAŁEK SENATU RP:

Wszyscy powinniśmy być
murem za mundurem.
Dopóki człowiek noszący ten mundur
zachowuje się przyzwoicie.

■ STRONY SPECJALNE ■

61 MAGAZYN LITERACKI
KSIĄŻKI W TYGODNIKU

69 NAGRODA LITERACKA
PODRÓŻ HESTII

■ FELIETONY ■

39 TOMASZ STAWISZYŃSKI

73 WOJCIECH BONOWICZ

86 OLGA DRENDĄ **87** PAWEŁ BRAVO

94 STANISŁAW MANCEWICZ

94 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: BOGDAN DE BARBARO

FOT.: GRAŻYNA MAKARA

Redaktor prowadzący:
MICHAŁ OKOŃSKI

**46 Co się stało z marzeniem
Mandeli**

WOJCIECH JAGIELSKI, ALEXIO
RASHIRAI: *Afrykański Kongres
Narodowy zwyciężył apartheid. Ale
po 30 latach jego rządów większość
obywateli RPA już go nie chce*

49 Kwestia przetrwania

PATRYCJA BUKALSKA:
*Wystawa Chelsea Flower Show
od 112 lat jest „lustrem” swoich czasów*

■ ■ HISTORIA

**52 Wujek Karli,
zwykły człowiek z SS**
BARBARA TAMBOUR: *To opowieść
o poszukiwaniach, dotyczących udziału
mojego wuja w Holokauście*

**55 Niesłyszana tyrania,
450 lat wcześniej**
WOJCIECH KONOŃCZUK: *Czytanie
tekstów historycznych pozwala lepiej
rozumieć istotę współczesnej Rosji*

■ ■ NAUKA

56 Podróż do wnętrza pyłku
MARTA PANAS-GOWORSKA,
ANDRZEJ GOWORSKI

■ ■ KULTURA

74 Pudło myśliwego
KALINA BŁAŻEJOWSKA

78 Nowe dzieci w bloku
JAN BŁASZCZAK: *Najciekawszy raperzy
młodego pokolenia wracają
do opowiadania lokalnych historii*

81 Najważniejsze to kochać
MICHAŁ WALKIEWICZ:
*Dlaczego oglądam „Hotel Paradise”
i „Love Island”*

84 Szara strefa
ANITA PIOTROWSKA *o filmie
„Do granic” Alejandro Rojas
i Juana Sebastiána Vasqueza*

85 Czytajcie Calvina!
LEKTOR O „Naszych przodkach”
Itala Calvino

■ ■ Z ODDECHEM

88 Szkoła uczuć
ROZMOWA
Z BOGDANEM DE BARBARO

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➡ Władcy Afganistanu

Kolejne państwa Zachodu przyznają, że nie da się dłużej ignorować
talibów – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | [TygodnikPowszechny.pl/StronaSwiata](https://tygodnikpowszechny.pl/StronaSwiata)

➡ Wielka niebieska maskotka

ANITA PIOTROWSKA przygląda się mrocznym stronom Nowego
Jorku w miniseriale „Eric” | [TygodnikPowszechny.pl/weekend](https://tygodnikpowszechny.pl/weekend)

Wybierz swoją prenumeratę... 60
... na stronie

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

EUROPA: NA PRAWO PATRZ!

Wielu obserwatorów wyraża obawy – albo, zależnie od ich poglądów, nadzieje – że te wybory są początkiem wielkich zmian w Unii.

PIOTR OLEKSY

POWYŻEJ:

Przewodnicząca KE Ursula von der Leyen cieszy się z sukcesu Europejskiej Partii Ludowej. Nie może już być jednak pewna reelekcji na swój urząd.
Bruksela, 9 czerwca 2024 r.

CŁOŚCIOWE WYNIKI WYBORÓW DO PARLAMENTU Europejskiego pokazują, jak bardzo zmieniły się nastroje w Unii w ciągu ostatnich pięciu lat. Wyzwania rozwojowe i zagrożenia, które wydają się odległe, zeszły na drugi plan względem obaw podsycanych przez obecne kryzysy. Wprawdzie wyniki dwóch największych ugrupowań nie sugerują wcale dużych zmian. Europejska Partia Ludowa (EPL), do której należą m.in. PO i PSL, zachowała dominującą pozycję, zwiększając nawet liczbę deputowanych o osiem miejsc. Z kolei druga z największych frakcji, Socjaliści i Demokraci, utrzymała dotychczasowy stan posiadania (na podstawie wyników *late poll* z 10 czerwca, godzina 9).

Zmieniło się jednak znacząco ich otoczenie, co zapowiada nową dynamikę zarówno w Parlamencie, jak też w całej Unii.

WYGRANI I PRZEGRANI | Największe straty odnotowali liberałowie z grupy Renew

Europe, tworzonej przez obóz prezydenta Francji Emmanuela Macrona, a także Zieloni. Pierwsza frakcja będzie mniejsza o 22 mandaty, druga o 19. Sukcesy odniosły za to partie prawicowe, w tym te, które zwykle nazywać się eurosceptycznymi lub nacjonalistycznymi.

I tak, we Francji zwyciężyło Zjednoczenie Narodowe, którego liderką jest Marine Le Pen. Na pierwszym miejscu, wyprzedzając rządzącą centroprawicę, znalazła się też Wolnościowa Partia Austrii. Bracia Włosi premier Giorgii Meloni i Fidesz Viktora Orbána potwierdzili pozycję liderów w swoich państwach (choć wybory pokazały, że Fideszowi rośnie poważna konkurencja). Alternatywa dla Niemiec z wynikiem ok. 16 proc. stała się drugą siłą w Republice Federalnej (po centroprawicowej chadecji, CDU/CSU), wyprzedzając tym samym trzy partie rządzącej koalicji Olafa Scholza; dla niego to osobista przegrana. Podobne wyniki, na poziomie 15-18 proc., uzyskały skraj-

nie prawicowa partia AUR w Rumunii i Partia Wolności w Holandii, które rywalizowały tam z blokami sił proeuropejskich.

Przy czym wszystkie wymienione tu partie należą w europarlamentcie do dwóch różnych frakcji lub są niezrzeszone (jak Fidesz i AfD). Konflikty między siłami prawicowymi najpewniej nie pozwolą im stworzyć wspólnego bloku.

GRA O PRZYWÓDZTWO | Trzy największe ugrupowania, które tworzą europejski mainstream – EPL, socjaldemokraci i liberałowie – będą dysponować więc nieco ponad 400 głosami, co daje im zdecydowaną większość w europarlamentcie. Jednak już teraz zaczęła się rozgrywka o najważniejsze stanowiska w Unii, która może przynieść zaskakujące rezultaty.

Obecna przewodnicząca Komisji Ursula von der Leyen będzie starać się o reelekcję. Aby ją uzyskać, musi jednak zdobyć poparcie 351 deputowanych, co nie będzie oczywiste. Dla przykładu: z dużym dystansem podchodzą do niej francuscy członkowie EPL, którzy postrzegają ją jako sojuszniczkę Macrona. Portal Politico twierdzi, że w każdej z trzech centrowych frakcji ponad 10 proc. deputowanych może sprzeciwić się ponownemu wyborowi von der Leyen lub wstrzymać się od głosu.

W tej sytuacji będzie ona musiała szukać wsparcia poza głównym nurtem, co może powodować dodatkowe perturbacje. Już przed wyborami von der Leyen zachęcała do współpracy Giorgię Meloni, której partia należy do frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (tu wspólnie z PiS), co wywołało oburzenie wśród socjaldemokratów. Natomiast odnowienie sojuszu EPL z Zielonymi grozi erozją poparcia w jej własnym ugrupowaniu. Wielu polityków EPL postrzega bowiem Zielony Ład jako jedną z głównych przyczyn wzrostu poparcia dla eurosceptyków i populistów.

IDĄ ZMIANY | Wielu obserwatorów wyraża obawy – lub, zależnie od ich poglądów, nadzieje – że te wybory są początkiem wielkich

zmian w Unii. W odpowiedzi na porażkę swej partii Macron już rozwiązał francuski parlament i zapowiedział przyspieszone wybory. Ta ucieczka do przodu ma zahamować dalszy wzrost poparcia dla partii Le Pen. Przejęcie władzy we Francji przez tę formację mogłoby być prawdziwym wstrząsem dla Europy. Wyniki niedzielnych wyborów zapowiadają też poważne zmiany w Niemczech. Nie dość, że AfD się umacnia, to wśród chadeków z CDU/CSU będzie rosło przekonanie, że drogą do politycznego sukcesu jest przejmowanie kolejnych wątków z narracji skrajnej prawicy.

Na tle osłabionych Macrona i Scholza, liderów dwóch największych państw, zyskują za to Donald Tusk i Giorgia Meloni. Koalicja Obywatelska i Bracia Włosi to jedyne partie rządzące, którym wyborcy przyznali pierwsze miejsce. Tusk utrzymuje aurę przywódcy, który radzi sobie z populistami. Meloni zaś z jednej strony wyraża wzrost nastrojów suwerenistycznych, z drugiej jednak dała się poznać jako wiarygodna partnerka w kwestiach fundamentalnych dla Unii.

MIANOWNIK MINIMUM | Europejski skret w prawo jest więc w istocie znacznie silniejszy, niż sugeruje to wynik wyborów, które mimo wszystko dały większość partiom głównego nurtu. Sukces EPL wynika w dużej mierze z faktu, że jej członkowie zaczęli walczyć z eurosceptykami na ich własnym polu. W kwestiach migracji czy ekologii nowy europarlament będzie mówić zupełnie innym głosem niż poprzedni. Dobrym sygnałem jest zgoda w kwestiach bezpieczeństwa i konieczności zwiększenia zaangażowania Unii w kształtowanie ładu światowego. Wykracza ona poza szyldy partyjne i ideologiczne. Silne podziały i trudności w formowaniu sojuszy mogą skłonić europejską elitę do oparcia współpracy na najmniej wspólnym mianowniku.

Oby to przesunięcie w prawo i polityczne roszady przysłużyły się rozwojowi możliwości strategicznych Unii. ©



Wieczór marzeń

JAROSŁAW FLIS

MÓWIA, ŻE GDY BÓG CHCE KOGOŚ UKARAĆ, TO SPEŁNIA jego marzenia. Stało się to najwyraźniej udziałem Donalda Tuska. Bardzo chciał wyprzedzić Jarosława Kaczyńskiego nie tylko w sondażach, ale i w realnym głosowaniu. I to się w tę niedzielę udało. Jest tylko jeden problem – zyski Koalicji Obywatelskiej mają swoje źródło w podebraniu wyborców koalicjantom. Wskazuje na to wyraźnie zsumowanie procentowego poparcia dla trzech list obozu rządzącego.

Nie są to tylko drugorzędne przepychanki w ramach jednej rodziny. Kluczowe jest to, że cały obóz rządzący osłabł, natomiast obie listy opozycyjne urosły. PiS minimalnie, ale jednak, natomiast Konfederacja wyraźnie. Gdyby te wyniki przeliczyć na mandaty w Sejmie, opozycja mogłaby przejąć władzę. Cały Pakt Senacki zachował minimalną przewagę nad opozycją w liczbie sympatyków, lecz tu akurat niuanse systemu wyborczego działają na jego niekorzyść.

Buńczuczne deklaracje z wieczoru wyborczego, jakoby była to nauczka dla koalicjantów oraz zachęta do szybszych i ostrzejszych rozliczeń poprzedników, rozchodzą się z rzeczywistością. Owszem, jakaś część elektoratu koalicjantów tego pragnie, lecz to nie oni przesądzą o tym, kto będzie rządził po kolejnych wyborach, w szczególności zaś – kto w przyszłym roku zostanie prezydentem.

Rządzący mogą się pocieszać, że tak już jest w wyborach, które nie rozstrzygają o realnej władzy w kraju – elektorat opozycji mobilizuje się na nie bardziej niż ten usatysfakcjonowany sprawowaniem władzy przez swoich reprezentantów. Lecz realne skutki to nie tylko to, kto ma ilu europosłów. Kluczowe są relacje w koalicji.

Czy premier liczy, że sojusznicy spokornieją? Może niektórzy – lecz przypuszczalnie wzrośnie tylko ich nerwowość.

Mogą się też pojawić paniczne ruchy. W ostatnim ćwierćwieczu widzieliśmy już cztery rozpady rozhisteryzowanych koalicji: AWS-UW w 2000 r., SLD-PSL w 2003 oraz PiS z przystawkami w 2007 i 2021. Wszystkie skończyły się porażkami i oddaniem władzy.

Zwycięstwo KO trochę przypomina wiktoria, którą w swym mniemaniu odniósł PiS jesienią zeszłego roku – tak, jesteśmy największi, tylko otoczeni murem niechęci czy zgola wrogości. Donald Tusk mógłby nie naśladować swojego kluczowego adwersarza w potrzebie dominacji nad otoczeniem. Takie upojenie władzą kończy się często bolesnym otrzeźwieniem. ©



Komu wolno strzelać

KRZYSZTOF STORY

PO TRAGICZNEJ ŚMIERCI MATEUSZA Sitka, żołnierza ugodzonego nożem na granicy, oraz po zatrzymaniu trzech innych mundurowych, dyskusja o bezpieczeństwie zmieniła się w polityczną bitkę. Jedna strona *a priori* broni „polskich bohaterów strzegących granic” (cytat z Jacka Sasina) i twierdzi, że prawo (oraz nowy rząd) naraża żołnierzy, nie pozwalając im na użycie broni.

To bzdura. Tylko w maju żołnierze na granicy użyli broni ok. 700 razy, czyli 699 przypadków nie skończyło się zatrzymaniami. Sam Władysław Kosiniak-Kamysz przyznał, że incydent niedaleko Dubicz Cerkiewnych został nagrany, i mocno spuścił z tonu w obronie żołnierzy. Rzetelne rozpatrzenie tej sprawy (bez sterowania z rządowych foteli) powinno być normą w państwie prawa.

To prawo wyraźnie reguluje, kiedy można na granicy strzelać: gdy zagrożone jest czyjeś „życie, zdrowie, wolność”, „ważne obiekty, urządzenia lub obszary” albo kiedy ktoś próbuje nielegalnie przekroczyć granicę „przy użyciu pojazdu, broni palnej lub innego niebezpiecznego przedmiotu”. Co z żołnierzami? – Sił Zbrojnych jako wojska nie można używać na terytorium RP w czasie pokoju – mówi dr Witold Zontek z Katedry Prawa Karnego UJ. – Ustawa o Straży Granicznej pozwala wysłać żołnierzy na pomoc SG, obowiązują ich wtedy te same uprawnienia.

Żołnierze w Puszczy Białowieskiej przy granicy Polski z Białorusią. 3 czerwca 2024 r.



MACIEJ ŁUCZNIWSKI / REPORTER

Żołnierze na granicy są *de facto* strażnikami granicznymi i tak się powinni zachowywać. Mogą korzystać z broni palnej, ale niedopuszczalne byłoby strzelanie np. z haubicy. Stosowane środki powinny być skuteczne, ale możliwie najmniej dotkliwe. Tego oczekujemy od wszystkich służb, a zwłaszcza tych, które broni używają w sąsiedztwie obcego i wrogiego państwa. Potencjalne konsekwencje przypadkowego postrzelenia białoruskiego pogranicznika są trudne do wyobrażenia.

Wielu ekspertów od dawna twierdzi, że granicę powinno zabezpieczać się głównie metodami policyjnymi (tarcze, pałki, ochraniacze), a nie wojskowymi. Policja przez dekady radziła sobie z kibolami, zabezpieczeniem strajków i demonstracji. Na granicy te kompetencje są potrzebne bardziej niż zbyt szybkie palce na spustach. W tym tygodniu Sejm zajmie się prezydenckim projektem ustawy, który idzie w drugą stronę, rozszerzając uprawnienia wojska na granicy (już wiadomo, że będą co do niego wątpliwości konstytucyjne).

– Obecne ramy prawne są jasne – mówi Zontek. – Pytanie, jak wygląda szkolenie w poszczególnych formacjach. Jeżeli ktoś mi mówi, że służby nie wiedzą, jak i kiedy mogą użyć broni, ja, jako obywatel, łapię się za głowę. ©©



Partyzant

PIOTR ŚMIŁOWICZ

ANDRZEJ DUDA ZNANY JEST Z OPINII, KtóRE SPRAWIAJĄ wrażenie sformułowanych pod wpływem impulsu. To najprawdopodobniej trwała cecha naszego prezydenta, odzwierciedlająca się nie tylko w jego wypowiedziach, ale też w całości postępowania. Głowa państwa bardzo często działa pod wpływem impulsów, a także tego, co mu zasugeruje ktoś posiadający na niego w danej chwili znaczący wpływ. Czasem wygląda to wręcz na syndrom ostatniego rozmówcy.

Postać o takiej osobowości może być kłopotem na stanowisku prezydenta, ale zarazem nie pozwala nam się nudzić i dostarcza nieustannych zaskoczeń. Niestety, naraża jednocześnie całe państwo na wpadnięcie w meandry, które mogą być destrukcyjne. Potwierdza to dziewięcioletni dorobek Dudy, obfitujący w zaskakujące zygzyki i wolty, bywa, że zaskakujące nawet dla PiS.

Ostatnim z tych zygzyków jest sprzeciw wobec rządowych planów wymiany ambasadorów. Choć jeszcze w grudniu Duda sprawiał wrażenie skłonnego do akceptacji prerogatyw rządu – odpowiedziałnego za politykę zagraniczną i obsadzanie placówek dyplomatycznych – miał więc zabiegać o pozostawienie na placówkach jedynie swoich dawnych współpracowników.

Ostatnio prezydent zmienił front i zaczął wyrażać generalny sprzeciw, wysuwając przy tym dość absurdalne argumenty.

Wśród nich takie, że czyjś ojciec był działaczem komunistycznym albo że ktoś był ministrem obrotowy w czasie katastrofy smoleńskiej. Fakt, działania rządu zmierzającego np. do odwołania kończącego już swoją misję ambasadora przy NATO, i to tuż przed lipcowym szczytem, również nie zawsze są zrozumiałe. Jednak słowa prezydenta, dyskredytujące kandydatów na ambasadorów przy użyciu niemerytorycznych argumentów, kompromitują jego samego. Wspominając o przeszłości komunistycznej czyjegoś ojca 35 lat po końcu PRL, gdy są podstawy do oceny czyjegoś dorobku w czasach III RP, Duda zachowuje się jak partyzant tkwiący w lesie, choć wojna dawno się skończyła.

Ktoś sformułował pomysł, żeby w centrum Warszawy ustawić licznik odliczający czas do zakończenia kadencji prezydenta, tak jak kiedyś stał ustawiony przez Leszka Balczerowicza licznik rosnącego polskiego długu. Oby prezydent nas przekonał, że to jednak zły pomysł. ©©

NA PUNKTY

WĘZEŁ

Donald Tusk zdecydował, że projekt CPK będzie kontynuowany – twierdzi „Puls Biznesu” – choć termin oddania węzła przesiadkowego między Warszawą i Łodzią, integrującego transport lotniczy, kolejowy i drogowy, zostanie przesunięty. Wcześniej o woli budowy CPK premier poinformował prezydenta, za budową (choć jego głos znaczy coraz mniej) jest także marszałek Hołownia.

WIZJA

Na przesłuchanie przed komisją śledczą ds. afery wizowej kolejny raz nie stawił się Daniel Obajtek, za co spotkała go kara grzywny. Niezawodnie stawił się za to Jarosław Kaczyński, żeby powiedzieć, że w polskie wybory, „i to w sposób niebywale bezczelny”, ingerowały Niemcy.

AZYL

Prezes PiS nie powiedział, czy w polskie wybory ingerowały również Węgry, bo to na ich terenie schronił się nieuchwytny dla komisji śledczej i prokuratury Obajtek. Dziennikarze z Frontstory.pl i Radia Zet ustalili, że b. prezes Orlenu w ostatnich miesiącach korzystał z luksusowego apartamentu przy słynnej alei Andrásyego w Budapeszcie. ©



Zachód potrzebuje lepszej strategii

WOJCIECH PIĘCIAK

WIELE MĄDRYCH SŁÓW – W TYM o wolności i cenie, jaką czasem się za nią płaci – padło w tych dniach na plażach i wojennych cmentarzach w Normandii. Przywódcy wielu krajów czcili tam pamięć żołnierzy, którzy 80 lat temu wyzwolali Europę (choć tylko zachodnią) spod władzy III Rzeszy. W centrum uwagi byli ostatni weterani, stulatnikowie (na zdjęciu: ówczesny sierżant RAF, 100-letni Bernard Morgan). Jeden z nich złapał za rękę biorącego udział w obchodach prezydenta Ukrainy i dziękował mu, że – jak powiedział – jego kraj broni dziś Europę.

Inaczej niż 10 lat temu, przedstawiciela Rosji nie było. W czerwcu 2014 r. Putin stał obok Obamy, Hollande’a i Merkel. Był „mile widziany” (jak ujął to ówczesny prezydent Francji), choć rosyjscy żołnierze „czyścili” już Krym z tego, co ukraińskie, a rosyjski specnaz zabijał już w Donbasie. Większość Zachodu jeszcze nie pojęła, co się właśnie zaczyna.

Teraz, sądząc po słowach, zrozumienie jest. Zwłaszcza gospodarz Emmanuel Macron i przybyły na kilka dni do Francji Joe Biden prezentowali się jako liderzy koalicji, która broni dziś w Europie wolności, i podkreślali, że nie opuszczą Ukrainy w jej wal-

ce. Macron zapowiedział, że Francja przekaze Ukrainie myśliwce mirage (wcześniej, już wkrótce, mają tam trafić pierwsze F16; Holandia, jeden z donatorów, deklaruje, że nie ma ograniczeń, gdy idzie o atakowanie celów w Rosji), i podtrzymał wolę wysłania francuskich instruktorów, by na miejscu szkolili ukraińskich rekrutów. Jedno

i drugie ma sens, także polityczny: pokazuje Putinowi, że Zachód demontuje ograniczenia, które sam sobie narzucał.

Jednak to wszystko dzieje się wciąż zbyt wolno, w zbyt ograniczonym zakresie i stale za późno. Aby zatrzymać Putina i jego neo-imperialny projekt, Zachód potrzebuje nie tylko pakietów

klebionych *ad hoc*, lecz lepszej strategii. Uwzględniającej fakt, że wróg nastawił się na długi konflikt. Putinowi udało się rzecz naprawdę znacząca: z wojny (gorącej z Ukrainą i podprogowej z Zachodem) uczynił model polityczno-biznesowo-społeczny dla państwa i społeczeństwa. Koktajl ideologii i pieniędzy sprawia, że nowi żołnierze zapełniają lukę po zabitych, za którymi Rosja nie rozpacza.

Problem Zachodu polega na tym, że w ślad za słowami – także tymi głoszonymi w Normandii – wciąż nie idą adekwatne czyny. ©



LOIC VENANCE / AFP / EAST NEWS



Frankowicze kontra państwo

MAREK RABIŃ

PRZED SĄDEM OKRĘGOWYM w Warszawie ruszył proces z pozwu zbiorowego o ustalenie odpowiedzialności państwa polskiego – zwłaszcza instytucji nadzorujących banki – za dopuszczenie do obrotu umów kredytów walutowego zawierających klauzule niedozwolone. Wygrana otworzy frankowiczom drogę do odszkodowań od Skarbu Państwa.

Co najmniej od 2002 r., jak piszą pozujący, „organy państwowe w pełni identyfikowały wysokie ryzyko związane ze sprzedażą umów objętych ryzykiem walutowym, wiedząc równocześnie o tym, że kredytobiorcy tych ryzyk nie identyfikują, a kredyty objęte ryzykiem walutowym masowo sprzedawane są jako produkty bezpieczne i atrakcyjne”. Ich zdaniem ani ówczesna Komisja Nadzoru Fi-

nansowego, ani inne instytucje państwowe nie zareagowały na to zagrożenie w adekwatny sposób. Umowy frankowe na masową skalę unieważniają teraz polskie sądy dzięki orzeczeniom Trybunału Sprawiedliwości UE, który niejako wszedł w rolę, której unikało państwo.

Według szacunków stowarzyszenia Stop Bankowemu Bezprawiu, w okresie przed serią orzeczeń TSUE, gdy sądy w Pol-

sce z reguły nie uwzględniały punktu widzenia kredytobiorców, ok. 30 tys. klientów niespłacających kredytu, którego obsługi przeszła ich możliwości, zostało zlicytowanych przez banki. Odszkodowanie od państwa pozwoliłoby im odzyskać pieniądze. Pozujący twierdzą też, że chodzi im o wywarcie nacisku na instytucje państwowe i banki, aby w przyszłości respektowały prawa konsumentów.

Po ogłoszeniu terminu rozprawy frankowicze, którzy zaciągali kredyty w latach 2002-06, będą mieć ok. 90 dni na dołączenie do pozwu zbiorowego. ©



**KS. RYSZARD SKOWRONEK,
FORMATOR DIAKONÓW:**

*Diakonat stały dopełnia
wielowiekowy brak
w Kościele*

EDWARD AUGUSTYN: W ubiegłym tygodniu odbyło się spotkanie osób odpowiedzialnych za stały diakonat w Polsce. Kim są stali diakoni i ilu ich jest w naszym kraju?

KS. RYSZARD SKOWRONEK: Diakonat stały to forma życia i posługi w Kościele znana w czasach apostołów, a przywrócona przez Pawła VI w 1967 r. W Polsce została wprowadzona w 2001 r. Do dziś decyzję o jego wprowadzeniu podjęło 18 diecezji. Posługę diakona stałego pełni ponad 100 mężczyzn, którzy przyjęli z rąk biskupa święcenia – takie same, jak przyjmują klerycy przygotowujący się do sakramentu kapłaństwa, tyle że w przypadku diakonów stałych mówimy o wyborze na całe życie, a nie o etapie w drodze do prezbiteratu. Zatem – te same święcenia, ale inna forma życia i inne powołanie.

Diakoni stali mogą prowadzić niektóre nabożeństwa, np. pogrzebowe, udzielać chrztów, asystować przy zawieraniu małżeństw, głosić homilie czy rekolekcje. Pomagają w celebracjach liturgicznych biskupa i prezbiterów. Podczas liturgii mają prawo nosić strój diakona – białą albę i stulę przewieszoną przez ramię. Szczególnym powołaniem diakonów jest posługa miłosierdzia – prowadzenie parafialnych czy diecezjalnych dzieł charytatywnych, pomoc bezdomnym i chorym.

W ciągu ostatnich pięciu lat liczba diakonów wzrosła trzykrotnie. Zwiększyło się zapotrzebowanie czy biskupi zaczęli lepiej rozumieć ich rolę?

Zapotrzebowanie jest przesłanką najsłabszą, bo nie chodzi o to, że diakoni mają zastępować księży, gdy ich brakuje. Diakonat stały to przywrócenie formy życia, która była kiedyś obecna w Kościele. Dlatego wprowadza go coraz więcej diecezji – by ten brak do-

pełnić. W ostatnim roku taką decyzję podjęło czterech biskupów, kilku innych do tego się przygotowuje.

Innym istotnym powodem wzrostu liczby diakonów jest odkrywanie tego powołania przez mężczyzn, którzy widzą w diakonacie stałym swoją drogę.

Kto może zostać diakonem stałym?

Każdy ochrzczony mężczyzna, żonaty lub nie, który przejdzie odpowiednie przygotowanie i zostanie dopuszczony do święceń na podstawie rozeznania, czy ma odpowiednie cechy – ludzkie, duchowe, intelektualne. Musi też cieszyć się dobrą opinią wśród wiernych. W przypadku mężczyzn żonatych warunkiem jest ukończenie 35. roku życia i co najmniej 5-letni staż małżeński, a także pisemna zgoda żony. Od kawalerów wymagane jest ukończenie 25 lat życia oraz decyzja o dalszym życiu w celibacie. Ale w Polsce, podobnie jak i w innych krajach, większość diakonów stałych jest żonatych.

A jeśli żona po jakimś czasie zmieni zdanie? Może cofnąć zgodę?

Zgoda żony jest wymogiem prawnym do przyjęcia sakramentu, ale chodzi nie tylko o zgodę na diakonat męża, ale o wewnętrzną zgodę na bycie żoną diakona. Dlatego jest nieodwołalna, podobnie jak święcenia diakonatu. Z tego też względu ważne jest rozeznanie, czy podjęcie posługi nie będzie ze szkodą dla rodziny kandydata. A żony i rodziny kandydatów są włączane w ich formację i przygotowanie. Dla diakona żonatego pierwszym powołaniem pozostaje jego małżeństwo i rodzina.

KS. RYSZARD SKOWRONEK jest prezbiterem Archidiecezji Katowickiej i dyrektorem tamtejszego Ośrodka Formacji Diakonów Stałych.

Warszawa poza uniwersum Swift?

POPKULTURA ■ Amerykańska supergwiazda Taylor Swift (na zdjęciu) rozpoczęła czteromiesięczną trasę koncertową po Europie i ma już za sobą występy w Paryżu, Sztokholmie, Lizbonie i Edynburgu, a na początku sierpnia pojawi się w Warszawie.

Oczekujący piosenkarki Liverpool zmienił oficjalnie swoją nazwę na Taylor Town, a Londyn uruchomił specjalną stację radiową, która odtwarza wyłącznie piosenki Swift. Ponieważ agencje reklamowe na bieżąco monitorują, co dzieje się w miejscach umieszczonych na mapie The Eras Tour, wiemy, że „najbardziej instagramowym miastem europejskim” z potencjałem reklamowym dla Taylor jest dziś stolica Wielkiej Brytanii, a Warszawa zajmuje w tym rankingu miejsce ostatnie, zaraz za Zurychem. I bardzo dobrze.

Popularność Taylor Swift osiągnęła tak niepomierne rozmiary, że jej twórczość przestaje się oceniać w odniesieniu do jakości kolejnych albumów czy w porównaniu do osiągnięć innych artystek i artystów muzyki pop. Swift od wielu lat konsekwentnie tworzy bowiem nie katalog piosenek, a uniwersum w stylu Disneya czy Marvela, zagarniając swoją twórczością zarówno inne postaci popkultury, jak i – całkiem świadomie – także ich życie.

Jak to możliwe? Piosenki Swift mają zwykle formę wyznania bliskiego autobiografii, pełne są wskazówek dotyczących szczegółów jej życia oraz aktualnych i byłych związków z gwiazdami muzyki, filmu czy sportu. Swoje wskazówki (konkretnie słowa albo liczby) Swift umieszcza zresztą nie tylko w piosenkach, ale też teledyskach czy reklamach, a nawet na strojach, w których występuje publicznie.

A ponieważ wszyscy słuchamy muzyki, trzymając w ręku smartfon, rozpoczynając śledztwo w sieci, momentalnie podbijamy piosenkarce przeróżne wskaźniki w internecie. W ten sposób mimochodem pomagamy też tworzyć specyficzną franczyzę, która powoli wciąga w swoją orbitę, a następnie wchłania nie tylko byłych i obecnych partnerów piosenkarki, ale również – jak się okazuje – całe miasta, prześcigające się w byciu najbliższą gwiazdą.

Cóż, jak wiadomo z lekcji fizyki, będąc w tak ciasnym układzie z kimś o tak dużej sile grawitacji, pozwalamy na rozproszenie własnego światła.

© MONIKA OCHĘDOWSKA



DAVID FISHER / EAST NEWS

Biden idzie w ślady Trumpa i uszczelnia granicę

WYBORY W USA ■ Walcząc o głosy wyborców, Joe Biden musi pokazać, że panuje nad napływem migrantów. W podpisanym 4 czerwca dekrety prezydent zakazał ubiegania się o azyl osobom, które stawiają się na granicy między oficjalnymi przejściami granicznymi. Restrykcje obowiązują, gdy przez siedem dni z rzędu liczba nielegalnych przejść przez granicę wynosi powyżej 2,5 tys. dziennie (restrykcje nie dotyczą nieletnich, ofiar handlu ludźmi i osób mających poważne problemy zdrowotne). Czyli to zakaz na stałe, bo od początku prezydentury Bidena napływ migrantów nie słabnie. Przez pierwsze dwa dni od podpisania dekretu deportowano tysiące osób m.in. z Uzbekistanu, Meksyku, Ekwadoru, Gwatemali i Peru. Upiekło się tym, których ze względów dyplomatycznych lub logistycznych trudno odesłać do kraju pochodzenia.

Biden twierdzi, że restrykcje mają pomóc opanować sytuację na granicy, i obciąża nią Republikanów. Ci, aby zaszkodzić mu przed wyborami, w lutym zablokowali reformę mogącą uzdrowić politykę migracyjną (przewidywała m.in. tymczasowe uszczelnienie granicy). Dziś Republikańskie oceniają dekret Bidena jako zbyt słaby,



Nielegalni migranci zatrzymani na granicy Meksyku i USA w Ciudad Juárez, 22 kwietnia 2024 r.

Demokraci wytykają mu zaś, że idzie śladem Trumpa. Prezydent działa na podstawie tych samych przepisów, które w 2017 r. posłużyły Trumpowi do zakazania wjazdu obywatelom kilku krajów islamskich.

Biden nie pierwszy raz postępuje jak poprzednik: po dojściu do władzy utrzymał w mocy jego pandemiczne restrykcje, ułatwiające deportację migrantów przekraczających nielegalnie granicę. Gdy wreszcie zniósł przepisy, dał zielone światło funkcjonariuszom, by odmawiać procedury azylowej osobom bez dokumentów lub takim, które w drodze do USA mogły poprosić o ochronę w innym kraju.

Dekret to próba poprawy notowań przed wyborami prezydenckimi. Według kwietniowego sondażu AP/NORC aż 68 proc. Amerykanów źle ocenia jego politykę mi-

gracyjną, a to jedna z kluczowych kwestii. Około 53 proc. chce restrykcji azylowych, a 42 proc. oczekuje budowy muru na granicy z Meksykiem. Za zaostrzeniem są nawet niektórzy Latynosi, elektorat kluczowy dla Bidena.

Dekret migracyjny prawdopodobnie zostanie zaskarżony w sądzie. NBC cytuje Lindsay Toczyłowski, aktywistkę rozczarowaną obecnym prezydentem: „Cztery lata temu wmawiano nam, że Biden przywróci człowieczeństwo na granicy. Ale znów widzimy, że historia się powtarza”.

Demokrata nie przewidział, że od początku jego rządów na granicy zatrzymanych będzie ponad 6,4 mln nielegalnych migrantów.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.

Nadwaga przenoszona drogą płciową

ZDROWIE ■ Dzieci osób z nadwagą same częściej mają nadwagę – to wiemy od dawna. Klasycznie uważa się, że odpowiadają za to dwa główne zjawiska. Po pierwsze, geny. Badania pokazują, że jeżeli oboje rodziców jest otyłych, to prawdopodobieństwo, że ich dziecko również będzie otyłe, wynosi 80 proc. Jeśli rodzice mają wagę normalną, to prawdopodobieństwo wynosi tylko 14 proc. Drugi jest czynnik śro-

dowiskowy: rodzice mogą przekazywać swoim dzieciom nie tylko geny, ale i złe nawyki żywieniowe. Po wielu dekadach badań wiemy już, że u ludzi działają obydwa te czynniki.

Jak się jednak właśnie okazało, jest i trzecie źródło „transmisji nadwagi”, dość niespodziewane. Gdy dochodzi do zapłodnienia, plemnik i komórka jajowa wymieniają się nie tylko genami, ale również wnętrzem swoich komórek. Okazuje się, że niektóre cząsteczki pływające w cytoplazmie plemnika potrafią nie tylko przetrwać, ale też wpływać na rozwój zarodka, a ich wpływ może utrzymywać się przez całe życie potomka. W opublikowanym

5 czerwca w „Nature” badaniu (A. Tomar i współpracownicy) udało się namierzyć populację takich cząstek – należących do wielkiej klasy cząstek RNA – które wpływają na to, w jaki sposób organizm radzi sobie z przetwarzaniem cukru. Choć eksperyment przeprowadzono na myszach, wyniki niemal na pewno stosują się też do ludzi.

Co niezwykle, nie porównywano ze sobą plemników od gryzoni otyłych i od tych o zdrowej wadze. Wykonano skromniejsze doświadczenie: zwierzęta przez dwa tygodnie karmiono dietą wysokotłuszczową (lub kontrolnie: zwykłą). W plemnikach myszy spożywających za dużo tłuszczu

czy pojawiły się cząsteczki RNA, które zostawiały po sobie mierzalny ślad u ich potomków. Chociaż myszki narodzone z ojców „wysokotłuszczowych” nie miały nadwagi, wystąpiły u nich niepokojące objawy metaboliczne: ich organizmy m.in. słabiej przetwarzały glukozę i wykazywały insulinooporność, czyli nieumiejętność prawidłowego reagowania na insulinę, co może skończyć się cukrzycą typu 2.

Wpływ diety jest jednak odwracalny. Myszym wystarczyło zaledwie sześć tygodni na zwykłej diecie, aby ich plemniki na nowo otrzymywały „prawidłowy” zestaw cząstek RNA. © ŁUKASZ ŁAMŻA

TEMAT
TYGODNIKA

GRANICA JEST WE MNIE

MACIEJ ŻYWNO, WICEMARSZAŁEK SENATU RP:

Wszyscy powinniśmy być murem za mundurem.
Dopóki człowiek noszący ten mundur
zachowuje się przyzwoicie.

KRZYSZTOF STORY: Pamięta Pan ostatnie wyjście do lasu? Ostatnich ludzi, ostatnie twarze migrantów?

MACIEJ ŻYWNÓ: To jest nie do zapomnienia, chociaż minęło półtora roku. Pamiętam rodzinę, gdzie był ojciec z dwójką dzieci. Syn miał nogę pogryzioną przez psy białoruskich pograniczników, a dziewczynka zwichniętą rękę. Byli przemarznięci, bo był 10-stopniowy mróz. A na samym końcu było dwóch Etiopczyków, młodych chłopaków, znaleźliśmy ich wyziębionych pod drzewem. Pomogliśmy, ile mogliśmy. Później zostali namierzeni przez polskie służby i wywiezieni na białoruską stronę.

To była wyjątkowa historia: państwowiec, radny, były wojewoda podlaski, pakuje plecak ratowniczy, strażacki kombinezon i chodzi do lasu ratować migrantów. Dwa lata temu najprędzej spotkalibyśmy się gdzieś pod płotem granicznym, a teraz rozmawiamy w gabinecie wicemarszałka Senatu.

Dzisiaj robię wszystko, by do tego lasu nie wrócić. Mnie wyciągnęła stamtąd choroba córki – to był dzwonek alarmowy. Chciałbym to powiedzieć wszystkim wolontariuszom: macie prawo wyjść, zadbać o siebie, swoją rodzinę. Współczuję tym, którzy mieszkają przy granicy, oni nie mogą tak łatwo od tego uciec. Wszystko dzieje się pod ich oknami. To duże obciążenie.

Kilka dni temu wrócił Pan na granicę, już w roli senatora. Jakie były reakcje mundurowych?

Bardzo różne. Od bardzo profesjonalnych i merytorycznych po sytuację, w której skierowano mnie w innym kierunku, mimo że dokładnie wiedziałem, pod który słupek chcę się dostać, bo po interwencjach i pismach chciałem osobiście zweryfikować, czy Straż Graniczna pisze prawdę, że na tym fragmencie granicy nie ma żadnych ludzi.

Byli. W kadrze widać rodzinę, ojciec trzyma na ręku małe dziecko zawinięte w moskitierę, bo komary tną na bagnach. Obok wicemarszałek Senatu dużego europejskiego

kraju. Między nimi stalowy płot wysoki na 5,5 metra. Smutne to zdjęcie.

Takich spotkań miałem dziesiątki jako ratownik, ale teraz chyba jeszcze mocniej czułem bezradność. Sytuacja dzieci na granicy jest dla mnie dzisiaj najwyższym priorytetem, to jest do załatwienia „na już”. Dzieciaki nie wybrały sobie takiego losu. Zadaniem dorosłych, także nas, jest udzielenie im pomocy i wyciągnięcie z trudnej sytuacji.

Rozmowa o sytuacji dzieci jest też chyba łatwiejsza politycznie.

Wręcz przeciwnie, bo niektórzy traktują wszystkich ludzi na granicy jako „pociski Putina” – wszyscy wiemy, że migracja jest elementem wojny hybrydowej przeciwko Polsce. Moim zdaniem obrona własnych granic jest oczywistością, ale nie może usprawiedliwiać wszystkiego.

W wielkich geopolitycznych strategiach ciężko nie stracić z oczu człowieka w lesie. Pan ma tę perspektywę. Często wracają do Pana wspomnienia?

Czasem myślę, że mam to już za sobą. W lesie starałem się nie nawiązywać relacji, nawet nie zapamiętywać imion, bo jeszcze z czasów w straży pożarnej wiem, że najbardziej skuteczny jesteś, kiedy działasz jak automat.

A do dziś czasem przychodzi sytuacja, w której głos mi się łamie. Kiedyś byłem z córką w KFC, mamy taką tradycję, że czasami jedziemy na smażonego kurczaka. Nie dlatego, że smaczny, tylko dlatego, że je się rączkami. Patrzyłem na nią i zaczęły mi lecieć łzy. Ona pyta: „czemu płaczesz? Czy ja brzydko jem?”. A ja miałem przed oczami dzieciaki, które też jadły rączkami w lesie, żeby szybko najeść się ciepłego. Przez moment zobaczyłem w tej roli swoją córkę i nie wytrzymałem.

W książce Mikołaja Grynberga „Jezus umarł w Polsce” mówił Pan: „nigdy bym nie uwierzył, że z państwowca stanę się partyzantem, który chowa się po lesie”. Był Pan inwigilowany, tak jak wielu innych wolontariuszy. Dzisiaj reprezentuje Pan władzę, która wtedy krytykowała PiS, a teraz traktuje migrantów dokładnie tak samo.

I cały czas czuję nad sobą bat, by przekonywać do zmiany podejścia na bardziej humanitarne. Jestem częścią koalicji, ale nie zasiadam w rządzie, a MSWiA to resort, za który odpowiada Platforma Obywatelska.

Powiedzenie „to nie ja, to Donald Tusk” jest chyba zbyt prostą wymówką.

Dlatego pojechałem na granicę. Dlatego publicznie krytykuję plany wprowadzenia zamkniętej strefy buforowej, bo poza ogromnymi stratami dla turystycznego regionu nie daje ona żadnych korzyści, służby mogą skutecznie działać bez niej. Tego samego próbowało PiS i skończyło się tym, że sądy masowo uchylały wolontariuszom mandaty za wjazd do strefy, bo ratowanie życia jest stanem wyższej konieczności.

Ta strefa miała zacząć obowiązywać 4 czerwca rano.

W rocznicę demokratycznych wyborów, w święto wolności, ograniczamy wolność bez żadnych uzasadnień i konsultacji. Genialny pomysł, prawda?

Ostatecznie ten pomysł wrócił do konsultacji, zobaczymy. Dużo nadziei pokładałem w Tomaszu Siemoniaku, nowym ministrze spraw wewnętrznych. Pracowałem z nim, wiem, że ceni inne rozwiązania niż siłowe. Zresztą od razu zaprosił mnie na rozmowę, poprzedni minister nie widział takiej potrzeby. Myślę, że gdyby ta nominacja nastąpiła dwa miesiące temu, nie dyskutowalibyśmy dzisiaj o niepotrzebnej strefie zamkniętej.

Sytuacja na granicy z Białorusią jest napięta jak chyba nigdy wcześniej. Zginął polski żołnierz.

Składałem wyrazy współczucia rodzinie i bliskim zmarłego.

Z drugiej strony mam tu film z granicy – polscy mundurowi biją pałkami i kopią leżącego na ziemi człowieka. Obaj wiemy, że to nie jest jedyne takie nagranie. Za nowe władzy mieliśmy już nie oglądać takich scen.

Nowa władza nie zmieniła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki służb mundurowych, które kadrowo zostały naprawdę przemielone przez PiS. ➔

Puszcza Białowieska przy granicy z Białorusią. 3 czerwca 2024 r.

→ Tak nieprofesjonalne zachowania nigdy nie powinny mieć miejsca.

„Nieprofesjonalne” – spory eufemizm. Od zaprzysiężenia rządu Donalda Tuska na granicy zginęło co najmniej 10 osób, od początku kryzysu – ponad 80. Po zmianie władzy wymieniono komendantów, ale nie słyszałem, by któregoś z funkcjonariuszy spotkała jakakolwiek kara. Prokuratura dopiero teraz zaczyna badać te sprawy – minister Bodnar utworzył specjalny zespół w tej sprawie.

Świadomie unikam mocnych słów, bo bez konkretnych dowodów one tylko szkodzą. Nie jestem prokuratorem, moja rola jest zupełnie inna, ale tak – ja też oczekuję, że takie przypadki będą wyjaśnione do spodu. Powiem krótko: ci ludzie są od tego, żebyśmy mieli szczerłą granicę i wszyscy powinniśmy być murem za mundurem. Dopóki człowiek noszący ten mundur zachowuje się przyzwoicie.

A co Pan sądzi o aresztowaniu dwóch żołnierzy, którzy oddali strzały ostrzegawcze w powietrze i w ziemię przy grupie migrantów? Prokuratura uważa, że mogli przekroczyć uprawnień i narazić życie migrantów i kolegów ze służby.

Nie znam wszystkich szczegółów i nie chcę wydawać krzywdzącego osądu. W przypadku agresji powinno się używać środków adekwatnych do zagrożenia. Stosowanie broni palnej jest groźne, także ze względu na zakaz strzelania w kierunku innego kraju, bo rodzi to także większe konsekwencje. Służby muszą być odpowiednio wyposażone i przeszkolone do działania w takim obszarze. Czekam jednak na więcej szczegółów tej sytuacji.

Wydaje mi się, że nasza rozmowa może oburzyć ludzi po obu stronach sporu. Bo to spór, w którym część ludzi chce, cytując media społecznościowe, „strzelać do migranckiego bydląt”, a druga oczekuje natychmiastowej zmiany i traktuje państwo jak rasistowskiego zbrodniarza. Czy tak się w ogóle da rozmawiać?

Ja staram się być takim mostem, który do znudzenia będzie powtarzał: bezpie-

czeństwo
nie musi wykluczać empatii,
a empatia
– troski o bezpieczeństwo.
Ochrona granicy
nie oznacza wywózek
nocą do lasu.

czeństwo nie musi wykluczać empatii, a empatia – troski o bezpieczeństwo. Że ochrona granicy nie oznacza wywózek nocą do lasu. Że dzieciom należy się pomoc, że mundurowi zasługują na szacunek do swojej pracy, jeśli dobrze ją wykonują. Że po obu stronach tej granicy są ludzie.

Czasami myślę, że prościej było w lesie. Byłem ja i cierpiący człowiek naprzeciwko mnie. Mogłem pomóc tu i teraz, skupić się tylko na nim, nie musiałem patrzeć szerzej. Ale wiem, że przyjdzie moment, kiedy mosty będą potrzebne.

Kiedy? Bo mija pół roku, odkąd szef Pana partii, Szymon Hołownia, zaprosił uchodźców do Sejmu na kolację wigiliijną. Piękny, symboliczny gest, za którym nie poszły żadne konkrety. Wywózki jak były, tak są.

Czy pół roku to dużo czasu na zmianę polityki migracyjnej państwa?

Dla 10 osób zmarłych na granicy i ponad tysiąca wywiezionych na białoruską stronę od zmiany władzy to o wiele za dużo.

Przykład: dzisiejsze służby są spadkiem po poprzedniej władzy. I kiedy premier przyjeżdża na granicę, siada z nim kilku oficerów i wszyscy doradzają wprowadzenie strefy zamkniętej – to są rekomendacje merytoryczne, nie polityczne. Tylko że bez udziału samorządów, ekspertów od zarządzania kryzysowego itd. Jeśli mamy tylko młotek, każdy problem staje się gwoździem. Zbudowanie nowej perspektywy trwa, tutaj liczy się też moje doświadczenie. Nie tylko jako ratownika, ale też woje- wody, radnego, człowieka, który lata temu pracował przy budowie przejść

granicznych i współpracował z funkcjonariuszami SG. Ba, nawet dwukrotnie byłem odznaczony medalem „Za zasługi dla Straży Granicznej”.

I nie zgadzam się, że nic się nie zmienia. Pamięta pan konferencję sprzed 2 lat, na której minister Kamiński pokazywał ściągnięte z internetu zoofilskie treści jako dane z telefonu uchodźcy?

Pamiętam. Tylko że nowa władza też potrafi uderzyć w antyimigranckie tony, choć może subtelniej. Znam wiele osób, z którymi chodził Pan do lasu jako ratownik. One są dzisiaj niesamowicie rozczarowane, bo miały proste oczekiwanie: że ludzie przestaną umierać w lesie. A Pan?

Robię to, co oni i one. Staram się tę sytuację zmieniać, jak tylko mogę. Nie tylko na Wiejskiej w Warszawie. Pracujemy z zastępcą rzecznika praw dziecka nad pomocą dla dzieci na granicy. We współpracy z prezydentem Białegostoku i jedną organizacją pozarządową prawdopodobnie wkrótce uda się otworzyć nową placówkę wychowawczą, bo te istniejące są przepełnione. Rodzinie, którą spotkałem teraz na granicy, też być może uda się pomóc, właśnie dzięki tej wizycie.

Chcę panu pokazać, że są przestrzenie, w których da się budować – często najlepsze rzeczy dzieją się po cichu, bez żadnego rozgłosu. I to wszystko by się nie działo, gdybym rzucił się jak Rejtan w bohater- skim geście oporu i np. zrzekł się mandatu.

W książce Mikołaja Grynberga mówi Pan: „Widziałem helikoptery, rosomaki i setki mundurowych polujących na ludzi, którzy nie byliby w stanie rzucić patykiem. Ani razu nie spotkałem agresywnego uchodźcy”. To się ostatnio zmieniło.

Tak. Nie wiemy, czy powodem są działania białoruskich służb, czy desperacja migrantów, ale nam zostaje proste pytanie: jak sobie z tym radzić? Na pewno nie strzelając, bo w pasie granicznym zabłąkana kula może szybko wywołać międzynarodowy konflikt albo odbić się rykoszetem od stalowego płotu.

Wiem, że to porównanie budzi kontrowersje, ale dobrze oddaje realia. Nawet jeśli zdarzają się agresywni migranci, to nie są przecież żołnierze. Te sytuacje

mogą co najwyżej przypominać rozróby na stadionach piłkarskich. I nie bez powodu na stadiony posyłamy policję, a nie wojsko. Są lepiej do takich sytuacji przeszkoleni i wyposażeni, choćby w tarcze i ochroniacze. Adekwatna, sprawna reakcja służb powinna być standardem.

Nie dziwi mnie duże poparcie dla zamknięcia przygranicznej strefy. Wiadomość o zmarłym żołnierzu dżgniętym nożem przez migranta budzi strach.

I mamy prawo się bać. To jest też zadanie dla władzy, być może najważniejsze. Pozwolić ludziom się bać i ten strach oswajać. Jeśli ludzie pytają o to, czy ich dzieci będą bezpieczne, czy migranci nie zabiorą im pracy albo skąd wiemy, że nie ma wśród nich terrorystów – to mają prawo pytać, a państwo musi mieć na te pytania odpowiedzi, plany i narzędzia do ich realizacji.

Pamiętam początek tego kryzysu, kiedy spokojnie siedziałem w domu i obserwowałem sytuację w Usnarzu Górnym. Miałem absolutną pewność, że zaraz system zarządzania zadziała. To jest przecież podstawa ratownictwa: widzę wypadek, dzwonię pod 112 i przyjeżdża „państwo”. Państwowa, czyli nasza, karetka, ratownicy, jadą do publicznego szpitala, a człowiek, który wykonał telefon, może spokojnie to obserwować. Na tym pograniczu państwo skapitulowało. Do lasu musieli pójść wolontariusze. Wykonywałem tam zabiegi, których normalnie bym nie robił jako ratownik, tylko bym zabezpieczył i czekał na ambulans. Tylko że wiedziałem, że nikt nie przyjedzie.

Państwo ma w takich sytuacjach działać. Tutaj skapitulowało.

Krótko mówiąc: potrzebujemy polityki migracyjnej. Ten problem nie zniknie ani za rok, ani za dekadę. Odwrotnie: przez zmiany klimatyczne będzie się tylko nasilał.

Dane pokazują, że nie jesteśmy w stanie w tej chwili otworzyć granicy szeroko i umieścić wszystkich w ośrodku, by rozpatrzyć wnioski o azyl. Zwłaszcza że presja migracyjna może być sterowana przez Rosję i Białoruś.

Czyli pushbacki są koniecznością? Konwencja o statusie uchodźcy



ANDRZEJ TWANCUK / REPORTER

MACIEJ ŻYWNÓ jest wicemarszałkiem Senatu RP z Polski 2050 Szymona Hołowni. Pedagog, ratownik Ochotniczej Straży Pożarnej, działacz samorządowy, w latach 2007-2014 pełnił funkcję wojewody podlaskiego.

dopuszcza je pod warunkiem, że po drugiej stronie granicy ludziom nie grozi niebezpieczeństwo.

Wywózki na granicy polsko-białoruskiej wielokrotnie były określane jako nielegalne przez sądy. Jeśli zawracanie ludzi z granicy jest konieczne, to też musi odbywać się humanitarnie i według procedur, może przyspieszonych, ale na pewno nie możemy wyrzucać ludzi nocą do lasu.

Takie wywózki stosuje spora część Europy, wróciła do nich nawet Finlandia.

Niedawno tu, gdzie pan siedzi, siedziała pani ambasador Finlandii, która przyszła mnie zapytać o radę, jak działać skutecznie, ale i humanitarnie.

Jak?

Nie jestem ekspertem od polityki migracyjnej, zresztą nie będzie jednej pigułki na wszystko – tu się musi spotkać wiele perspektyw. Mnie do głowy przychodzi kilka pomysłów. Pierwszy: skuteczniej wyłapywać przemytników, zamiast walczyć z wolontariuszami w lasach, drugi: docierać do potencjalnych

migrantów, zanim trafią na białowieskie bagna, i tłumaczyć im, że nie warto się tędy przeprawiać. Może do takiej kampanii warto zatrudnić samych uchodźców. Trzeci: cały czas budować infrastrukturę, ośrodki, rozwijać zdolności samorządów, lokalnych społeczności do przyjęcia takich ludzi. Asymilacja i integracja to bardzo piękne słowa, za którymi kryją się niesamowicie trudne i subtelne działania. Czwarty: pomoc dzieciom i ich rodzinom, na to po prostu musi być nas stać.

Nikom w Europie to się jeszcze nie udało. Kolejnymi płotami i wywózkami kupujemy tylko czas.

Najbardziej humanitarnie postąpiły Niemcy, które przyjmowały wszystkie wnioski o azyl i dopiero po negatywnej decyzji deportowały migrantów.

Tylko że niemieckie społeczeństwo ma tego modelu coraz bardziej dość. Do dziś jest tam ponad 200 tysięcy ludzi, których nie da się deportować, bo nie mają dokumentów albo kraj docelowy odmawia ich przyjęcia. Ostatnio właśnie taki człowiek śmiertelnie ugodził nożem policjanta podczas prawicowego wiecu w Mannheim.

Ciężko się dziwić, że polski rząd też boi się takiego scenariusza, zwłaszcza w świecie, w którym migracje stały się bronią. Powiedzmy sobie szczerze: PiS nie stracił władzy przez pushbacki, raczej pomimo pushbacków.

Tylko mam wrażenie, że kiedy Donald Tusk mówi, że to wszystko jest konieczne, przyjmujemy to łagodniej, niż kiedy mówił to Mariusz Błaszczak. Nawet jeśli kilka miesięcy wcześniej klaskaliśmy na filmie Agnieszki Holland.

Może już uwierzyliśmy, że inaczej się nie da? Może zbyt łatwo?

Czy jest taka czerwona linia, po przekroczeniu której Pan by się spakował, wyszedł z tego gabinetu i wrócił do lasu?

Ja już tę granicę kiedyś przekroczyłem. Teraz chyba nawet nie chcę sobie tego wyobrażać, nie chcę kusić losu. Myślę, że to byłoby świadectwo porażki, i to nie tylko mojej, ale też państwa.

©© Rozmawiał KRZYSZTOF STORY

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Dumne proporce*



„POWIÓDŁ MNIE DO SALI WINA, A CHORĄGWIĄ jego [hebr. *weDiGLo*] nademną miłość” (Pnp 2, 4; Cyłkow) – rzecz w Pieśni nad Pieśniami o swym oblubieńcu oblubienica. Jednym ze sposobów odczytania tego dzieła jest uznanie go za metaforę rela-

cji między Bogiem a Jego ludem. Midrasz do Księgi Liczb używa jako punktu wyjścia dwóch wersów, w których występuje słowo *miriada* – zapisywane przez tłumacza różnie, a oznaczające po hebrajsku niekoniecznie niepoliczalne „niezliczone ilości”, lecz „dziesięć tysięcy”: „Luby mój lśniący biały a rumiany, zacniejszy [hebr. *DaGuL*] nad miryad” (Pnp 5, 10) oraz „Wozów Pańskich miriady, tysiące wielokrotne. Pan między niemi jak na Synaju w świętości” (Ps 68, 18).

Bierze też pod uwagę podwójne znaczenie słowa *DeGeL* – zupełnie jak po polsku: „chorągiew” to zarówno sztandar, jak i grupa wojowników. Konstruuje na ich kanwie opowieść: dwadzieścia dwie miriady aniołów zstąpiły wraz z Najwyższym na górę Synaj. Aniołowie byli uformowani według chorągwi i zrobiło to olbrzymie wrażenie na zgromadzonych pod Synajem Izraelitach, którzy zapragnęli też być ustawieni w takim szyku. „[Wtedy ucieszę się zwycięstwem twojem, i w imię Pana naszego chorągiew podniosiem.] Oby spełnił Bóg wszystkie życzenia twoje” (Ps 20, 6). Najwyższy niezwłocznie ozwał się do Mojżesza: „Každy przy chorągwi swojej [hebr. *DiGLo*], przy znakach domów swych rodowych, niechaj staną obozem synowie Izraela; opodał, naokoło przybytku zboru niechaj staną obozem” (Lb 2, 2).

Z dalszej części tego rozdziału dowiadujemy się więcej o przestrzennym rozplanowaniu pustynnego obozu. Plemiona Izraela zostały rozdzielone na cztery grupy po trzy i otoczyły – każda ze swojego głównego kierunku geograficznego – przenośną Świątynię, stanowiącą serce obozowiska. To miał być porządek obowiązujący nie tylko w czasie postoju: „jakim porządkiem spoczywać będą, takim i wyruszą, każdy w szyku swoim, przy chorągwiach swoich” (Lb 2, 17).

Wróćmy do naszego midraszu: Mojżesz spodziewał się, że gdy zacznie przydzielać plemionom miejsca, wybuchną niesnaski. Powie Judzie, że ma obozować od wschodu, a on będzie chciał koniecznie od południa, i podobnie będzie z każdym szczepem. Najwyższy zaskoczył pustynnego przywódcę: „Nie potrzebują cię – sami znają swoje miejsce w szyku”. Skąd? Umierający Jakub wydał dyspozycję synom, wedle midraszu również dotyczące tego, z której strony jego mar każdy z nich ma stać, niosąc je z Egiptu. „Uczynili z nim tedy synowie jego, jako im był przykazał: Ponieśli go synowie jego do Kanaan i pochowali” (Rdz 50, 12-13). Pamięć o wspólnych przodkach i budzące dumę proporce – czyż to nie dobry zachyn do kształtowania się narodowej tożsamości? ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Grzech jest grzechem*



„Z KRÓLESTWEM BOŻYM DZIEJE SIĘ TAK, JAK gdyby ktoś nasienie wrzucił w ziemię. Czy śpi, czy czuwa, we dnie i w nocy, nasienie kiełkuje i rośnie, sam nie wie jak. Ziemia sama z siebie wydaje plon, najpierw żdźbło, potem kłos, a potem pełne ziarno

w kłosie. Gdy zaś plon dojrzeje, zaraz zapuszcza sierp, bo pora już na żniwo”. Czyżby z tego wynikało, że w tej Bożej monarchii wszystko zależy od władcy, natomiast od poddanych zgoła nic lub niewiele? Wiadomo przecież, że zanim dokonamy zasiewu, najpierw trzeba przygotować pole. Wykarczować, usunąć kamienie, zmeliorować, nawozić, zaorać, zabronować, zawałować. To wszystko samo się nie robi. Dojrzałe zboże, buraki, kartofle z pola, jabłka i śliwki z sadu, samochody z fabryki, ubrania od krawca itd. same do nas nie przyjdą. Trzeba to zrobić i to z sercem, ze świadomością, że nie ma zajęć mniej i bardziej szlachetnych. Nie habit czyni mnicha. A „od każdego, któremu wiele dano, wiele też będzie się wymagać, a komu więcej powierzono, od tego też więcej będą żądać”, mówi Jezus.

Paweł, Sylwan i Tymoteusz do Tesaloniczan, czyli również do nas, piszą: „Sami wiecie, jak trzeba nas naśladować, bo nie próżnowaliśmy u was. Chleba nie jedliśmy u nikogo za darmo, ale pracowaliśmy dniem i nocą w trudzie i znoju, aby dla nikogo z was nie być ciężarem”. Natomiast ten, „kto nie chce pracować, niech też nie je!”. Tym zaś, którzy: „Nie pracują, lecz udają, że pracują. Nakazujemy im i upominamy ich w Panu Jezusie Chrystusie, aby pracując spokojnie, jedli własny chleb. Wy zaś, bracia, nie zniechęcajcie się w czynieniu dobra”, zwłaszcza tym, których dotychczas mieliśmy za najpotworniejszych grzeszników z góry skazanych na wieczną mękę w piekle.

Tymczasem papież Franciszek już na początku pontyfikatu mówił: „Życie jest życiem, a wszystkie rzeczy muszą być przyjmowane [takimi, jakie są], gdy się pojawiają. Grzech jest grzechem. (...) Ale w każdym przypadku przyjmijcie [osobę transpłciową], towarzyscie, zbadajcie sytuację, rozeznawajcie, i włączcie [ją do życia wspólnoty]. To jest to, co Jezus zrobiłby dzisiaj”. Słowem chodzi o to, „aby ludzie widzieli [nasze] dobre czyny i chwalili [naszego] Ojca, który jest w niebie”.

Dobroć naszych myśli, słów i czynów ma być zatem znakiem obecności i miłości Boga w świecie. Stąd sakramenty, liturgia, krzyż i święte obrazy o tyle są znakiem obecności i działania Boga, o ile rozświetlają bezednie zła i dodają odwagi, by w tę ciemność wejść: „Bądźcie więc tak doskonałi, jak doskonały jest wasz Ojciec Niebieski”, który sprawia, że jego „słońce wschodzi dla złych i dobrych i zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych”. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Aktorzy w religii

*Chorobą duszy
jest umysł
żądny chwały.*

EWAGRIUSZ Z PONTU



*Podobnie jak gęsi
nie przestrasza gęganie,
a owcy beczenie,
tak niech i ciebie
nie przeraża rozgwar
nierozumnego tłumu.*

EPIKTET



NIEDAWNO DZIĘKI liturgii byliśmy świadkami kilku bardzo zdecydowanych rozmów Jezusa z Jego przeciwnikami w Jerozolimie. Jedną z nich dotyczyła płacenia podatku rzymskiej władzy: czy wolno płacić podatek cesarzowi, czy nie?

Wszyscy znamy odpowiedź (udzieloną po obejrzeniu denara z przedstawieniem rzymskiego imperatora): Oddajcie cesarzowi to, co należy do cesarza, a Bogu to, co należy do Boga (zob. Mk 12, 13-17). Ewangelista Marek odnotowuje nie tylko sam przebieg rozmowy, ale także nastawienie i kwalifikacje każdej ze stron.

Najpierw Jezus – nawet wrogowie podkreślają Jego uczciwość i prostolinijność: „Nauczycielu – mówią – wiemy, że jesteś prawdomówny”. Tak zdanie to brzmi z reguły w polskich przekładach. W rzeczywistości mogłoby być przetłumaczone jeszcze mocniej: „Wiemy, że jesteś prawdziwy”. W tekście greckim jest bowiem słowo *alethés* – „prawdziwy”, „prawdziwie”, „prawda”. Tłumaczenie dosłowne („jesteś prawdziwy”) lepiej oddaje biblijne rozumienie prawdy jako cechy bardziej osoby niż zdania. Człowiek biblijny „jest z prawdy” (J 18, 37), a nawet „jest prawdą” (J 14, 6), a nie tylko mówi prawdę.

A rozmówcy Jezusa?

Marek odnotowuje, że Jezus „poznał ich obłudę”. W greckim tekście

mamy tu słowo *hypókrisis* (stąd nasze „hipokryzja”) – udawanie, zwodzenie. Pierwotne znaczenie tego słowa to „aktorstwo”.

Warto je tu przywołać, gdyż ono najlepiej oddaje postawę Jezusowych przeciwników. W całym spotkaniu odgrywają oni jedną wielką rolę. Pytanie, które stawiają, prowadzi Jezusa niemal na próg buntu przeciw Rzymowi; w nich trudno nie zobaczyć zniecierpliwionych patriotów, którzy jedynie szukają przywódcy, który stanie na czele politycznej i militarnej rewolty przeciw okupantowi.

A tymczasem: herodianie to zwolennicy Heroda Antypasa, który swoją władzę sprawował z nadania Rzymu. Faryzeusze nie byli zapewne aż tak zbratani z rzymską władzą; niemniej i oni nie należeli raczej do zelotów i nie aspirowali do wywołania politycznych i militarnych zamieszek. Jedni i drudzy byli więc mniej lub bardziej poukładani z „Cezarem”. Jezusa jednak prowokują do wystąpienia przeciw niemu. Nie ma w tym nic oprócz cynicznej gry i manipulacji. Aktorstwo!

A wszystko to jeszcze w kontekście zmanipulowanej religii: „Nauczycielu, wiemy, że drogi Bożej w prawdzie nauczasz...”.

Jezus mówi: „oddajcie Bogu to, co należy do Boga”. Oddajcie Bogu religię! Nie wciągajcie jej w polityczny dyskurs. Nie poddawajcie politycznym manipulacjom. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (16 – 23 VI)

11. niedziela zwykła: Ez 17, 22-24;
Ps 92; 2 Kor 5, 6-10; Mk 4, 26-34;
Poniedziałek: 1 Krl 21, 1b-16; Ps 5; Mt 5, 38-42;
Wtorek: 1 Krl 21, 17-29; Ps 51; Mt 5, 43-48;
Środa: 2 Krl 2, 1. 6-14; Ps 31; Mt 6, 1-6. 16-18;

Czwartek: Syr 48, 1-14; Ps 97; Mt 6, 7-15;
Piątek: 2 Krl 11, 1-4. 9-18. 20a; Ps 132; Mt 6, 19-23;
Sobota: 2 Krl 24, 17-25; Ps 89; Mt 6, 24-34;
12. niedziela zwykła: Hi 38, 1. 8-11;
Ps 107; 2 Kor 5, 14-17; Mk 4, 35-41.

Wybrał PIOTR SIKORA

NIEKOCHANY

Przed rozpoczynającymi się mistrzostwami Europy nikt nie pompuje balonika. Co ciekawe: Polacy zmęczyci się nawet Robertem Lewandowskim.

MICHAŁ OKOŃSKI

POWIEDZIEĆ, ŻE NAJSŁYNNIEJSZY POLSKI sportowiec nie ma ostatnio w kraju dobrej prasy, to nic nie powiedzieć. Na kilka dni przed rozpoczęciem mistrzostw Europy, które dla 36-letniego kapitana i najsukuteczniejszego strzelca w dziejach naszej reprezentacji mogą być ostatnią dużą imprezą w karierze, próżno szukać w przestrzeni publicznej nostalgików apelujących: „spieszmy się kochać Roberta Lewandowskiego”. Dominują raczej dowcipy i memy, niektóre zbyt wulgarne, by je tutaj powtarzać. Cóż się takiego stało, że rodacy odwrócili się od człowieka, który dostarczył im tylu powodów do radości i dumy?

Jan Paweł Lech Robert

Z tymi powodami do dumy bynajmniej nie przesadzam. W 2020 r. – kiedy z Bayernem wygrał Ligę Mistrzów – UEFA przyznała mu tytuł najlepszego piłkarza roku. W tym samym czasie – i jeszcze rok później – to samo wyróżnienie wręczyli mu działacze FIFA. Nie dostał wprawdzie wówczas Złotej Piłki – najbardziej prestiżowej w świecie futbolu nagrody indywidualnej, przyznawanej przez międzynarodowe jury działające wokół czasopisma „France Football” – ale był to jedyny rok, w trakcie którego z powodu pandemii gala nagrody się nie odbyła; w 2021 r. minimalnie więcej głosów dostał tylko Messi.

Trudno się było tym wszystkim wyróżnieniom dziwić: przez lata pobytu w Niemczech Robert Lewandowski wyrubował niemal wszystkie rekordy.

Żaden piłkarz w dziejach Bundesligi nie zdobył 41 bramek w sezonie, żaden nie miał tak wysokiej średniej goli w stosunku do rozegranych meczów, żaden nie zdobył sześciu tytułów króla strzelców z rzędu – mógłbym tak wyliczać długo, dopisując do wygranej Ligi Mistrzów dzieśnięcie tytułów mistrza Niemiec z Borussia i Bayernem, a po przeprowadzce do Barcelony kolejne mistrzostwo kraju i kolejny tytuł króla strzelców. Mógłbym, ale tego nie zrobię z obawy, że czytelnik niezainteresowany futbolem przerwie lekturę, odnosząc mylne wrażenie, że ma do czynienia z tekstem branżowym.

Powyższe wyliczenie służy mi raczej do zilustrowania, „jakiegoż to gościa mieliśmy”. Robert Lewandowski nie był triumfatorą w jakiejś niszowej dyscyplinie typu skoki narciarskie czy chód – był najlepszym zawodnikiem uprawiającym najpopularniejszy sport na świecie. Przez dobrych kilkanaście miesięcy stał między gigantami: wspomnianym Messim, Ronaldo, Neymarem, Benzemą czy Modriciem, by wymienić tylko jemu współczesnych. Jego nazwisko stało się globalną marką, symbolem naszego kraju, jak niegdyś Jan Paweł II czy Lech Wałęsa. Można by zresztą z powodzeniem bronić tezy, że wciąż marką pozostaje: choć numer jeden w swojej dyscyplinie dziś jest Iga Świątek, to w niedawnej rozmowie z „Dzień Dobry TVN” opowiadała, że jeździ do różnych krajów, gdzie ludzie jej nie poznają, a jak mówi, że przyjechała z Polski, komentując z błyskiem zrozumienia: „O! Lewandowski, Lewandowski!”.

Marka macha rękami

Nie o sile marki chcę jednak pisać, a o przyczynach, dla których rodacy nie spieszą się Lewandowskiego kochać. Niektóre z nich są poniekąd zrozumiałe. Najlepszym piłkarzem świata był 3-4 lata temu, od tamtej pory przydał się choćby mundial w Katarze i związane z nim rozczarowanie nie tyle wynikiem, ile stylem gry reprezentacji Polski – a przede wszystkim stylem, w jakim próbowała się uporać z aferą premiową. „Dostaliśmy niemoralną propozycję” – mówił wprawdzie kilka miesięcy później, ale ta próba ratowania wizerunku swojego i kolegów była już mocno spóźniona. Wśród Polaków zostało poczucie, że ich reprezentanci najpierw przed kluczowym meczem pokłócili się o kasę (w dodatku mającą popłynąć z kieszeni podatników), a później mataczyli, pytani o tę sprawę przez media.

Okres pomundialowy był także okresem pierwszego poważnego kryzysu sportowego w karierze Lewandowskiego. Drugi sezon jego pobytu w Katalonii naznaczało coś więcej niż kontuzje. „Dojechaliliśmy do momentu, kiedy nie oczekujemy od Lewego goli, tylko jakichkolwiek oznak życia na boisku poza machaniem rękami” – dosadnie skomentował w pewnym momencie ekspert od hiszpańskiej piłki Tomasz Cwiakała, bo faktycznie:

Sesja zdjęciowa przed rozpoczęciem mistrzostw Europy. Niemcy, 3 czerwca 2024 r.



bo faktycznie: mecze Barcelony pełne były scen, w których sfrustrowany brakiem dobrych podań napastnik okazywał niezadowolenie z gry młodszych kolegów. W kwietniu tego roku inny z opisujących kataloński klub dziennikarzy, Pol Ballús, powołując się na źródła w sztabie szkoleniowym, wyliczał piętrzące się problemy piłkarza: przegrywane pojedynki fizyczne i szybkościowe, gorsze przyjęcie piłki pod presją, niższą skuteczność, kiepską współpracę z resztą zespołu. Wyglądało na to, że jesienią 2023 pojawiła się w jego życiu smuga cienia.

Piękne okoliczności łagodzące

Problemy Lewandowskiego można byłoby oczywiście opisywać z dużo większą empatią. Nawet zostawiając na boku fakt, że proces starzenia się organizmu zawodnika jest naturalny – i że nadal strzela wiele bramek (w drugim sezonie ligowym w Katalonii: 19, tylko o 4 mniej niż w pierwszym), a jego marcowy mecz przeciwko Atlético (bramka, asysty przy golach kolegów) na jakiś czas zamknął usta tym, którzy twierdzili, że „Lewy się skończył” – wypada też zauważyć, że srodowisko, w którym się znalazł, dalekie jest od stabilności.

O ile w Bayernie wszystko funkcjonowało jak w niemieckiej fabryce samochodów, o tyle jego nowy klub jest fatalnie zarządzany, zмага się z gigantycznymi długami, wypala kolejnych szkoleniowców – odejście stamtąd Messiego naprawdę nie było przypadkowe. Kataloński raj, miejsce wymarzone do życia pod względem kultury czy klimatu – miejsce, w którym żona piłkarza rozkwita, prezentując w mediach społecznościowych nagrania swoich popisów w bachacie (zmysłowym latynoskim tańcu, zdobywającym dzięki niej coraz większą popularność także w Polsce) – dla samego Lewandowskiego okazał się przystankiem trudniejszym, niż pewnie sądził, a skalę panującego tu bałaganu wyznacza coroczna niepewność, czy zakontraktowanych piłkarzy (a nawet nowego, oficjalnie już zaprezentowanego szkoleniowca Hansiego Flicka) uda się zarejestrować w strukturach płaowych ze względu na ograniczenia nałożone na zadłużony klub przez władze ligi.

→ Prowadzący go przez minione miesiące trener Xavi zawsze podkreślał, że sposób, w jaki Polak się prowadzi, jest wzorem dla całej drużyny, a jego doświadczenie – bezcennym skarbem (co brzmiało zresztą jak echo opinii pracującego z Lewandowskim w Bayernie Pepa Guardioli, że nigdy nie spotkał równie profesjonalnego zawodnika). Dziś jednak Xavięgo w klubie już nie ma, a kiedy Lewandowski czyta o sobie, że jako posiadacz najwyższego kontraktu w drużynie staje się dla niej obciążeniem, musi się zastanawiać, czy pamięć o komplementach legendy klubu i uroki plaży Castelldefels są w stanie zrównoważyć tę próbę przeżycia nań nie jego winy.

Trzeba wymagać klasy

W reprezentacji Polski od czasu odejścia trenera Paulo Sousy i prezesa PZPN Zbigniewa Bońka, z którymi współpracowało mu się dobrze, Robert Lewandowski również skazany jest na funkcjonowanie w środowisku, delikatnie mówiąc, niestabilnym. Karuzela zmieniających się selekcjonerów, targające związkiem skandale, opowieści o zaproszeniu do samolotu wiozącego piłkarzy na mecz z Mołdawią byłego działacza z wyrokami za korupcję, legendy o pijaństwie, odbywającym się bez żenady na oczach zawodników... Lewandowski nie jest, również delikatnie mówiąc, mistrzem komunikacji, ale w tym przypadku jego komentarz, że „na pewnych stanowiskach trzeba oczekiwać i wymagać klasy”, zabrzmiał wymownie.

„Kwestia komunikacyjna” – tak chyba możemy streścić część problemów Polski z Lewandowskim, przynajmniej tę, za którą on sam odpowiada. Z dawnym menedżerem, Cezarym Kucharskim, toczy głośny proces, a co do kluczowego dowodu w sprawie – nagrania rozmowy między nimi, potajemnie dokonanego przez zawodnika – biegli mają wątpliwości, czy nie zostało zmontowane. Otoczenie piłkarza, w którym największą rolę odgrywa przyjaciel z dzieciństwa, Tomasz Zawisłak, jest tyleż lojalne, co niedorastające formatem do globalnej gwiazdy, a czasem skłonne do chwytów poniżej pasa. To Zawisłak, jak twierdzi jeden z elektorów plebiscytu Złotej Piłki Maciej Iwański, umieścił na oficjalnym koncercie Lewandowskiego w portalu X frazę „le cabaret”, kiedy Polak w 2016 r.



Robert Lewandowski z Iqą Świątek po wygranym przez nią finale French Open na stadionie Rolanda Garrosa. Paryż, 4 czerwca 2022 r.

nie znalazł się w pierwszej dziesiątce. Sam Lewandowski nie ma daru wymowy, a większość jego publicznych wypowiedzi była dotąd ostrożna i pełna ogólników – tym bardziej przydałyby mu się profesjonalne służby od PR.

„Przyszedł czas, że o strategii wizerunkowej Roberta Lewandowskiego trzeba powiedzieć, że jej po prostu chyba w ogóle nie ma. Kolejne kontrakty, decyzje i zachowania to właściwie skakanie od ściany do ściany, chaos komunikacyjny i marketingowy. A w konsekwencji prześmiewcze reakcje opinii publicznej” – komentował w jednej z rozmów z Wirtualną Polską ekspert od marketingu sportowego Grzegorz Kita, po tym jak prawnicy piłkarza próbowali cenzurować internetowe memy, a było to na długo przed obecnym wysypem „dowcipów” związanych z taneczną pasją jego żony.

Nie musimy być szczerzy

Z tej perspektywy kolejnym ciosem wymierzonym w relacje Roberta Lewandowskiego z rodakami były jego słowa z konferencji prasowej rozpoczynającej zgrupowanie reprezentacji przed Euro. „Jeśli chodzi o medal, to nasze szanse kiedykolwiek – musimy być szczerzy – to była misja z rodzaju tych niemożliwych. Pod względem osiągnięć nie mam więc niedosytu. Można marzyć, ale trzeba pozostać realistą. Nigdy wewnętrznie nie miałem poczucia, że mamy taką reprezentację, która ten medal powinna lub ma szansę zdobyć”.

Mówił to, przypominajmy, jeden z liderów drużyny, która z mistrzostw Europy w 2016 r. odpadła dopiero w ćwierćfinale,

po serii rzutów karnych wieńczącej wyrównany bój z przyszłymi zdobywcami tytułu – i która w przypadku pokonania Portugalii byłaby faworytem niedoszedł do półfinału z Walią. Być może chciał w ten sposób zdjąć paraliżującą czasem piłkarzy presję – ale raczej uderzył w sam fundament powszechnego myślenia o sporcie, w którym realizm polega właśnie na tym, że marzenia się spełniają.

Już nie mówię o ukrytej w tych słowach ocenie potencjału dawnych i obecnych kolegów z reprezentacji: znowuż, nie pierwszej w ostatnich miesiącach, bo w rozmowie z Mateuszem Świąćckim jesienią 2023 r. narzekał, że problemem kadry jest brak osobowości; że młodzi zawodnicy chowają się na boisku, unikają odpowiedzialności, a co gorsza: nie przychodzą już do niego z prośbą o poradę. Chyba nie w ten sposób buduje się *team spirit*, jak publiczną manifestacją przekonania, że uważa się za lepszego od innych.

Nasycony i znany

Powtórzmy jednak: nie takie kryzysy formy czy wizerunkowe wpadki wybaczałyśmy naszym bohaterom. Żeby nie szukać daleko: partner Lewandowskiego z Borussii i reprezentacji, Jakub Błaszczykowski, którego karierę oprócz świetnych występów i ważnych bramek naznaczyło pasmo kontuzji; człowiek, który nie wykorzystał karnego w tamtym ćwierćfinale z Portugalią, a na Euro 2012 wdał się w konflikt o bilety dla rodzin piłkarzy z ówczesnym prezesem PZPN Grzegorzem Lata; człowiek, którego rządy w Wiśle Kraków trudno uznawać za suk-

ces... Kredyt zaufania do „Kuby” pozostał niewyczerpany, a gdy w czerwcu 2023 r. zęgnął się z reprezentacją, kilkadziesiąt tysięcy widzów na Stadionie Narodowym zgotowało mu owację – i ośmielałem się sądzić, że przyczyną tego kredytu nie była wiedza o rodzinnej tragedii, która spotkała go w dzieciństwie.

Skądinąd: trudne chwile z życiorysu Roberta Lewandowskiego również można by opisywać z większą empatią. Podkreślać np. ten moment, kiedy w 2006 r. działacze Legii uznali, że siedemnastolatek, którego trapią kontuzje pleców, nie ma zdrowia do wielkiej piłki – i przez sekretarkę oddali mu kartę zawodniczą. To, że w trzecioligowym Zniczu Pruszków zdoła udowodnić, że się mylili, nie było wówczas oczywiste, zwłaszcza że jego karierą nie mógł już pokierować zmarły w marcu 2005 r. ojciec.

Owszem: zanim zaczął strzelać gola za golem na największych stadionach Europy, zanim rozwinął swój talent pod okiem najlepszych trenerów i wychowawców świata – Kloppa, Guardioli, Ancelottiego, zanim zaczął spoglądać na nas z billboardów, a wieści o jego małżeństwie, narodzinach kolejnych dzieci, inwestycjach i wakacjach zapewniły poczytność niejednemu portalowi, był niepewnym siebie chłopcem, którego życie dwukrotnie znalazło się na krawędzi. I w autoryzowanej biografii „Nienasycony”, pióra Pawła Wilkowicza, i w filmie „Lewandowski nieznan”y”, kręconym za aprobatą piłkarza – przy wszystkich ograniczeniach tych formuł jedno wybrzmiało mocno: prawdziwym prze-

Być może się sobą zmęczyliśmy.

Niewątpliwie media przesadziły z kreowaniem wizerunku kogoś wyrastającego ponad nasze głowy. Albo przesadzili Lewandowscy.

łomem, momentem, po którym kariera Polaka znalazła się na właściwym torze, była szczera rozmowa z trenującym go w Borussii Jurgenem Kloppem, wchodzącym w tamtej chwili w buty ojca Roberta.

Niepolski czy arcykowski

I chyba tutaj jesteśmy u sedna tego rozmiękania się Lewandowskiego z rodakami. Gdyby jego wizerunek superwydajnej maszyny do strzelania bramek, przypominającego Cristiano Ronaldo supermena o idealnie wyrzeźbionym ciele, idealnej diecie i idealnych nawykach, uwzględniał te piękności – może łatwiej byłoby go naprawdę polubić, a nie tylko podziwiać?

Wiąże się z tym druga kwestia: pogodzenie się jego samego z tym, że przemija. Zawodnicy tacy jak Ronaldo czy Lewandowski zamienili całe swoje życie w kierat, żeby opóźnić proces naturalny i nieuchronny. Opowieściami o reżimie, jakiemu poddawał się „Lewy”, bybiec o ułamek sekundy szybciej i skakać

o milimetr wyżej od rywali – o unikaniu laktozy, o właściwej kolejności posiłków, śnie tylko na lewym boku w trosce o prawą nogę itd., ale także o treningu mentalnym – wypełnione są niezliczone artykuły. Czego w nich nie ma, to pytania, co dalej. W zasadzie tylko Rafał Stec w tekście „Zagadka schyłku Roberta Lewandowskiego” zastanawia się, czy kapitan Polaków zdoła jeszcze uporać się ze sobą na tyle, by w ostatnich dniach kariery odczuwać przyjemność z gry. Przyznajmy: i w reprezentacji, i w Barcelonie nie jest to łatwe.

Ale być może jest tak, że po prostu się sobą zmęczyliśmy. Niewątpliwie przez te wszystkie lata media przesadziły z kreowaniem wizerunku kogoś wyrastającego ponad nasze głowy. Albo z kreowaniem takiego wizerunku przesadzili sami Lewandowscy, których spora część aktywności w mediach społecznościowych jest zwyczajnie niepotrzebna, jeśli nie wręcz szkodliwa, także w psychologicznym sensie, uzależniającym uczestników medialnego cyrku od adrenaliny, jaką daje codzienne wystawianie się na osąd. Kiedy w rozmowie z Moniką Olejnik, pytany o tańce żony, piłkarz mówił, że „kultura Hiszpanów jest inna”, a my nie jesteśmy narodem wyluzowanym, sprawiał wrażenie wujka z Ameryki, tłumaczącego biednym prowincjuszom, jak żyć, i ślepego na to, ile się u nich zmieniło od czasu jego wyjazdu.

Zostawmy jednak psychologizowanie. Kiedy mówimy o skomplikowanej relacji Lewandowskiego z rodakami, można przecież postawić hipotezę, że jego droga

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- LUBLIN**, czwartek 13 czerwca, godz. 18.00
spotkanie z ks. prof. Alfredem Wierzbickim, „Biografia ukryta w prześwitach”, aula klasztoru oo. dominikanów
- WARSZAWA**, czwartek 13 czerwca, godz. 18.00
spotkanie z Danutą Kuroń, „Pytania o wolność”, Sala KIK (ul. Freta 20/24A)
- SŁUPSK**, piątek 14 czerwca, godz. 17.00
spotkanie autorskie z ks. Eligiuszem Piotrowskim wokół książki „Początek wiary w zmartwychwstanie Jezusa”,

„Zmartwychwstanie – mit, historia, wiara?”,
Cepelin (Stary Rynek 7)

- ZIELONA GÓRA**, poniedziałek 17 czerwca, godz. 18.00
spotkanie autorskie z Ignacym Dudkiewiczem wokół książki „Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem”, Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13)
- BYDGOSZCZ**, środa 19 czerwca, godz. 18.00
spotkanie autorskie z prof. Janem Grosfeldem i prof. Sławomirem Jackiem Żurkiem, „Pałac płonie”, Biblioteka UKW (ul. Karola Szymanowskiego 3)

REZERWUJ
CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



→ na europejskie szczyty jest dużo bardziej zwyczajna, niż ją dotąd opisywaliśmy. Że nie jest – jak pisała kiedyś w „Gazecie Wyborczej” Sylwia Chutnik – romantycznym bohaterem, „Gustawem-Konradem przechodzącym w Jacka Soplicę”, tylko jednym z rzeszy Polaków, którzy przez minione 30 lat, owszem, odmienili oblicze tej ziemi, ale za pomocą codziennej, ciężkiej i tak naprawdę niespektakularnej pracy.

Są na drodze Lewandowskiego dziwne znajomości i niemądre decyzje (np. ta, żeby nie wystąpić w kluczowym meczu z Węgrami podczas eliminacji do mundialu w Katarze w związku z obecnością na planie filmowym i urodzinach miliardera Rafała Brzóska), ale są przede wszystkim szary trud i systematyczność, wyrażana także w banalnych kwestiach, typu nauka języków obcych. Brzmi jak streszczenie „Pozytywnego mitu 1989” Mirosława Wleklego, Marcina Napiórkowskiego i Katarzyny Szyniery.

Jak jest w życiu

A skoro nad tym tekstem unoszą się jednak współkształtujące zbiorową wyobraźnię memy (nie docenianie ich znaczenia, to spytajcie Olgę Drendę) – te najśmieszniejsze dotyczyły zwykle „gówniary z paletkom”.

„Z jednej strony niektóre memy są zabawne, ale z drugiej – dużo jest takich, które mnie chwała, a powodują negatywny wydźwięk w stronę Roberta Lewandowskiego, i to mi się nie podoba – mówiła sama Iga Świątek w porannym występie w TVN. – Martwi mnie, że on przez te memy ze mną dostaje trochę hejtu. Wiem, że to jest rozrywka dla kibiców, ale sama myślę o tym, że kiedyś mogłabym być w takiej samej sytuacji jak on – i on niczym sobie nie zasłużył, żeby być w takich memach”.

Tak się składa, że piszę ten tekst nie tylko na tydzień przed rozpoczęciem Euro, podczas którego być może zobaczymy go po raz ostatni w reprezentacyjnej koszulce, ale także na kilkadziesiąt godzin przed finałem tegorocznego

Rolanda Garrosa. W opublikowanym właśnie na łamach „L'Equipe” portrecie Igi Świątek wiele uwagi poświęca się jej przygotowaniu mentalnemu, równocześnie podkreślając jednak, że nie zamienia jej ono w robota – że zawsze pozostaje w niej kruchość, która jest piękna. „Świątek pozostaje ludzka, czasami wręcz niezdarne. Nie jest to wszystko sterylne i fajnie mieć taką mistrzynię” – mówi Christophe Bernelle, były tenisista, a dziś psychiatrą, współpracujący także z francuską federacją tenisową. „Mistrzynię, która bierze odpowiedzialność za swoje emocje, pozytywne i negatywne, i daleko jej do wizerunku, który sugerowałaby zimnokrwista, biała czapka z daszkiem” – dodaje „L'Equipe”.

To mi przypomina reportaż Wiktora Osiatyńskiego o Wimbledonie i rozmowę, jaką jego autor przeprowadził z wielokrotnym zwycięzcą tego turnieju, Johnem Newcombe'em. „Panu nie zależy aż tak bardzo” – zagaja Osiatyński. „Przeciwnie, bardzo mi zależy. Może tylko nie na tym samym” – odpowiada Newcombe. Na czym więc mu zależy? „Na życiu. Lubię żyć. Radośnie, cieszyć się. Dlatego gram. Zawsze dlatego grałem”. A wygrywać? „Strasznie lubię. Ale to już coraz trudniej. Więc sobie myślałem, że skoro trudno mi wygrywać całe mecze, to mogę się cieszyć, jak wygram jedną piłkę. A całego gema albo seta – to już wielka frajda”. Co daje mu tenis, czego go nauczył? „Widzi pan. To są dwie rzeczy. Jak zacząłem naprawdę grać, to szybko doszedłem do wniosku, że każda piłka jest ważna. I zaraz do drugiego. Że tak naprawdę to żadna z nich nie jest najważniejsza. Ani piłka, ani gem, ani mecz. I to mi zostało. Myślę, że tak jest w życiu”.

Dobra lekcja dla najlepszego polskiego piłkarza – i dla jego rodaków, którym możliwość oglądania podobnej gwiazdy prędko się nie powtórzy. Lekcja na emeryturę pod słońcem Katalonii, ale wcześniej jeszcze na mistrzostwa Europy. „Polskaaa, Białe-Czerwoni!”.

© MICHAIŁ OKOŃSKI

Szybka ścieżka

MAREK RABIJ

Trwa wyścig, kto pierwszy wytropi w Polsce odpowiednik Tenderloin District w San Francisco, dzielnicy opanowanej przez uzależnionych od fentanyli. Bardziej realne zagrożenie ze strony mefedronu nie budzi już takich emocji.

DLA WYTŁUMACZENIA TEGO ZJAWISKA terapeuta uzależnień sięgnie po analogię klucza i zamka. Ten ostatni symbolizuje problemy życia codziennego, które jednych skłaniają do szukania czegoś, co pomoże je pokonać, a innych do szukania czegoś, co pozwoli na chwilę zapomnieć o trudnościach. Kluczem są zaś narkotyki.

Psychoterapeuci i socjologowie dodaliby w tym miejscu, że jest co gonić i przed czym uciekać. Pierwsza połowa tej dekady przypomina przecież fabułę u Hitchcocka. Zaczęło się od pandemii nieznanego, potencjalnie śmiertelnośnego wirusa. Potem był lockdown i kryzys kosztów życia spowodowany zawirowaniami w globalnej gospodarce, a gdy już wydawało się, że świat wraca do normalności, Putin rozpetał wojnę. W rezultacie wielu z nas czuje, że codzienność ich przerasta. Nastolatki, których pandemia zamknęła w domach, sygnalizują problemy z codziennymi interakcjami z rówieśnikami.

Gdyby do rozmowy doprosić toksykologa, wskazałby na dwa rodzaje środków psychoaktywnych. Jedne – jak kokaina, amfetamina czy mefedron – pobudzają, wyostwiają odczuwanie bodźców i na chwilę cudownie usuwają wszelkie zahamowania. Inne – jak heroina i inne środki z grupy opioidów – działają uspokajająco i przeciwbólowo.

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Świątopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



MATERIAŁY PRASOWE KWP W LUBLINIE

Policjanci Komendy Wojewódzkiej Policji w Lublinie zabezpieczają laboratorium narkotykowe w gminie Zambrów. Styczeń 2024 r.

W zależności od tego, czy aktualnie potrzebujesz kopa, czy raczej chciałbyś głębokiego resetu uwalniającego od lęku, narkoświat nie zostawi cię z gołymi rękami. Organizm przyzwyczaja się jednak do narkotyku i dawki muszą być coraz wyższe, aby wywołać pożądane efekty. Od tego sypie się psychika, a regularnie zatrutowana wątroba z coraz większym trudem radzi sobie z metabolizowaniem coraz większych dawek. Po jakimś czasie niemal każde zażycie kończy się tak samo – utratą świadomości i kontroli nad ciałem.

Policjant z oddziału do spraw przestępstw narkotykowych dorzuciłby z kolei garść danych z aktualnego ulicznego cennika zakazanych substancji. Gram kokainy, który na początku starcza na ponad tydzień, kosztuje dziś średnio 150-200 zł. Po jakimś czasie gram kończy się już po trzech dniach. Potem schodzi nawet w jeden dzień. Część uzależnionych, chcąc brać coraz więcej, zaczyna więc szukać tańszych zamienników i sięga po amfetaminę (średnio 45-50 zł za gram) albo mefedron (około 40-45 zł za gram). Ten schemat uzależnienia jest jednak relatywnie rzadki. Najczęściej zaczyna się od najtańszych narkotyków.

– To dziś takie fast fashion tej branży – uśmiecha się funkcjonariusz. – Skoro jest segment premium, czyli kokaina, prędzej czy później na rynku musiało pojawić się coś w rodzaju oferty dyskontowej.

Produkcja mefedronu jest bardzo tania, da się zrobić go nawet z leków przeciwkaszlowych. Dilerzy mają coś w sam raz na kieszeń przeciętnego licealisty czy studenta, który raczej nie wpakowałby się w kłopoty z droższą i wolniej uzależniającą kokainą.

W sierpniu ub. roku Główny Inspektorat Sanitarny wydał ostrzeżenie publiczne o „wzroście liczby zgonów związanych z zażyciem syntetycznych katynonów”. Do tej grupy substancji chemicznych zalicza się m.in. mefedron.

Wojciech Fijałkowski, terapeuta uzależnień, związany z opolskim Monarem od 35 lat: – Mniej więcej co trzeci pacjent, z którym pracuję, zgłasza już w terapii zażywanie mefedronu. Nie biorą oczywiście tylko jednego narkotyku, schematy uzależnień są bardzo zróżnicowane, ale od kilku lat obserwujemy rosnącą popularność właśnie tej substancji.

Koszmar na jawie

W 1929 r. w trzystronicowym artykule na łamach „Bulletin de la Société Chimique de France” niejaki Saem de Burnaga Sanchez opisuje opracowany przez siebie proces syntezy pewnej substancji. Jej pełna nazwa chemiczna składa się z aż 37 liter, dlatego w uproszczeniu nazywa ją mefedronem. Punktem wyjścia dla jego badań jest roślina znana w krajach Afryki Północnej jako khat, czyli czuwaliczka jadalna, której

mięiste liście dla pobudzenia zuli już starożytni Egipcjanie i do dzisiaj stosowana jest w tym celu w krajach Afryki Wschodniej i na Półwyspie Arabskim.

Początkowo mefedron funkcjonuje w obiegu jako substancja o przeznaczeniu wyłącznie gospodarczym. Jako narkotyk zaczyna być incydentalnie używany w drugiej połowie XX wieku, często dystrybuowany legalnie – jako sól do kąpieli lub wkłady zapachowe. Na masową skalę wchodzi jednak do obrotu dopiero na początku tego stulecia. W Polsce pojawia się w dużych ilościach wiosną 2009 r. w sklepach z legalnymi dopalaczami, ale już rok później trafia na listę zakazanych substancji psychoaktywnych – oczywiście nie znika z ulic. Tak jak w innych krajach, mefedron staje się narkotykiem klubowym. Przez dłuższy czas krąży po rynku anonimowo, jako jeden ze składników innych dopalaczy. Dilerzy zaczynają serwować go swoim klientom w czystej postaci dopiero pod koniec zeszłej dekady. Jak zauważa Wojciech Fijałkowski, może to świadczyć o tym, że właśnie wtedy polscy konsumenci substancji psychoaktywnych zaczęli sięgać po mefedron dla jego specyficznych właściwości.

– Po zażyciu odczuwa się przypływ energii i podniecenia seksualnego, wyostrzenie zmysłów, a także coś, co uzależnieni opisują czasem jako wzmożone empatyzowanie – wylicza terapeuta. – Czują się wreszcie bezpieczni, kochani i właśnie to uczucie bezbrzeżnej akceptacji sprawia, że tak trudno wrócić im do funkcjonowania bez tego narkotyku.

W serwisie Spotify kanał podcastowy Mestosław publikuje cykl wywiadów z pacjentami wyszkowskiego Monaru, którzy opowiadają w nich o swoim uzależnieniu. Niemal wszystkie historie układają się w ten sam z grubsza scenariusz. Pierwszy incydentalny kontakt z narkotykami gdzieś w szkole średniej. Stosunkowo szybkie przejście od substancji uznawanych za bezpieczne, jak marihuana, do czegoś oferującego silniejsze doznania. Z powodów czysto ekonomicznych z reguły właśnie wtedy na scenie pojawia się mefedron.

W tym momencie wszystkie opowieści przyspieszają: epizody narkotyczne stają się coraz częstsze, dawki coraz większe. Szybko postępuje także społeczna alienacja uzależnionego: pękają więzy rodzinne i towarzyskie, rozpadają się związki, ➔

→ w szkole lub w pracy idzie coraz gorzej. Liczy się już tylko jedno: żeby jak najszybciej zażyć kolejną dawkę.

„Budziłem się po kolejnym epizodzie mefedronowym z poczuciem wielkiej straty – wspomina inny z uczestników serii. – Jako dziecko miewałem często nocne koszmary. Pamiętam, z jaką ulgą budziłem się z takiego snu. W szczytowym momencie mojego ćpania było na odwrót. Koszmar zaczynał się wtedy, kiedy tylko się ocknałem”.

– Tutaj, na Dolnym Śląsku, terapeuci z dłuższym stażem pamiętają jeszcze spustoszenie, jakie w organizmach uzależnionych robił kompot, czyli tak zwana polska heroina – mówi Wojciech Fijałkowski. – Nowa generacja narkotyków, jak mefedron czy amfetamina, rujnuje głównie psychikę, bardzo szybko. Z moich obserwacji podczas sesji terapeutycznych wynika, że właściwie 100 proc. biorących stale mefedron cierpi na omamy, paranoje i napady lękowe. Uzależnieni od tego narkotyku tracą też często apetyt i bardzo chudną, ale łaknienie wraca stosunkowo szybko po odstawieniu. Zmian wywołanych w mózgu przez mefedron cofnąć się nie da. Znam osoby, które odstawiły ten narkotyk kilkanaście lat temu, ale wciąż są w terapii psychiatrycznej. Jednocześnie wielu z nich szczerze przyznaje, że tęskni za tym wspaniałym uczuciem, które towarzyszyło im na mefedronowym haju.

W podkaście Mestoslawa Małgorzata (siedem lat zażywania narkotyków) opisuje to następującymi słowami: „Byłam tak nieśmiała, że wstydziłam się zadzwonić po pizzę. Po mefedronie mogłam prowadzić ostre spory ideologiczne z kimś, kogo wcześniej nie widziałam na oczy. Czułam, że wreszcie mogę o siebie zaważyć”. Tak dobrze jest jednak tylko na początku ćpania.

Lek na lęk

Na jednej z ikonicznych fotografii zrobionych tego dnia mężczyzna o skołowanym spojrzeniu wychodzi z nowojorskiego biurowca z kartonem pełnym szpargałów. Jest 15 września 2008 r. Kilka godzin wcześniej upadłość ogłosił bank Lehman Brothers, jeden z symboli potęgi amerykańskiego sektora finansowego. Sfotografowany makler jest jednym z 25 tys. pracowników Lehmana, którzy właśnie stracili pracę. Kryzys wywołany bankructwem jego możnego pracodawcy w kolej-

Starsze narkotyki, choćby słynny polski „kompot”, szybko niszczyły organizmy osób uzależnionych.

Substancje nowej generacji, jak mefedron czy amfetamina, **rujnują głównie psychikę.**

nych latach kosztować będzie światową gospodarkę co najmniej 15 bilionów dolarów. Około 40 milionów pracowników, także z branż niezwiązanych z finansami, otrzyma wypowiedzenie, a banki przejmą niespłacone hipoteki setek tysięcy kredytobiorców, którzy wylądują z powrotem kątem u rodziców lub na ulicy. 15 września skończy się błogi neoliberalny sen o globalnej gospodarce, która nagradza pracowitych.

Być może to tylko zbieg okoliczności, ale rok 2009, apogeum kryzysu finansowego, jest także początkiem błyskawicznego pochodu mefedronu przez kraje rozwinięte.

Badacze uzależnień podejrzewają, że za szybkie rozpowszechnienie nowego narkotyku w Europie mogła odpowiadać także... polityka antynarkotykowa. W Holandii mefedron pojawił się najprawdopodobniej w wyniku niedoboru MDMA (tzw. ecstazy), który zmusił tamtejszych producentów „tabletek” do zastępowania tego związku łatwiejszym do zdobycia zamiennikiem. Równie ciekawym przypadkiem była Wielka Brytania: tu światek przestępczy w wirtuozerzki sposób wykorzystał rodzące się w owym czasie media społecznościowe do reklamowania nowego narkotyku, tańszego od kokainy. W ankiecie przeprowadzonej na Wyspach w lipcu 2010 r., czyli niespełna dwa miesiące po delegalizacji mefedronu, aż 63 proc. respondentów przyznało, że nadal przyjmuje ten narkotyk. Od momentu delegalizacji jego cena wzrosła za to dwukrotnie, ale wciąż była znacząco niższa od kosztu zakupu kokainy – ulubionego „narzędzia pracy” białych kołnierzyków z londyńskiego City. Na korzyść nowości długi czas przemawia także to, że w przeciwieństwie do kokainy jest legalna, z czego część użytkowników wyciąga błędny wniosek, że musi również wolniej uzależniać.

Zróbmy sobie epidemię

Badacze śledzący zawrotną karierę mefedronu w Wielkiej Brytanii wskazują zgodnie na destrukcyjną rolę mediów w jego popularyzacji. Najgorszą robotę zrobiły tabloidy. W listopadzie 2009 r. „The Sun” opublikował historię nastolatka, który na mefedronowym „badtripie” miał odebrać sobie mosznę, bo wydawało mu się, że po ciebie pełzają stonogi. Historia okazała się wyssana z palca, podobnie jak późniejsze o cztery miesiące rewelacje „Daily Star” o szkole w Leicestershire, w której w kilka tygodni 180 uczniów miało ciężko uzależnić się od nowego narkotyku nazywanego przez młodzież *meow-meow* (ang. miao-miao). W narrację o pochodzie nowej śmiertelnej substancji przez kraj ochoczo włączyły się jednak lokalne media, przypisując odtąd niemal każdy trudny do wyjaśnienia zgon w okolicy zażyciu mefedronu.

Po przeanalizowaniu wszystkich doniesień medialnych Rada Doradczą ds. Nadużywania Narkotyków, w raporcie dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych tylko w dwóch przypadkach doszła do wniosku, że śmierć faktycznie nastąpiła po zażyciu mefedronu. Ośmieszeni wydawcy tłumaczyli się, że nagłaśniając sprawę, działali w interesie publicznym. W rzeczywistości – jak konkludują badacze tematyki – zafundowali producentom i dilerom mefedronu darmową reklamę.

W identyczny sposób polskie media usprawiedliwiają dziś sensacyjny ton doniesień o fentanylu. Przeglądając krajowe serwisy informacyjne można dojść do wniosku, że trwa wręcz wyścig o to, kto pierwszy wytropi między Odrą a Bugiem odpowiednik filadelfijskiej Kensington Avenue czy Tenderloin District w San Francisco, które ten narkotyk istotnie zmienił w siedliska narkotykowych zombies, zastygających na chodnikach w dziwnych pozycjach.

„Fentanyl zabija na Mazowszu” – alarmuje TVN w reportażu opublikowanym w kwietniu. Temat natychmiast podchwytuje tabloid „Fakt”, pisząc w swoim stylu o „nowym narkotyku”, w dodatku tak silnym, że „zabija już nawet przy pierwszym zażyciu. Nie zdążymy się zorientować, że umieramy”.

26 maja do sprawy wraca Wirtualna Polska. „Zabójczy narkotyk dotarł do Polski” – alarmują dziennikarze portalu. Tego samego dnia i niemal tymi samymi

słowami o tym samym pisze ostrożny za zwyczaj „Dziennik Gazeta Prawna”, pytając przy tym dramatycznie: „czy czeka nas epidemia fentanylu?”. Wiadomości z ogólnopolskich gazet, serwisów i stacji telewizyjnych powielają potem regionalne media, często nadając tematyczne lokalny kontekst, np. wzbogacając notkę o informację o zwiększonej liczbie zgonów w regionie.

Forma i liczba tych doniesień buduje mylne wrażenie, że zagrożenie słynnym już nawet z seriali Netfliksa fentanylem przybiera w Polsce gwałtownie na sile. Rzecz w tym, że wszystkie wymienione wyżej informacje odnoszą się do jednej zaledwie miejscowości, mazowieckiego Żuromina, w którym – jak ustalili dziennikarze Uwagi TVN – od kilku lat funkcjonuje zapewne grupa przestępcza, specjalizująca się w odzyskiwaniu fentanylu z leków na receptę. Kiedy tym tropem już na trzeźwo rusza „Rzeczpospolita”, okazuje się, że w Żurominie odnotowano jedynie trzy potwierdzone przypadki zgonu po zażyciu fentanylu. Jeden w 2021 r. oraz dwa... siedem lat wcześniej. Zdaniem pracowników Głównego Inspektoratu Sanitarnego największym problemem powiatu żuromińskiego, jeśli chodzi o konsumpcję narkotyków, są dziś substancje dostępne na receptę, głównie przeciwbólowy tramadol.

Gramy i kilogramy

Nie znaczy to oczywiście, że zagrożenie fentanylem w ogóle w Polsce nie istnieje.

Główny Inspektorat Sanitarny podaje, że w tym roku zanotował już 48 przypadków zatrucia tą substancją. Statystyki GIS pokazują też, że częstotliwość, z jaką ten narkotyk pojawia się na polskim rynku, istotnie rośnie, ale skala procederu wciąż jest marginalna. Zdaniem cytowanych przez „Rzeczpospolitą” analityków Ministerstwa Zdrowia, konsumpcja wszystkich substancji z grupy opioidów, do których zalicza się ten narkotyk, ma w Polsce od lat tendencję spadkową, a wynika to w głównej mierze z chłodnej kalkulacji samych środowisk przestępczych, które zakładają, że na krajowym rynku bardziej opłacalna jest dystrybucja substancji o działaniu pobudzającym, zarazem mniej niszczącym organy wewnętrzne klienta. Co roku policja konfiskuje w całym kraju około 100-120 gramów fentanylu. Dla porównania, tylko jedna akcja przeprowadzona latem 2021 r. przez lubuski oddział Centralnego Biura Śledczego zaowocowała zarekwirowaniem 879 kg mefedronu, który miał trafić na ulice polskich i niemieckich miast.

Dzięki lepszemu rozpuszczalności w tłuszczach i łatwiejszemu przenikaniu do mózgu fentanyl działa na ludzki organizm około sto razy silniej od spokrewnionej z nim morfiny. W Polsce od lat stosuje się go w medycynie paliatywnej, głównie do leczenia tzw. bólu przebijającego, czyli w sytuacji, gdy zawodzą inne skrajnie silne środki przeciwbólowe. W USA stał się jednak plagą, o wywoła-

nie której amerykański Kongres formalnie oskarża Chiny: Pekin ma tolerować produkcję i wspierać przemysł fentanylu do Meksyku, skąd narkotyki trafiają potem na ulice amerykańskich miast, z reguły wymieszane z innymi substancjami psychoaktywnymi, a czasem nawet z chemią gospodarczą. Tylko w San Francisco – jak podał niedawno tamtejszy ratusz – policja skonfiskowała w 2023 r. fentanyl, którego starczyłoby na blisko 9 mln silnych dawek. Amerykański Narodowy Instytut Badania Uzależnień NIH w ostatnim raporcie podaje, że w ciągu zaledwie dekady począwszy od 2012 r. liczba zgonów po zażyciu narkotyków wzrosła w tym kraju z 40 do blisko 108 tys. (rocznie). Najtragiczniejsze żniwo zbiera fentanyl, który w 2022 r. stał za ponad 75 tys. zgonów.

Amerykańskie statystyki powinny działać alarmująco na polskie władze, bo pokazują, że stracony z pola widzenia fentanyl dzięki bardzo silnym właściwościom uzależniającym może szybko doprowadzić do katastrofy. Przy szacowaniu skali tego zagrożenia, także w mediach, nie wolno jednak pominąć choćby korzystnego dla nas kontekstu społecznego. Według najnowszych danych liczba bezdomnych Amerykanów w styczniu 2023 r. przekroczyła 645,3 tys. – czyli 0,2 proc. populacji kraju. Identyczne badanie, przeprowadzone w tym samym czasie na ulicach polskich miast przyniosło wynik na poziomie 30 tys. osób, czyli niespełna 0,08 proc. populacji.

© MAREK RABIJ

Lato z „Tygodnikiem”

TYGODNIK
POWSZECHNY

38% TANIEJ

za 62 dni nieograniczonego dostępu
49,90 zł zamiast ~~80 zł~~!

Kup na powszech.net/lato

WIĘCEJ
INFORMACJI



OFERTA WAŻNA
DO 31 SIERPNIA 2024

Kim jest dzisiejszy mężczyzna

SZYMON ŻYŚKO

Pod określeniem „kryzys męskości” kryją się różne zjawiska, w zależności od tego, kto ów problem definiuje.

Media są pełne materiałów z prostymi tezami o incelach i gniazdownikach, ale one tylko fałszują obraz rzeczywistości.

HASŁO „KRYZYS MĘSKOŚCI” JAKO trend w internetowych wyszukiwaniach pojawia się po raz pierwszy ponad dekadę temu. Obserwacja jego popularności nie daje wiarygodnych odpowiedzi na pytanie o kondycję mężczyzn, ale ukazuje ścieżkę rozwoju narracji o tym, że mężczyźni są w kryzysie. Największe piki zainteresowań występują podejrzanie blisko takich wydarzeń jak aneksja Krymu przez Rosję, powstanie ruchu #metoo, kryzys Kościoła w Polsce w związku z pedofilią wśród księży, pandemia, światowy kryzys finansowy, inflacja, kryzys migracyjny, protesty aborcyjne czy też pełnoskalowa napaść Rosji na Ukrainę. To, czy można je ze sobą wiązać bezpośrednio, pozostaje hipotezą trudną do udowodnienia. Internetowe trendy nie mają rangi poważnych badań socjologicznych. Można jednak wysnuć wniosek, że zainteresowanie kryzysem męskości jest powiązane z niepokojami społecznymi i kondycją samych mężczyzn, którzy kreują konflikty, nie potrafią im zapobiec albo ich rozwiązać.

Co nas uwiera

Na czym jednak ten kryzys polega? Co mamy na myśli, mówiąc, że męskość domaga się zmiany? I czy jej potrzebę dostrzegają sami mężczyźni? – Jedni powiedzą, że chodzi o wyczerpanie się pojęcia męskości rozumianej tradycyjnie i utożsamianej, często nietrafnie, z siłą, sprawnością, odwagą, sprawczością, racjonalnością, ale też agresją oraz pragnieniem „ostrego” seksu – opisuje zjawisko socjolog Jarema Piekutowski. – Drudzy uznają, że raczej chodzi o to, iż panowie już nie potrafią być mężczyznami, są

przewrażliwieni, lękliwi, słabi i nieodpowiedzialni, więc nie umieją zdobyć bogactwa i pozycji, gdyż nie są odpowiednio zahartowani emocjonalnie. Brak im samodyscypliny, zaradności albo są uzależnieni i to odbiera im siłę. Jeszcze inni powiedzą, że tradycyjne ujęcie męskości wcale się nie zestarzało, ale współczesny świat nie pozwala tak rozumianej męskości realizować.

W rzeczywistości, zdaniem socjologa, ujmowanie opisywanego kryzysu tylko na podstawie płci jest fałszywe, gdyż pewne nurty nauk krytycznych wskazują, iż nie powinno się mówić o „męskości” lub „kobiecości”, bo w sprawach podstawowych nie różnimy się od siebie, a różnice między nami są głównie biologiczne. Wszelkie inne, np. predyspozycje do danych zawodów lub cechy osobowościowe, są wynikiem kształtowania kulturowego. Jednak – zaznacza Piekutowski – nie wszystkie badania potwierdzają tę tezę. Zresztą w niektórych zawodach wciąż siła fizyczna ma ogromne znaczenie, choć i tam pojawia się miejsce dla silnych pań, łamiących stereotyp.

Prawdą jest na pewno to, że przedstawiciele obu płci coś mocno uwiera. – Kobiety nie są zadowolone z mężczyzn. Jedne mają im za złe wiele lat przemocy, patriarchy i władzy, a z kolei inne słabość, brak odpowiedzialności, niezaradność. Mężczyźni z kolei nie są zadowoleni z samych siebie i własnego życia, bo mają poczucie, że nie dają rady, a świat jest przeciwko nim. Widać dyskomfort, którego nie było jeszcze 15-30 lat temu – twierdzi socjolog.

Jarema Piekutowski zauważa też, że podgrzewanie klimatu męskiego kryzysu to ogromny kapitał, którym grają



politycy i biznes. – Cywilizacja konsumpcyjna każe nam, mężczyznom i kobietom, żyć we wzajemnej nieufności i nakręca niesłychaną spiralę oczekiwań wobec życia i siebie nawzajem. Miłość oraz zaufanie nie są na rękę polityce, mediom i wielkiemu biznesowi. Są dla nich zagrożeniem, które polega na tym, że człowiek bez kupowania, oglądania i tworzenia różnic ideologicznych wytworzy sobie coś, co zaspokaja jego potrzeby – mówi.

Zdaniem socjologa lewicowo-prawicowa wojna wokół patriarchy to zaśłona dymna, która nie pozwala dostrzec istoty problemu. W efekcie dyskurs o kryzysie męskości wzmacnia najgorsze stereotypy. – Tymczasem przeciętny mężczyzna naprawdę nie



DYMITER KUTZ / FORUM

jest przemocowym maczo – zaznacza Piekutowski.

Wypaleni i niedojrzali

Z najnowszych danych Eurostatu wynika, że 65 proc. mieszkańców w Polsce mężczyzn w wieku od 18 do 34 lat wciąż mieszka z rodzicami i nie zawsze jest to wybór powodowany względami ekonomicznymi; pojawiają się też te emocjonalne. Panów przerasta życie w pojedynkę, co dotyka głównie młodych mężczyzn, ale to niejedyny problem. 7 na 10 najbardziej obawia się utraty stabilności finansowej, a to jest wrogiem na trzecim miejscu, tu zaś największy lęk pojawia się przed nowotworami,

na które mężczyźni umierają częściej niż kobiety, bo później je diagnozują. Trzy czwarte mężczyzn cierpi na nadwagę lub otyłość, a co czwarty chodzi do lekarza rzadziej niż raz do roku. *Summa summarum*, Polacy żyją średnio osiem lat krócej niż Polki (73 vs. 81).

Najnowszy raport PISA ujawnia z kolei, że w kwestii edukacji – ważnej dla budowania przyszłości – już młodzi chłopcy wypadają gorzej niż ich rówieśniczki. Gorzej radzą sobie z czytaniem ze zrozumieniem, częściej powtarzają klasę i rzadziej zdają maturę. Tylko co trzeci mężczyzna zdobywa wyższe wykształcenie. Wśród kobiet to połowa.

W 91 proc. przypadków to mężczyźni są sprawcami przemocy domowej, ale

jako ofiary ponad dwukrotnie rzadziej zgłaszają, że jej doświadczyli. Mają też większe trudności ze znalezieniem partnerki, zwłaszcza ci młodzi. Singli urodzonych po 1989 r. jest dwa razy więcej niż singlek. Na dodatek nie rozumieją przyczyn swojej słabnącej pozycji, a kobiety nie rozumieją, co się z nimi dzieje, i chętniej szukają partnerów wśród starszych, dojrzałych mężczyzn. Według badania „Poczucie samotności wśród dorosłych Polaków” zjawisko to ma dziś twarz młodego mężczyzny.

Socjolożka i znana badaczka męskości, dr hab. Katarzyna Wojnicka z Uniwersytetu w Göteborgu, uważa, że nie mamy kryzysu męskości, a przynajmniej nie wygląda on tak, jak starają się to ukazywać media. W jej opinii jest to raczej koncepcja, nie stan faktyczny.

– Badacz płci prof. Michael Kimmel zauważył, że koncepcja kryzysu męskości jest powracającym pojęciem skorelowanym z wydarzeniami i zmianami w społeczeństwie, w których zazwyczaj chodzi o emancypację kobiet. Dla mnie „kryzys męskości” jako fraza jest chochołem, który ma przykryć, że jesteśmy w momencie historycznym, w którym kobiety znów domagają się poszerzenia swoich praw, np. do aborcji. Tyle że przecież wielu mężczyzn je w tym wspiera. Tu zaś dochodzimy do czegoś, co przeczy zero-jedynkowej narracji. Męskość nie jest homogeniczna. Mówiąc o męczyznach, nigdy nie mówimy o ogóle. Nie ma czegoś takiego – wskazuje badaczka.

W dyskursie brakuje jej zniuansowania, podziału na podgrupy, zróżnicowania ich na podstawie pozycji w hierarchii władzy, z których każda w inny sposób podchodzi do przemian. – W swoich analizach posługuję się triadą: przywileje, koszty i różnice męskości. Bilans przywilejów i kosztów pokazuje, że ci na dole hierarchii płacą największe koszty bycia mężczyzną w porównaniu z tymi na szczycie. Muszą swojej męskości bronić i ją potwierdzać – mówi Wojnicka.

Facet, istota w depresji

Jednym z głównych kosztów ponoszonych przez mężczyzn jest osłabienie ich dobrostanu emocjonalnego. Psychika to wyjątkowo zaniedbany aspekt męskiego zdrowia. Widać to w danych NFZ. Zaledwie co czwarty pacjent leczący się na depresję to mężczyzna. ➔

→ Za to z danych Komendy Głównej Policji wynika, że aż 85 proc. ofiar samobójstw w minionym roku to panowie. Zarazem liczby te nie obejmują wypadków komunikacyjnych, a to w nich mężczyźni często odbierają sobie życie. Robią to również pod wpływem środków psychoaktywnych, najczęściej alkoholu. Na zjawisko uzależnienia są trzykrotnie bardziej narażeni niż kobiety. Częściej ulegają też wypaleniu zawodowemu.

– Zupełnie inne przywileje i koszty związane z męskością płaci psycholog z dużego miasta, a inne rolnik z małej miejscowości. Inaczej należy spojrzeć też na rolnika, który mieszka na zachodzie, a inaczej na tego ze wschodu. Także wśród osób LGBT+ widać rozwarstwienie, dlatego tak wiele z nich wybiera duże miasto, gdzie łatwiej jest być gejem. Inne są też finanse, dostęp do dóbr kultury, jakości edukacji. Wpływa to na późniejsze radzenie lub nieradzenie sobie z trudnymi sytuacjami – podkreśla socjolożka.

Część mężczyzn broni jednak patriarchatu, który nic im nie daje i ich krzywdzi. Umacniają go, mając nadzieję, że kiedyś awansują do wyższej klasy. – Realną władzę sprawuje wąska grupa uprzywilejowanych ekonomicznie i społecznie mężczyzn. Inni nie posiadają odpowiednich zasobów finansowych czy edukacyjnych, ale zaciekle bronią kultu tradycyjnej męskości związanej z siłą. To daje im tzw. dywidendę patriarchalną – wyjaśnia socjolożka, zaznaczając zarazem, iż mężczyźni również doświadczają dyskryminacji systemowej. – Obowiązkowa służba wojskowa tylko dla mężczyzn jest dla mnie wyrazem dyskryminacji ze względu na płeć. Tak samo jak np. tendencja w sądach do przyznawania opieki nad dzieckiem matce, mimo że ojcu nie można nic zarzucić. Wszędzie, gdzie płeć powoduje, iż ktoś coś ma, a druga osoba tego nie ma albo ma obowiązki skorelowane z płcią biologiczną, mówimy o dyskryminacji – tłumaczy badaczka męskości.

Zdaniem dr hab. Katarzyny Wojnickiej, tak jak nie można wrzucać wszystkich mężczyzn do jednego worka, tak tworzenie dychotomii: mężczyźni kontra kobiety sprawia, że wchodzimy w wojnę płci. – A to droga donikąd – podkreśla.

Mężczyźni pragną zmian

Zdaniem Mikołaja Foksa, twórcy podcastu i bloga Zawód & Ojciec, kryzys męskości to realny problem. – Jest na tyle głęboki, że wielu mężczyzn już dotyka dna, ale część decyduje się od niego odbić. Dobitnie doświadczają, że nie ma już typowo męskich ról czy zawodów, przez które definiowali się od niepamiętnych czasów. Emancypacja kobiet – ważna i potrzebna – doprowadziła do tego, że mężczyźni są dziś słabiej wykształceni, jak też osamotnieni. Zatrzymali się, a kobiety poszły dalej. Zmieniający się świat coraz mniej ceni pracę fizyczną, a coraz bardziej stawia na kompetencje społeczne. W miejsce ujarzmionych chorób ciała weszły choroby

REKLAMA

JUŻ W SPRZEDAŻY



KEVIN P. SPICER

KSIĘŻA HITLERA

Kler katolicki i narodowy socjalizm

„Spicer dowodzi, że brunatni księża ostatecznie odgrywali rolę ważnego mostu łączącego starsze tradycje katolicko-chrześcijańskiego antysemityzmu z rasistowskim antysemityzmem nazizmu”.

Derek Hastings,
Oakland University, „Journal of Contemporary History”

**Fascynująca
i porażająca!**



słowo/obraz terytoria

psychiki, z którymi radzimy sobie gorzej niż kobiety – wyjaśnia.

Prócz działalności blogowej i podkastowej Foks prowadzi również warsztaty i grupy rozwojowe dla mężczyzn oraz męskie kręgi pod patronatem Fundacji Masculinum. – Najbardziej męską rzeczą jest dziś po prostu przebywanie w męskim gronie. Na szczególną uwagę zasługują grupy ojcowskie, bo to chyba ostatnia typowo męska rola. Chęć stawania się lepszym ojcem jest doskonałą okazją, żeby wzmacniać cechy tradycyjnie przypisywane kobietom: wrażliwość, opiekuńczość, uczuciowość. To okazja do szukania sposobu przeżywania ojcostwa i męskości, który nie będzie powieliał destrukcyjnych schematów wyniesionych z doświadczeń z własnymi ojcami – mówi Foks.

Podczas zajęć spotyka się również z mężczyznami bardzo świadomymi zmian, własnych potrzeb i dezintegracji starych wzorców. Przychodzą, by znaleźć bezpieczną przestrzeń na rozmowę o tym, co przeżywają. – Nowe ojcostwo i nowa męskość wykuwają się tu i teraz. Mężczyznom stare wzorce nie odpowiadają, chcą szukać nowych, ale bez narzucania ich – podkreśla.

Gorsi niż kiedyś?

Temat zajmuje również psychologa dr. Kamila Janowicza, pracownika naukowego SWPS. – Kryzys to sytuacja, w której dotychczasowa formuła, sposób działania i funkcjonowania wyczerpały się wobec zmieniającej się rzeczywistości. Możemy mówić o kryzysie, bo „stare” wzorce męskości wydają się nie przystawać zarówno do oczekiwań, jakie dziś wobec mężczyzn się formułuje, jak również do potrzeb ich samych – mówi badacz ojcostwa oraz autora bloga *Father_ing*. – Mamy dziś różne ścierające się i ewoluujące propozycje, ale stare wzorce są nadal silne. To budzi zamęt i dezorientację u mężczyzn. Wielu z nich nie wie, jak swoją męskość konstruować, wokół jakich wartości i cech ją budować – dodaje. – Nie zgodziłbym się natomiast z takim rozumieniem kryzysu męskości, że mężczyźni są dziś gorsi niż kiedyś. Nie są.

Za najważniejsze problemy dr Janowicz uważa m.in. wypracowanie nowego pozytywnego wzorca męskiej tożsamości oraz ojcostwa, uświadomienie społec-

Część mężczyzn broni
patriarchatu,
który nic im nie daje
i ich krzywdzi.

Umacniają go, mając nadzieję,
**że kiedyś awansują
do wyższej klasy.**

czeństwu presji sprzecznych oczekiwań wobec mężczyzn oraz uznanie dyskryminacji mężczyzn w pewnych sferach. – Ojcom brak wsparcia społecznego i systemowego. Profilaktyka i programy leczenia skierowane do mężczyzn nie przynoszą skutku, w efekcie czego częściej chorują, szybciej umierają i częściej popełniają samobójstwa. Kwestia nierówności i dyskryminacji wobec mężczyzn jest mocno marginalizowana i wyśmiewana. Nie jest też przedmiotem zainteresowania polityków, co tworzy poczucie, że świat „olewa” mężczyzn i daje pole do rozwoju radykalnych ruchów – wyjaśnia.

Wśród przejawów dyskryminacji dr Janowicz wymienia m.in. nierówny wiek emerytalny, obowiązkową kwalifikację wojskową czy nierówny dostęp do edukacji przedporodowej. – Rozporządzenie Ministerstwa Zdrowia przypisuje ją wyłącznie do kobiety, choć jednocześnie podkreśla, że ma ona zwiększać kompetencje i wiedzę osoby bliskiej, towarzyszącej przy porodzie – mówi psycholog. Mężczyźni słyszą, że mają się angażować, leczyć, dbać o siebie, ale nie wiedzą jak – trafiają na biurokratyczne i systemowe blokady.

– Kwestie dotyczące problemów mężczyzn nie są przeciwko kobietom. Razem żyjemy w społeczeństwie i byłoby dobrze, gdyby tak jak mężczyźni chcą walczyć np. z luką płacową wobec kobiet albo przemocą seksualną, tak kobiety angażowały się we wspieranie mężczyzn – podsumowuje dr Janowicz.

Bohater zbiorowy

Najważniejsza jest obecnie potrzeba zdefiniowania realnych trudności i potrzeb różnych męskich grup. Zrozumienia, czym jest męskość i jak się przejawia: co wynika z obiektywnych ograniczeń,

a co jest nabytkiem kulturowym. Drogę do tego wskazuje psychiatra dr hab. Krzysztof Krajewski-Siuda w książce „Męska depresja. Jak rozbić pancierz”: „Tożsamość jest dynamicznym procesem, a nie stałą lub określonym stanem. Rozwija się, a nie zmienia drastycznie. U mężczyzn ważną rolę odgrywają cztery psychodynamizmy: agresywność, dominacja, zależność emocjonalna i seksualność. Są jak naczynia połączone; to rodzaj pierwotnej siły, instynktów, które działają nie zawsze świadomie. Ta siła szuka ujścia, próbuje się wydostać czterema drogami. Stąd każdy mężczyzna ma aspiracje, do których zaspokojenia dąży. Jeśli jeden z tych psychodynamizmów wyłączymy, pozbawimy się ekspresji, a energia będzie szukała ujścia w pozostałych, co prowadzi do patologii i wypaczenia”.

Media są dziś pełne materiałów opartych na rozmowach z ludźmi przypisywanymi do łatwo konstruowanych kategorii: gniazdownik żyjący z mamą, niewidzący kobiet zakompleksiony incel czy toksyczny maczo. Wszystko to ma potwierdzić popularne tezy. Tymczasem o kryzysie męskości nie da się mówić z poziomu odpowiedzialności zbiorowej. Poważne podejście wymaga zejścia do poziomu jednostki przy jednoczesnym odczytywaniu jej w kontekście zależności społecznych. Męskość domaga się przemiany w praktyce, a nie w teorii.

Bez względu na to, jak określimy kryzys męskości, mężczyźni stoją dziś przed ważnym zadaniem zdefiniowania męskiej tożsamości wobec nowych wyzwań. – Zmiany muszą iść z obu stron. Zmiana oddolna bez zmian systemowych będzie napotykała na wiele blokad i będzie wolniejsza. Zmiana systemowa, czyli narracja, ale też prawo, bez oddolnych inicjatyw staną się wymuszaniem czegoś lub wręcz pustym działaniem – mówi dr Janowicz. © SZYMON ŻYŚKO



**DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA”** co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka
w Polskim Radiu RDC. Audycję

można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

NIC PO NIM

TOMASZ P. TERLIKOWSKI:

Abp Marek Jędraszewski poniósł klęskę
jako przywódca episkopatu i metropolita krakowski.
Nawet biskupi nie potrzebują już jego ideologicznych klisz.



MACIEJ MÜLLER: Na początku książki, która niebawem się ukaże, przytacza Pan dwie wypowiedzi abp. Jędraszewskiego: „Mamy kochać Boga, stawiając Go jako pierwszego, kochając jednocześnie drugiego człowieka” oraz „Czerwona zaraza po naszej ziemi nie chodź. Co wcale nie znaczy, że nie ma nowej, która chce opanować nasze dusze, serca i umysły”. Czy to na pewno mówi ten sam człowiek?

TOMASZ TERLIKOWSKI: W myśleniu abp. Jędraszewskiego między tymi zdaniem nie ma sprzeczności. Poniekąd go rozumiem, bo sam długo myślałem w taki sposób. W tym ujęciu „braterskie upomnienie” jest „uczynkiem miłosierdzia względem duszy”. Ostrość języka, werbalny atak ma służyć wybudzeniu

człowieka z letargu. Pytanie, czy to skuteczny model komunikowania miłości. Choć uczciwie trzeba przyznać, że arcybiskup ma odbiorców w Kościele. Zasadniczo: im od niego dalej, tym łatwiej przyjmować jego myślenie. Bo w tych dalszych kręgach mniej wiadomo o tym, jak abp Jędraszewski faktycznie traktuje ludzi.

Ostatnio głośna jest sprawa odebrania probostwa parafii mariackiej ks. Dariuszowi Rasiowi i stylu, w jakim się to dokonało.

Arcybiskupowi udało się osiągnąć tyle, że ks. Raś, który nie był specjalnie uwielbiany wśród duchownych, stał się teraz w ich oczach prześladowanym bohaterem. Bo nie poddał się żądaniom ustąpienia po przeprowadzonym w parafii audycie i zarzutom o nieprawidłowości finansowe. Nie jest jedynym proboszczem odwołanym w ten sposób i stawiającym opór kurii; znam także inny przypadek.

Co to mówi o sposobie zarządzania diecezją?

To autorytaryzm, w którym biskup jest „królem słońce”. Może wszystko, dysponuje wiedzą wlaną, nie musi się konsultować z nikim i sądzi, że prawo go nie obowiązuje. Proboszczowie odwołali się do Watykanu; nie wiem, czy wygrają, ale mają na to szansę, ponieważ prawo kanoniczne nie jest mocną stroną arcybiskupa i jego współpracowników. Abp Jędraszewski jakby nie zdawał sobie sprawy, że wprowadzie biskup jest ważną instytucją w Kościele, ale równie ważną i prawnie zabezpieczoną jest proboszcz – wola biskupa nie wystarczy do jego odwołania.

Arcybiskup nie liczył się też z wolą wiernych.

Rada duszpasterska próbowała się z nim skontaktować od wielu miesięcy. Chciała pokazać, że raport z audytu jest nierzetelny, jego autor osobiście zainteresowany odwołaniem ks. Rasia, a wcześniej, jako jego podwładny, popadł z nim w konflikt. Abp Jędraszewski zignorował świeckich. Wychodzi tu czarno na białym, że w Kościele brakuje mechanizmów kontrolnych. Biskup jest najwyższą władzą ustawodawczą, wykonawczą i sądową

niczą. Jeśli się uprze, to poza Stolicą Apostolską nikt nie może go powstrzymać.

Co właściwie mogą świeccy wobec takiego zarządcy diecezji?

Mogą pójść ze skargą do nuncjatury i liczyć na to, że nuncjusz nie jest zblatowany z episkopatem. Warto powiadomić media o złożonym tam piśmie, to bardzo pomaga – instytucje kościelne działają inaczej, kiedy o sprawie wie ktoś więcej. Taki model sprawdził się w przypadku metropolity gdańskiego abp. Sławoja Leszka Głódzia – wtedy poinformowano media włoskie, co wpłynęło na zaangażowanie Stolicy Apostolskiej. Tylko że to wszystko dotyczy nie zwalniania proboszczów, ale spraw najgrubszych – tuszowania przestępstw seksualnych, nieprawidłowości finansowych, mobbingu. Tych, gdzie działania Kościoła wchodzą w konflikt z prawem państwowym. Niestety, Kościół nie załatwia własnych problemów, dopóki nie jest do tego zmuszony.

A fakt, że ludzie odchodzą z Kościoła, nie wywiera nacisku na biskupów?

To nie jest zjawisko masowe, daleko nam do Niemiec. Ludzi faktycznie jest w kościołach mniej, ale jak mówi mój znajomy ksiądz – ci, co zostali, dają więcej. Dla pewnej części polskich biskupów Ewangelia nie ma znaczenia, ma ją natomiast kasa i dopóki ona się zgadza, nie będą się niepokoili odejściami. Wstrząs przyjdzie, kiedy Kościół zderzy się z ziemią, czyli nie będzie powołań, nie będzie kogo wysyłać na parafie, trzeba będzie likwidować placówki, a diecezje zaczną bankrutować na skutek wypłacanych odszkodowań.

Niedobrze, jeśli tylko od woli biskupa zależy, czy rada parafialna zostanie wysłuchana.

Nawet jeśli by do tego doszło, to zarzuty wobec abp. Jędraszewskiego i jego najbliższych współpracowników badałoby abp Jędraszewski i jego najbliżsi współpracownicy. Na tym polega dramat instytucji Kościoła. Członkowie rady nie mają do kogo pójść. Bo gdzie, do sądu metropolitalnego, który zależy od biskupa? Pozostają tylko media.

Do tego pasuje jako symbol zamurowanie okna papieskiego w kurii krakowskiej.



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Abp Marek Jędraszewski w katedrze wawelskiej podczas mszy na rozpoczęcie Wielkiego Postu, Kraków, 14 lutego 2024 r.

→ Zasłonięcia okna, które przypominało o dialogach prowadzonych z młodzieżą przez Jana Pawła II, nie odnosiłbym tylko do poglądów arcybiskupa: powiedzmy sobie szczerze, że wśród duchownych archidiecezji znaleźlibyśmy wielu, którzy myśłą podobnie jak abp Jędraszewski o Kościele, sprawach społecznych czy politycznych. Problem z nim mają na innej płaszczyźnie. Karol Wojtyła, Franciszek Macharski i Stanisław Dziwisz prowadzili politykę otwartych drzwi, w razie potrzeby przyjmowali księży nawet do nocy. Ks. Tadeusz Isakowicz-Zalewski, który przecież przez lata prowadził ostry spór z kard. Dziwiszem, nigdy nie miał problemu, by się z nim osobiście spotkać, a kiedy zapraszał go do Radwanowic na spotkanie z podopiecznymi, miał pewność, że kardynał przyjedzie. Tymczasem telefony do sekretarza abp. Jędraszewskiego nie dawały nic.

Krakowscy księża czekają miesiącami i latami na rozmowę z metropolitą. W rozmowach mówili mi, że to właśnie zamknięcie przed nimi kurii zarzucają Jędraszewskiemu najbardziej. Spotyka się jedynie z wąskim gronem współpracowników, choć i z tej grupy można niespodziewanie wypaść. Tak jak to było z pracownikami biura prasowego, potraktowanymi w dodatku poniżającym oświadczeniem kurii mającym sprawić wrażenie, że zwolniono te, które nie były wystarczająco świątobliwe.

Poprzedni rzecznik kurii nie miał nawet telefonu do arcybiskupa, decyzje „góry” zapadają zupełnie nietransparentnie – cóż to za model zarządzania instytucją?

Taki, który musi skończyć się porażką. To o tyle ciekawe, że ci, którzy współpracowali z ks. Jędraszewskim jako naczelnym „Przewodnika Katolickiego” na początku jego kariery, wspominają go jako dobrego szefa. Ale już jako szef katedry na uczelni kontaktował się z podwładnymi przy pomocy kartek zostawionych na biurku. Ten model zarządzania doprowadził do perfekcji jako biskup. To pewnie wynika z jego cech osobowościowych, ale co ważniejsze – także z tego, że został przez system kościelny złamany podczas sprawy abp. Juliusza Paetza w Poznaniu. To wtedy, by posłużyć się Mickiewiczem, umarł biskup Marek, narodził się arcybiskup Jędraszewski.

Przypomnijmy, że jako biskup pomocniczy poznański został poinformowany przez rektora seminarium i braci Węclawskich o tym, że abp Paetz molestuje kleryków. I początkowo zachował się jak należy: pojechał z tą informacją do nuncjusza.

Dodajmy, że te wydarzenia rekonstruujemy z niewielu puzzli, bo abp Jędraszewski konsekwentnie milczy na ten temat, a ówczesny nuncjusz Józef Kowalczyk oszczędnie gospodaruje prawdą. Trzeba mieć świadomość, że bp Jędraszewski pojechał do nuncjusza, by rozmawiać na temat człowieka, któremu bardzo wiele zawdzięczał. Abp Juliusz Paetz – dziś starannie wymazywany z życiorysów Jędraszewskiego – był przed pontyfikatem Jana Pawła II najbardziej wpływowym Polakiem w Watykanie. Zaprzyjaźnionym z młodziutkim doktorantem Markiem Jędraszewskim.

Paetz już jako metropolita poznański wypromował Jędraszewskiego na biskupa pomocniczego, a ten mu wtedy dziękował za „wspaniałą rzymską przygodę”. Decyzja, by porozmawiać z nuncjuszem o Paetzu, nie mogła być dla niego łatwa.

Bo Kowalczyk stanął po stronie Paetza.

Miał na Jędraszewskiego nakrzyczeć, pytać, gdzie jego lojalność wobec promotora, i przekonywać, że Jan Paweł II nie chce załatwienia tej sprawy. Odwołał się więc do silnych relacji, które Jędraszewski miał zarówno z Paetzem, jak i Wojtyłą; wysyłał mu wszystkie swoje publikacje. Nie wiemy, co się działo w jego sumieniu, niemniej opowiedział się jednoznacznie po stronie Paetza i zmusił proboszczów do podpisywania listu w jego obronie.

On w tym momencie zderzył się czołowo z systemem kościelnym. Mógł, zgodnie z filozofią dialogu Lévinasa, o której tyle pisał, postawić ponad system eklezjalny Innego i jego twarz. Wtedy prawdopodobnie wyleciałby z systemu, tak jak stało się niemal z wszystkimi, którzy stanęli po stronie kleryków. Jak przekonywał jeden z moich rozmówców, on zdawał sobie sprawę, że nie zajął właściwego stanowiska. Niemniej jako człowiek inteligentny obudował to racjonalizacją. Stał się człowiekiem systemu; pełnym wyrazem obecności Boga w świecie stała się dla niego instytucja, której trzeba służyć.

Dziennikarze „Tygodnika” w portrecie abp. Jędraszewskiego, opublikowanym w 40. numerze w 2022 r., oprócz owego „złamania” Jędraszewskiego opisali sprawę ks. Ireneusza Bochyńskiego. Choć ciążyły na nim poważne oskarżenia o nadużycia seksualne, arcybiskup wysłał go do pracy w DPS-ie. Co to mówi o stosunku metropolity do kwestii przestępstw seksualnych w Kościele?

Abp Jędraszewski wie, że kwestie wizerunkowe wymagają od niego działań. W dwóch przypadkach nawet ujawnił nazwiska podejrzanych księży. Podejmował jednak takie działania, które miały chronić nie pokrzywdzonych, ale dobre imię instytucji. Ks. Bochyńskiego odesłał na tyle daleko, żeby go nie było widać z Łodzi. Zapanał PR-owy spokój, a kwestia bezpieczeństwa podopiecznych DPS-u w ogóle arcybiskupa nie interesowała. Na tej samej zasadzie działał w Krakowie: procedury działały, ale o spotkaniach ze skrzywdzonymi nie było mowy. Kiedy Biuro Delegata ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży poprosiło diecezję o publikację apelu do osób skrzywdzonych, by się zgłaszały – archidiecezja krakowska go nie opublikowała.

Pamiętam też konferencję prasową, na której abp Jędraszewski skojarzył politykę zera tolerancji wobec przestępców seksualnych z nazizmem.

Formacja kapłańska jest zbudowana na przekonaniu o szczególnym znaczeniu księdza. W tym ujęciu biskup jest ojcem dla księży, musi być wobec nich miłosierny i szczególnie ich chronić. Polityka zera tolerancji według abp. Jędraszewskiego temu zaprzeczała. I wprost powiedział to, co wielu biskupów myślało po cichu. Te słowa wywołały skandal, ale w oczach wielu duchownych i części świeckich wzmocniły jego autorytet jako tego, który nie ulega „nieustającym atakom mediów na Kościół”. Znacząca część Kościoła stała za nim murem.

Arcybiskup przedstawia się jako ojciec księży, a przed chwilą mówiliśmy o człowieku, który z nikim nie rozmawia.

To pozorna sprzeczność. Kiedy wymaga tego dobro instytucji, metropolita broni księży albo zamyka archiwa. A kiedy dobro instytucji tego nie wy-

maga, nie liczy się z księżmi. On myśli o sobie jako o przywódcy, o którym mówił mu abp Stanisław Gądecki w kazaniu na ingres w Krakowie: który nie pozwala, by ogon machał psem. Wszystko, co nie jest biskupem, jest ogonem. To myślenie głęboko zakorzenione w myśleniu polskiego episkopatu, tęskniącego za twarzymi rządami kardynała Wyszyńskiego. Wszystko jest uporządkowane i nie wymaga stawiania pytań. Trudno powiedzieć, jak arcybiskup godzi ze wszystko ze swoją formacją filozoficzną.

Jest specjalistą od filozofii dialogu i prowadził nawet przedsięwzięcie, które wydaje się wręcz sympatyczne: dialogi w katedrze. Żeby odpowiedzieć na pytanie o szkodliwość heavy-metalu, specjalnie słuchał tej muzyki i potem wyjaśniał, że ona ma różne odmiany i nie ma co popadać w panikę moralną.

Tylko że ludzie, którzy organizowali w Łodzi te rozmowy, wspominają, że z każdą kolejną odsłoną było gorzej, dialogi zmieniały się w monologi, kościół pustoszał i trzeba było sadzać w ławkach kleryków. Niemniej były też takie epizody, jak życzliwa rozmowa z ateistą czy spotkanie z autorką „listu matki katolicki” krytykującego wypowiedź arcybiskupa o spadku dzietności. Abp Jędraszewski miewa dwie twarze. Co więcej, jeśli wierzyć jednej z hipotez na temat tego, dlaczego został metropolitą krakowskim, to potrafił zachwycić samego papieża swoją otwartością i zainteresowaniem duchowością Faustyny Kowalskiej.

Jako człowiek inteligentny zapewne zdawał sobie sprawę, jakie skutki wywoła wypowiedź o tęczowej zarazie. Krytykował „ideologię”, ale krzywda dotyczyła konkretnych ludzi.

On doskonale wie, które jego słowa „chwycą”. Wie, że z całego długiego kazania w szumie medialnym ocaleje jedno zdanie. O czerwonej zarazie mówił w kilku kazaniach, ale ta myśl przebiła się dopiero, kiedy dodał puentę o tęczowej zarazie. Natomiast nie sądzę, żeby on rozumiał, jakie skutki wywołał. Arcybiskup myśli w kategoriach ideologicznych konstruktów, zza których nie widzi człowieka. Złośliwie powiedziałbym, że ten zwolennik Lévinasa posługuje się kategoriami „heglowsko-



TYSIUS ZMIJEWSKI / PAP

TOMASZ P. TERLIKOWSKI jest publicystą. Przewodniczył komisji badającej nadużycia seksualne w zakonie dominikańskim. Autor wielu książek, m.in. „Arcybiskup. Kim jest Marek Jędraszewski”, która ukaże się wkrótce nakładem Znaku.

marksistowskimi” – liczą się dla niego zjawiska, a nie jednostki. Skoro znajdujemy się na etapie wojny kultur i stawką jest to, czy przetrwamy jako cywilizacja, naród i Kościół, nie możemy przejmować się jednostkami. Liczy się to, żeby napiętnować ideologię i skupić wokół siebie tych, którzy chcą z nią walczyć. Arcybiskup żyje w pałacu, w otoczeniu pochlebców i nie ma szans, by usłyszeć: „zostałem skrzywdzony z powodu tamtych słów”.

Abp Jędraszewski to produkt polskiego Kościoła czy jego ideolog?

Jest jednym i drugim. Nie da się go zrozumieć, pomijając specyfikę systemu kościelnego. Ten system ewoluuje w coraz gorszym kierunku. Kiedy Jędraszewski do niego wchodził, funkcjonowały w nim postacie wybitnie odróżniające się intelektualnie, jak biskupi Życiński, Chrapek, Gólcowski, Zimoń czy Pieronek. Teraz są biskupi Galbas, Ryś czy Wążyński, ale nie odgrywają istotnych ról w strukturach władzy.

Arcybiskup jest też ideologiem, ale tylko w takim sensie, że przez długi czas dostarczał Kościołowi ideologicznych sloganów i klisz potrzebnych do zaistnienia w przestrzeni publicznej. O ile za myśleniem Życińskiego, Pieronka czy Zimonia stały projekty intelektualne, to za Jędraszewskim już wyłącznie proste pojęcia stosowane jak cepy. Jego klęska polega na tym, że jego następcy nie posługują się już nawet tymi pojęciami.

Pozostawia jakieś dziedzictwo?

Nie wpłynął na Kościół w taki sposób, by go jakoś ukształtować. On konstruował narrację o wojnie kultur i zagrożeniach ze strony kolejnych ideologii. Nazy-

wał tak wszystkie zjawiska, z którymi się nie zgadzał, nie szukając ich przyczyn, nie proponując diagnoz, piętnował „ideologię singli”, „tęczowej zarazy” czy „ekologizmu”. Dla niedawno wybranych nowych przywódców episkopatu jedynym celem jest zachowanie *status quo*. Nie proponują żadnej opowieści. Na kogoś takiego jak Jędraszewski nie ma już miejsca, bo robiąc szum wokół Kościoła, przeszkadzałby w zachowaniu spraw takimi, jakie są.

Niemniej czeka go wygodna emerytura w krakowskim „Castel Gandolfo” – 200-metrowym mieszkaniu w XVII-wiecznym budynku w historycznym centrum Krakowa.

W ogóle mnie ta wiadomość nie zaskoczyła. Jest przekonany, że był świetnym biskupem i że mu się to należy. Co więcej, sądzę, że on myśli, że to skromny, „Franciszkowy” wybór – w końcu to tylko 200 metrów i trzy pokoje, a mógł wziąć całą kamienicę, jak kard. Dziwisz, albo wykorzystać do remontu przyszłej rezydencji środki państwowe, jak abp Gądecki.

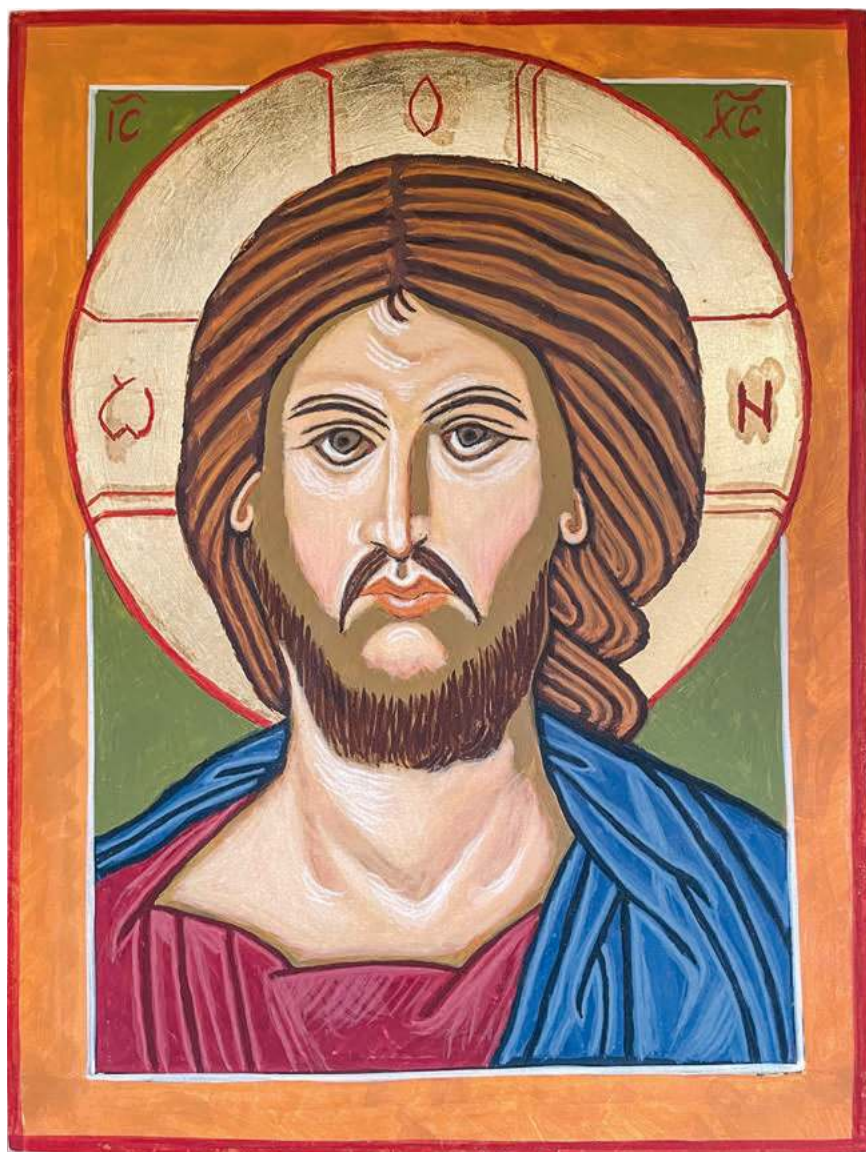
Prawo do porządnego lokum dla seniora jest zapisane w dokumentach episkopatu, podobnie jak prawo do emerytury, do sekretarza, ogrodnika i samochodu. Arcybiskupów Dziegi czy Dziuby nie odwoływano z urzędu, tylko pozwolono im odejść na emeryturę po to, by nie stracili tych przywilejów. A abp. Jędraszewskiego nikt nie odwołał, nie ciągnął na nim żadne zarzuty poza medialnymi. Będzie pewnie jeździł po świecie z kazaniami, jak kard. Müller, bierzmował...

Osiądzie na laurach.

Może czasem zabrzmi goryczą w jego uszach napisany na jego odejście satyryczny „Psalmus emeritus”: „Twoja posługa w archidiecezji dobiega końca / Więc na Franciszkańskiej będzie więcej słońca”. Wiele zależy od tego, kto zostanie jego następcą: może np. zarządzić, by arcybiskup senior zamieszkał gdzieś indziej, na 60 metrach...

Ale zajmowanie się Kościołem nauczyło mnie jednego: że jeśli wszyscy mówią, że gorzej być nie może, to jednak może. Dlatego cieszy mnie inicjatywa krakowskich księży, którzy rozsyłają sobie apel, by intensywnie modlić się w intencji wyboru nowego metropolity. Wiele więcej zrobić nie mogą.

© Rozmawiał MACIEJ MÜLLER



Ikona namalowana przez autora tekstu podczas warsztatów pisania ikon, czerwiec 2024 r.

Jak Pantokratora pisałem

STANISŁAW ZASADA

– Szpetny ten mój Chrystus – mówię.
Ojciec Jacek: – Niech pan da Mu szansę.

WYSTARCZA: DOBRE OKO, PEWNA RĘKA, chęci. Podobno każdy może namalować ikonę. Będę pisał Chrystusa Pantokratora, techniką tempery jajecznej. Pracownia Działań Twórczych przy Galerii u Jezuitów w Poznaniu. Koszt

980 złotych. Materiały malarskie – w cenie kursu.

Z plastyki miałem piątkę: nauczyciele nie chcieli psuć świadectwa. Dawno temu ćwiczyłem akwarelami. Na zajęcia idę niepewnie.

Lekcja 1 (Martwa głowa)

– To nie jest zwykły obraz – o. Jacek Wróbel uczy pisania ikon od kilkunastu lat. – To okno na świat duchowy, ma zachęcać do modlitwy i medytacji – mówi o ikonie.

Klasztor na ścian patrzą Chrystusy, Matki Boskie z Dzieciątkiem i bez, między nimi z rozwichrzonymi włosami Jan Chrzciciel. Dostaję deskę lipową z zagruntowanym płótnem. Kilkanaście pigmentów o dziwnych nazwach: biel cynkowa, ochra żółta i czerwona, cynober, ultramaryna, umbra palona i zielona, czerń winogronowa (najbardziej ekscytuje mnie *caput mortuum* – martwa głowa). Pędzelki z włosia sobolowego, moździerz, rylce, plastikową paletę. W teczce reprodukcję i szkic Pantokratora.

– Zrobimy transfer – zadaje nam ojciec Jacek. – Szkic Chrystusa przeniesiemy na deskę.

Szczyptę palonej umbry sypię na odwrocie rysunku, rozcieram. Kartkę przykładam pomazaną stroną do deski, przeciągam ołówkiem po konturach. Na podobrazu odbił się rysunek. Cyrklem wytyczam nimb. Ojciec Jacek każe rylcem wyźłobić linie.

Modlitwa

„Ty, Boski Mistrzu wszystkiego, co istnieje, oświeć i kieruj duszą i ciałem sług swoich; prowadź ich ręce” – modlimy się na początku. Pisanie ikon to czynność święta. Przed przystąpieniem do pracy ikonopisarz pościł i medytował. My słuchamy cerkiewnych śpiewów.

Lekcja 2 (Jak żółtko od białka oddzielić)

Kładziemy poźłotę na nimb. Złocimy szlagmetalem. Cieniutkie to jak bibułka, rwie się przy byle dotknięciu. Ojciec Jacek pokazuje na desce Eli, jak naklejać płatki. Już pierwszy kawałek mi się przedarł. Jakoś dojechałem do końca.

– Zdejmujemy naddatki – kolejne zadanie. – Przesuwamy wacikiem wzdłuż nimbu i łączy.

Boję się ruszyć naklejanekę. Ale nieprzyklejone części łatwo odchodzą. W paru miejscach nadałem kleju, w innych dałem za mało – nimb nie jest idealnie kołysty. Inni też narzekają.

– Widz skupi się na twarzy, nie na nimbie – prowadzący łagodni nasze rozterki.

Pozłotę smarujemy politurą: daje połysk i chroni przed porysowaniem.

– Kto chce zobaczyć, jak się rozdziela żółtko od białka? – ojciec Jacek zaprasza do kuchni. Rozbija kurze jajko, przelewa ze skorupki do skorupki jak na biszkopt, żółtko łąduje w szklance. Otwiera butelkę białego wina wytrawnego i wlewa do żółtka. – Rublow też tak robił – tłumaczy.

Żółtko z winem to medium do mieszania pigmentów. Tak powstaje tempera jajczna. Bierzemy znów paloną umbrę.

– Trzeba tak rozcieńczyć farbę, żeby była transparentna – kolejna rada.

Szkic Pantokratora utrwalamy farbą. Linie wychodzą za grube, nie ma przejścia od wąskiej do szerszej kreski. – Za mocno rozcieńczona farba – ojciec Jacek szuka przyczyn niepowodzeń.

Podziwiam malunek Magdy. Linie różnej grubości, każdy szczegół dopracowany. Staram się nie zazdrościć – jedno z przykazań ikonografa mówi: „Nie bądź zazdrosny o pracę swego bliźniego; jego powodzenie należy również do ciebie”.

Ale własne dzieło nie daje mi spokoju. – Szpetny ten mój Chrystus – mówię.

Ojciec Jacek patrzy na niezdarnie linie. – Niech pan da Mu szansę.

Wszechwładca

Ma coś z rzymskich imperatorów. Wszak po grecku Pantokrator to Pan Wszechświata. Na jednych ikonach w całej postaci, jak stoi albo zasiada na tronie. Na innych – w półpostaci. W lewej ręce trzyma księgę, prawą błogosławi.

My malujemy wersję najprostszą – popiersie.

Lekcja 3

(Co da ochra z ultramaryną)

– Wchodzimy w bliższe relacje z temperą – ojciec Jacek zaczyna tajemniczo.

Deski zostawiliśmy w domu. Ćwiczmy mieszanie kolorów. Wpierw powtórka z geometrii: podzielić okrąg na dwanaście części.

Ojciec Jacek wywiesił na wielkiej sztaludze duży karton z wzorem – przypomina koło fortuny, każdy wycinek w innym kolorze. To koło barw.

Rozrabiam ochrę żółtą, ultramarynę i czerwien kadmową. Można z tego stworzyć kilkanaście barw. Poletko na kole między godziną dwunastą a pierwszą maluję ochrą, między czwartą a piątą kładę

ultramarynę, a między ósmą a dziewiątą – czerwien.

Czas na zadanie właściwe: mieszanie kolorów. Zaczynam od ochry z ultramaryną. – Do barwy słabszej dodajemy mocniejszej – ojciec Jacek przypomina jedną z malarskich zasad.

Do ochry kapka ultramaryny – wyszła wysuszona trawa. Porównuję z wzorem: zgadza się. Zwiększam porcję ultramaryny: mam ciemniejszą zieleń i zgniliła – jak na planszy. Kolej na ochrę z czerwienią. Mają wyjść pomarańcza, czerwony grejpfrut, rozkrojony arbuz. Na koniec czerwien z ultramaryną. Zamiast zabrudzonej czerwieni wyszła śliwka.

– Za dużo ultramaryny – ojciec Jacek mówi, co zrobiłem nie tak.

Zadanie domowe: zrobić drugie koło barw.

Chusta

Jezus napisał pierwszą ikonę. Było tak: posłaniec króla Edessy prosił Jezusa, żeby uzdrowił z trądu jego władcę. Jezus przyłożył do twarzy chustę, odbił się jego portret. Kontemplacja oblicza uzdrowiła króla.

Tak powstał mandylion – wizerunek twarzy Chrystusa na tkaninie. Jak to z relikwiami, przez wieki mandylionów się namnożyło. Chwałą się nim Genua, Watykan, Rzym. Inna tradycja mówi o świętej Weronice, która dzwigającemu krzyż Jezusowi podała chustę do otarcia potu. Na tkaninie odbiło się umęczone oblicze. Oryginał ma być we włoskim Manoppello.

Tylko że Weronika nie szła za prowadzonym na śmierć Zbawicielem. Może w ogóle jej nie było? Ikony miał też malować Łukasz Ewangelista. W rzeczywistości pierwsze ikony powstały w czwartym wieku. Najstarsze zachowały się z szóstego. Są w klasztorze Św. Katarzyny na Synaju. Prawosławni mnisi przechowują tam między innymi wizerunek Pantokratora.

Lekcja 4

(Ocieplanie oliwki)

Oddzielam żółtko od białka. Rozbijam pierwsze jajko, żółtko pęka. Drugie – to samo. Oli idzie świetnie. (W domu ćwiczyła przy pieczeniu tarty dyniowej). Kładziemy sankir pod karnację. To podkład, który pokrywa odsłonięte części ciała postaci. Do moździerza sypiemy trzy szczypty ochry żółtej, dwie zielonej. Słychać, jak każdy uciera swoją mieszanekę. Wyszła mi zielona oliwka.

– Żeby oliwkę ocieplić – instruuje ojciec Jacek – dodamy ochry czerwonej.

Mam ciemnozieloną oliwkę, wpada prawie w brąz.

– Dobrze – prowadzący chwali kolor.

Maluję włosy, twarz i szyję. Twarz mojego Pantokratora jest ciemna. Spod czterech warstw ledwo prześwituje rysunek. Ojciec Jacek uspokaja, że tak ma być. – Zaczyna się od ciemniejszych barw, potem kolory się rozjaśnia – tłumaczy.

Parytet

Ikony pisali mężczyźni – prawosławni mnisi. Dziś piszą kobiety. Na kursie oprócz mnie jest jeszcze jeden mężczyzna. Kobiet – siedem.

– Ale piszemy dziewięciu Pantokratorów – Ela próbuje udowodnić, że parytet jest.

Marta pisze dla męża. Beata, żeby odpocząć od pracy w korporacji. Magda, żeby pobyć z Jezusem. Jola maluje farbami olejnymi, chciała spróbować z ikonami. Andrzej (mąż Joli) zapisał się na kurs, bo żona go namówiła.

Lekcja 5

(Uszy jak u owcy)

Umbrą paloną i czerwoną ochrą powtarzam rysy twarzy, które widać spod sankiru. Pilnuję, żeby farba nie była zbyt rozcieńczona, mieszam pędzelkiem, bo tempera łatwo się rozdziela. Brwi wychodzą tak sobie, nos jeszcze gorzej. Męczę się nad oczami, zarysem powiek, ust. Dolne rzęsy wyszły podwójnie, wąsy mój Pantokrator ma sumiaste jak Wincenty Witos.

– Co takie wielkie uszy? Owcze jakies – ojciec Jacek zauważył każdy błąd.

Marta mówi, że malowanie ma relaksować, a my się tu stresujemy. – To przykład relaksu przez stres – komentuje ojciec Jacek.

Jeszcze laserunek włosów (ta sama mieszanina farb, ale bardziej rozcieńczona – łatwizna)... i sankir na himation, czyli płaszcz (ultramaryna, zieleń, czern, biel).

To był relaks przez stres.

Bałwochwalstwo

Były czasy, że ikony tępiono. W ósmym wieku bizantyjski cesarz Leon III nakazał zniszczyć święte obrazy w całym cesarstwie. „Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu” – ikonoklaści (wrogowie ikon) cytowali Dekalog. Ikony uważali za bałwochwalstwo. „Nie przeciwko

→ ikonom walczysz, lecz przeciwko świętym” – obrońca ikon Jan z Damasku odpowiadał cesarzowi.

Pod koniec stulecia sobór w Nicei zezwolił na kult obrazów: uznano, że skoro Chrystus przyszedł na świat w ludzkim ciecie, można go malować.

Lekcja 6

(Kowczeg żywo oliwkowy)

Trzeba pomalować tunikę: czerwoną kożuszę, zwaną chitonem.

– Ma być ziemista czerwień – ojciec Jacek tłumaczy, na czym polega sztuka.

Czerwień kadmową mieszam z ultramaryną. Wyszła mało ziemista, zostawiam – lubię żywe kolory. Koszula niewielka, proste kontury – sprawnie położyłem dwie warstwy. Jeszcze ciemne linie na tunice, żeby zaznaczyć draperie. Teraz tło (kowczeg) i zewnętrzna rama. Na tło wyszła mi żywa oliwka, na ramę – jasna pomarańcza.

Zerkam w bok: zieleni Magdy jakby żywsza. Znowu bronie się przed zazdrością.

Pocałunek

Gesty majestatyczne, oczy smutne, jeśli uśmiech, to delikatny – tak wyglądają postaci na ikonach. Chrystus, Matka Boża, święci ukazani są, jakby byli odrealnieni. Bo ikona przedstawia świat przeobrażony. – Taki, jaki będzie po zmartwychwstaniu – tłumaczy ojciec Jacek.

Zachodni malarze naturalistycznie malowali mękę. Matthias Grünewald pokazał wiszące na krzyżu ciało w spazmach bólu. A na ikonie ukrzyżowania Chrystus ma twarz pogodną, zamiast cierniowej korony – aureolę. Odwrócona perspektywa daje złudzenie, jakby Chrystus, Matka Boża i święci na nas patrzyli.

– Ikona patrzy – mówią prawosławni.

Przed ikoną palą świeczki, biją pokłony i całują.

Lekcja 7

(Inne wąsy)

Odważyłem się znów zrobić medium – ćwiczenie przy pieczeniu tarty przydało się. Justyna żartuje, że najlepiej idzie mi dolewanie wina.

Rozjaśniamy karnację. Najpierw na twarz kilka warstw żółtej ochry – za każdym razem mocniej nasycamy miejsca najbardziej rozświetlone. Ojciec Jacek ustawił na dużych sztalugach wielką

ikonę; pokazuje, które partie zamalować. Ocenia nasze postępy.

– Za mokra farba – mówi do Justyny i do mnie.

Osuszam pędzelek. Koryguję wąsy. Półmetek kursu za mną.

Wersal

Jacek Wróbel warsztat poznawał w Chrześcijańskim Stowarzyszeniu Twórców Sztuki Sakralnej w Krakowie – założył je jego współbrat Zygfryd Kot. Potem w Atelier Saint André w Wersalu u Egona Sendlera – niemieckiego jezuity, znawcy sztuki bizantyjskiej, malarza ikon. Po parryskich studiach sam zaczął uczyć. Najpierw przy klasztorze jezuitów na warszawskim Mokotowie. Dziewięć lat temu powstała Pracownia Działań Twórczych w Poznaniu.

Ma własny styl („styl Wróblowa” – śmieje się). Na Wikipedii hasło „mandylion” ilustruje ikona Jacka Wróbla.

Lekcja 8

(Bałagan pod szyją)

Zakładamy podrumienkę – zaczerwienione miejsca na czole, twarzy i szyi. Mieszam ochrę żółtą z cynobrem. Ma być kolor mandarynki. Dosypuję raz po raz cynobru, ale wciąż wychodzi żółty. Jest w końcu!

– Malujemy suchym pędzlem – ojciec Jacek podpowiada.

Kładę pierwszą warstwę. Przy drugiej pokrywam tylko policzki, usta, uszy, część szyi.

– Jak u Indianina – Justyna narzeka, że podrumienka wyszła jej czerwona.

Rozjaśniam twarz. Do ochry z cynobrem dosypuję rozartę w móżdżerzu bieli cynkowej. Mam lekki róż. Kładę tam, gdzie najwięcej światła. Żeby kolor był jaśniejszy, za każdym podmalunkiem trzeba dodać bieli. Słyszałem ucieranie pigmentu.

Ojciec Jacek patrzy na moje rozjaśniania. – Pod szyją bałagan – ocenia. Każe wydobyć obojczyki (na wzorniku to dwie ciemniejsze smużki). Mój Pantokrator ma już rysy człowieka.

Giotto

Nie tylko chrześcijański wschód ma ikony. Zachód też. Na przykład ikonę krzyża z San Damiano – modlił się przed nią Święty Franciszek. Ale Giotto zerwał z płaskim malarstwem greckim. Wpro-

wadził perspektywę i głębię. Religijne malarstwo Zachodu odeszło od liturgii.

Paul Evdokimov będzie narzekał: „Obecnie sztuka zwana sakralną, którą spotykamy w kościołach, jest w najwyższym stopniu pozbawiona *sacrum*”.

Lekcja 9

(Anatomia się przydaje)

Rozjaśniania ciąg dalszy. A więc ochra z cynobrem i bielą. Zamiast cynkowej ołowiowa – nie tylko ja miałem kłopot z grudkami.

– Trzeba się natrudzić – ojciec Jacek podtrzymuje nas na duchu. Powtarza, żeby malować suchym pędzlem, żeby było płynne przejście między ciemniejszymi i jaśniejszymi odcieniami.

Widzi, że męcę się z szyją. Bierze mój pędzel i pomaga wyciągnąć nieszczęsne obojczyki. Każe pomalować tęczówki, o których zapomniałem – przy malowaniu ikon znajomość ludzkiej anatomii też się przydaje.

Łup

Mamy narodową ikonę! Święty Łukasz miał ją napisać na blacie stołu z Nazaretu, przy którym Józef, Maryja i Jezus posiłki spożywali. Od sześciuset lat modlą się przed nią wierni na Jasnej Górze.

Tyle pobożnej legendy. Pierwotna ikona Matki Boskiej Częstochowskiej powstała w dziewiątym wieku w Bizancjum, trafiła na Ruś. Książę Władysław Opolczyk przywiózł ją jako wojenny łup i podarował paulinom. Za odnowienie wizerunku zabrali się włoscy artyści. – Starli malowidło i namalowali na nowo – tłumaczy ojciec Wróbel. – Wyszła ikona w stylu włoskiego renesansu.

Lekcja 10

(Kosmyki zgubiłem)

– Zielone te włosy – ojciec Jacek ocenia moją dzisiejszą pracę.

Z pokrytej sankirem powierzchni wydobywaliśmy kosmyki. Najciemniejsze paloną umbrą. Mój sankir był za mało transparentny i zakrył prorys – nie widać rysunku. Zerkam to na wzornik, to na zdjęcie w iPhone. Maluję na wyczucie.

Ciemne pasemka trzeba otoczyć jaśniejszym kolorem (umbra palona, żółta i czerwona ochra). Powtarzam to samo z dodatkami żółtej ochry. (Umbry i ochry używamy najczęściej. Pytam ojca Jacka, kiedy



ARCHIWUM DROGI IKONY

O. Jacek Wróbel na warsztatach pisania ikon, Falenica, luty 2017 r.

skorzystamy z *caput mortuum*. Mówi, że na kursie drugiego stopnia).

Tak gęsto zrobiłem kosmyki, że trudno rozróżnić jasne od ciemnych. No i kolor dziwny: pod światło rozjaśnione pasemka wpadają w zieleń. Jest na to sposób: położyć laserunek z rozrzedzonej umbry czerwonej. Zieleń przygasła. Jeszcze tylko jaśniejszy kolor na wypukłości kosmyków – żeby było wrażenie falującej fryzury.

W domu wszystko poprawiam. Wyszedł mocny balejaż. Z niecierpliwością czekam na kolejne zajęcia.

Rewolta

Na Zachodzie z ikonami też walczone. Święte obrazy nie podobały się protestantom. W Antwerpii, Gandawie, Amsterdamie, Utrechcie ludzie wtargnęli do kościołów, nożami i siekierami niszczyli święte wizerunki. Tak wyglądała rewolta ikonoklastów w Niderlandach.

I tolerancyjnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów ikonoklazm nie ominął. Walczono na polemiki. „Bałwochwalska tablica” – z ikony jasnogórskiej drwił kalwin Stanisław Lutomierski. Jezuita Jakub Wujek odcinał się: „Wyrzuciwszy obrazy Pana Chrystusowe, obrazy Lutra, Kalwina i nie-rządnic swoich na to miejsce wstawiają”.

Lekcja 11 (Hospodi pomiluj)

– Jak na początkującego, może być – ojciec Jacek zaaprobował poprawione włosy.

Rozjaśniam chiton – czerwoną koszulę trzeba udrapować. Do kolorów, których użyłem wcześniej, dodaję cynobru i bieli tytanowej. Za drugim razem dosypuję więcej cynobru i bieli.

– Szerzej – podpowiada ojciec Jacek.

Dociskam pędzel. Po wyschnięciu daję trzecią warstwę z większą porcją bieli. Pracujemy w milczeniu. „Hospodi pomiluj” – słysząc cerkiewny chór.

Kanon

Przy pisaniu ikon trzeba trzymać się kanonu. „Tworzenie ikon nie jest pozostawione samej tylko inicjatywie artystów” – pod koniec VIII wieku ogłosił wspomniany sobór w Nicei. W ikonie wszystko znaczy. Pomarszczone bruzdami czoło Pantokratora wyraża troskę o świat. A potargane włosy Jana Chrzciciela – pustelniczy styl życia proroka. Czerwona koszula Jezusa symbolizuje ludzką naturę, niebieski płaszcz – boską.

Evdokimov o malowaniu ikon: „Sztuki tej nie wymyślili malarze; przeciwnie, jest ona regułą potwierdzoną i tradycją Kościoła”. Dlatego ikonograf nie podpisuje się na ikonie.

Lekcja 12 (Więcej bieli)

Himation też trzeba udrapować. Tak jak przy chitonie, do pigmentów na płaszcz dodajemy bieli. Obmalowuję czarne linie, ledwo widać różnice. Przy drugim rozja-

śnieniu dosypuję zieleni i bieli. Przy trzecim samej bieli.

– Jeszcze więcej bieli – ojciec Jacek radzi znowu.

Dziwiłem się, po co rozjaśniać tunikę i płaszcz. Widzę, że był sens: szaty nabrały syku.

Słowo

Nieprawda, że ikony się pisze, a nie maluje. Całe zamieszanie wzięło się z tłumaczenia: greka nie rozróżnia pisania i malowania. Na jedno i drugie jest słowo: pisać. Znaczenie przeszło do tradycji rosyjskiej, a za nią do nas.

– To rusycyzm – mówi ojciec Jacek. – Ale jeśli Chrystus to Słowo zesłane przez Boga, malowanie ikony można nazwać pisaniem.

Lekcja 13 (Kaligrafia)

Ostatnie zajęcia! W najjaśniejszych miejscach karnacji robimy bliki. Na czole, nad brwiami, na policzkach, szyi maluję cienie kreseczki. Bielą tytanową z odrobiną żółtej ochry. Czemu nie samej bieli?

– Nigdy nie stosuj takiego koloru, żebyś nie mógł położyć jaśniejszego – słyszymy kolejną z malarskich reguł.

Umbra paloną z czernią winogronową obrysowuję brwi, rzęsy, tęczówkę, nos. Ostatnia okazja, żeby coś poprawić. Do umbry z czernią szczypta czerwieni kadmowej: do powiek, nosa, górnej wargi. Tą samą mieszkanką obrysuję nimb. Jeszcze poprzeczne kreski na pozłocie, które tworzą krzyż. Na nimbie trzeba wykalfografować greckie litery: omega, omikron i ni (imię Boga w Starym Testamencie). Zaczynam od „ni” – przypomina wielkie H. Omega prawie jak „w”, a omikron to ściśnięte „O”.

Ikony trzeba podpisać, żeby było wiadomo, kogo przedstawia. W górnych narożnikach kaligrafuję IC i XC. To monogram skrótu od greckiego *Isos Christos*.

W nagrodę pałaszujemy deser – Justyna upiekła szarlotkę.

Werniks

Nasze ikony pokryjemy jeszcze werniksem. Ojciec Jacek poświęci je. Zawieszę swoją na ścianie. © STANISŁAW ZASADA

Nieistniejąca zasłona

PIOTR SIKORA

Modlitwa nie jest oddzielną czynnością. Jest sposobem życia, który rozwiewa iluzję oddzielenia od Boga.

DWIE MŁODE RYBY SKUBIĄCE W JEZIO-
rze glony spotykają rybiego starca. Ten rzuca pytanie: „Młodziaki, jaka dziś woda?” – i odpływa. Młode ryby patrzą po sobie zdziwione: „Woda? Jaka woda? Co to jest woda?”. W końcu jedna z nich mówi: „Płynmy, musimy poszukać tej wody”.

Taką historyjką rozpoczyna swoją najnowszą książkę o modlitwie „Ocean Światła” amerykański augustinianin Martin Laird. To już trzecie po „W krainie ciszy” i „Głębi serca” dzieło tego autora wydane po polsku. Moim zdaniem to najlepsze współczesne książki o modlitwie, jakie się u nas ukazały. Uczą kontemplacyjnej medytacji w sposób, w jaki rybi starzec mógłby nauczyć kontaktu z wodą swoich młodszych pobratymców.

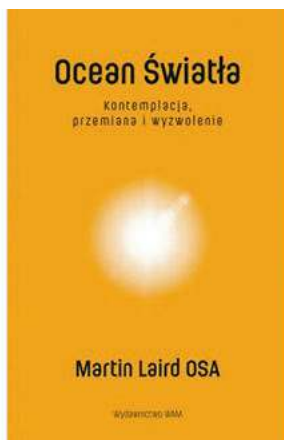
W Nim żyjemy

Ktoś mógłby zaprotestować – w jakim sensie młode ryby muszą (mogą?) się nauczyć kontaktu z wodą? Czyż nie pływają w niej nieustannie? Co więcej – w procesie osmozy woda nieustannie wnika w ich ciała, stanowi główny budulec tego, kim one są... No właśnie.

Jak zauważył Mistrz Eckhart, wielu ludzi próbuje kształtować swoją modlitewną relację do Boga, „jak gdyby tam” tutaj, a Bóg tam”. Eckhart stwierdza jednak: „Tak nie jest. Ja i Bóg to jedno”. Innymi słowy – często jesteśmy jak te dwie młode ryby: nawet jeśli wierzymy, że istnieje coś takiego, jak boska Woda, i uznajemy, że jest ona nam niezbędna do życia, to nie zauważamy, że nie tylko otacza nas ona zewsząd i zawsze, ale że przenika nas całkowicie i stanowi główny „budulec” tego, kim jesteśmy.

Jakkolwiek by w naszych uszach brzmiało odkrycie Eckharta i wielu innych chrześcijańskich świętych przywołanych w książkach Lairda, warto pamiętać, że wyraz tego samego doświadczenia znajdziemy także w Biblii. Możemy w niej

przeczytać nie tylko, że „w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (Dz 17, 28), ale że „On wszystko całkowicie napęnia” (Ef 1, 23). Możemy usłyszeć, jak Boski Logos poucza w Ewangelii Jana: „W owym dniu poznacie, że Ja jestem w Ojcu moim, a wy we Mnie i Ja w was” (J 14, 20). W konsekwencji, jak zauważa autor Listu do Efezjan: „nie ma Greka ani Żyda (...) lecz wszystkim we wszystkich – Chrystus” (Kol 3, 11). Paweł z Tarsu każdą i każdego chciałby doprowadzić do odkrycia wyrażonego w słowach: „Już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus” (Ga 2, 20).



Martin Laird OSA, **OCEAN ŚWIATŁA**,
tłum. Michał Nolywajka,
Wydawnictwo WAM, Kraków 2024

Wizja zarysowana w tekstach Pisma nie jest teoretyczną spekulacją. Bierze się z doświadczenia autorów i do takiego samego doświadczenia ma wskazywać drogę czytelnikom. Drogę, która jest modlitwą.

Jeśli prawdą jest to, co mówią Pisma oraz mistycy – że iluzją jest poczucie, iż jesteśmy oddzieleni od Boga, który jest „gdzie indziej” niż my sami – to modlitwa nie jest żadną próbą nawiązania z Nim kontaktu ani wejścia w rozmowę, która miałaby się (jak wszystkie toczone przez nas rozmowy) zaczynać i kończyć. Modlitwa jest raczej procesem leczenia się

z owej iluzji, stopniowym (albo i gwałtownym) odzyskiwaniem świadomości, że On jest teraz i tu, gdzie my i nasze życie, że szczególnie nas zewsząd otacza, całkowicie wypełnia.

Dlaczego jednak jesteśmy jak te młode ryby i nie zauważamy wszechogarniającej nas boskiej rzeczywistości? Laird za wieloma mistrzyniami i mistrzami chrześcijańskiej kontemplacyjnej tradycji odpowiada: to chaotyczny hałas naszych myśli, narracji, które opowiadamy sobie w głowie, tka zasłonę iluzji oddzielenia.

I nawet nie same myśli są problemem – ale nasz do nich stosunek: przywiązujemy się do nich (jeśli opowiadają o czymś przyjemnym) albo z nimi walczymy. W obu przypadkach nasza uwaga wiąże się z nimi w sposób, który nie pozwala dostrzec Boga.

Złudzenie

Zrozumieć działający tu mechanizm może pomóc inna metafora (używana zarówno przez Pisma, jak i przez mistyków – i wykorzystana w tytule książki Lairda). Bóg jest jak światło, a o doświadczeniu Boga można pomyśleć jak o widzeniu światła. Można żyć w złudzeniu, że światło jest jednym z wielu przedmiotów postrzeganych wzrokiem, być przekonanym: widzę stół, szafę, podłogę – i na jednym kawałku podłogi plamę słonecznego światła... o, znikła (bo słońce skryło się za chmurą).

Ale przecież tak naprawdę bezpośrednio widzimy tylko i zawsze światło: światłem są kolory stołu, szafy i podłogi pozwalające odróżnić te przedmioty. Wszystko inne dostrzegamy tylko za pośrednictwem promieni światła. Złudzenie bierze się ze sposobu skupienia uwagi – koncentrujemy się na przedmiotach, światło pomijając. Podobnie jest z naszym umysłem, modlitwą i z Bogiem.

Istotą kontemplacyjnej medytacji jest wyciszenie serca i umysłu, tj. wyzwalanie się z przymusu rozwijania umysłowych narracji. Zaprzestanie produkowania mentalnego hałasu pozwala na dostrzeganie zdarzeń wokół nas, jak i wszystkiego, co w nas się dzieje, w sposób, który nie „przylepia” całkowicie uwagi do żadnego konkretnego. Wówczas, dostrzegając wreszcie naprawdę stworzony świat, stajemy się świadomi stwórczego Źródła, które bije wszędzie – w nieruchomości kamienia, locie wrony, geście bliźniego, przebiegu myśli.

TOMASZ

Stawiszyński: Śniadanie z Trumpem



DOBRE PAMIĘTAM TO ŚNIADANIE, OBFITE i krzepiące, przy drewnianym stole w kameralnym hoteliku w Tucson. Nie tak dawno, ledwie sześć lat temu. Niby to wiem, a przecież przysiągłbym, że minęła cała epoka. Albo nawet trzy, bo

działo się to jeszcze i przed covidem, i przed napaścią na Ukrainę, i przed 7 października 2023 r. Spędziłem tam tydzień i byłem jedynym gościem z tak długim stażem. Reszta składu nieustannie się wymieniała, każdego ranka popijałem więc kawę z coraz to nowymi przybyszami z najróżniejszych zakątków Ameryki. Któregoś razu zasiadła przede mną rodzina z Arizony, państwo Stevensonowie, ojciec, matka i dorosła córka. Jak na krainę small talku przystało, wywiązała się niespieszna rozmowa. W tym – o ówczesnym prezydencie Donaldzie Trumpie. Z mojej, przyznam, inicjatywy. Kiedy tylko usłyszałem, że Stevensonowie zaszarcie bronią go przed przytykami wyraźnie sympatyzującej z Partią Demokratyczną gospodyni, natychmiast zacząłem dopytywać, z jakiego mianowicie powodu darzą go taką sympatią. Ojciec rodziny jakby tylko na to czekał. Otóż – dowiedziałem się – głosował na Trumpa, ponieważ jest przekonany, że to jedyny człowiek zdolny osuszyć bagno amerykańskiej polityki. Człowiek spoza układu, spoza zamkniętego kręgu elit, który położy kres ich malwersacjom – o ile oczywiście uprzednio go nie zlikwidują. Na nic się zdały moje argumenty, że kogo jak kogo, ale akurat Trumpa – biorąc pod uwagę jego życiorys, znajomości i interesy – raczej nie można nazwać człowiekiem spoza elit. Ależ skąd! – usłyszałem. – On z nimi tak naprawdę nie ma nic wspólnego. Dlatego właśnie tak go nienawidzą. A że nieprzewidywalny i kabotyński? To tylko czarny PR, Thomas, nie wolno się na to nabierać.

Następnego dnia już ich nie było, ale od tamtej pory nie raz o nich myślałem. Zdają mi się bowiem przykładem reprezentatywnym. I jestem pewien, że nie tylko podtrzymują dziś to, co mi wtedy powiedzieli, ale że 30 kwietnia bieżącego roku jeszcze bardziej się w tym utwierdzili. Tego dnia ława przysięgłych w nowojorskim sądzie jednogłośnie uznała Trumpa winnym zarzutów dotyczących fałszowania dokumentacji finansowej w związku z romansem z niejaką Stormy Daniels. Dlaczego się utwierdzili? Dlatego, że ten wyrok – abstrahując od jego zasadności – wpisuje się niestety w retorykę, na której Trump zbudował cały swój wizerunek wielkiego wroga owych liberalnych elit. Nieprzypadkowo zaraz po ogłoszeniu werdyktu nazwał się „wzięciem politycznym”, a wśród jego zwolenników podniosło się gigantyczne larum. Teraz już widać gołym okiem – obwieszczali gniewnie w mediach

społecznościowych – że jest to ewidentny sabotaż, mający na celu zniszczenie polityka, który wypowiedział wojnę koteriom, spiskom i knowaniom. Próbuje go teraz przyłapać i skazać za jakieś mało znaczące rzeczy, podczas gdy jego konkurentom uchodziły na sucho przewiny znacznie poważniejsze. Tuż przed wyborami w 2016 r. okazało się np., że Hillary Clinton, sprawując urząd sekretarza stanu, używała prywatnego maila do urzędowej korespondencji objętej klauzulą tajności. FBI prowadziło w tej sprawie śledztwo, wiemy, że doszło do nadużyć – ale afera się rozmyła. Podobnie rozmyła się sprawa tajnych dokumentów odnalezionych na początku 2023 r. w dawnym biurze oraz prywatnej rezydencji Joego Bidena. Tymczasem w kwestii romansów Trumpa wszyscy wydają się nadzwyczaj skrupulatni i praworządni. Dlaczego? Już sobie wyobrażam, jak na to pytanie odpowiedzieliby państwo Stevensonowie.

Owszem, potencjalny powrót tego człowieka na stanowisko prezydenta USA oznacza kolejną erupcję anarchii oraz poważne niebezpieczeństwo dla Ukrainy, a w konsekwencji także i Polski. Owszem, trzeba zrobić, co się tylko da, żeby mu ten powrót udaremnić. Wydaje się jednak, że jego najważniejsi polityczni przeciwnicy wciąż nie rozumieją, jak głębokie jest dzisiaj w zachodnich społeczeństwach rozczarowanie liberalno-lewicowymi rządami ostatnich dekad. PR-owe kampanie prowadzone przez doświadczonych spin doctorów mogą tu zadziałać wyłącznie doraźnie. Bez potraktowania poważnie zbiorowych emocji, które stoją za wyborem populistów w rodzaju Trumpa, bez próby sformułowania adekwatnych na nie odpowiedzi – pozbawionych poczucia wyższości albo afektowanego potępienia w duchu poprawnościowych ortodoksji – opcja liberalno-lewicowa może za chwilę popaść w jeszcze poważniejsze kłopoty.

Zagrożenia związane z konfliktami w Ukrainie, na Bliskim Wschodzie, kryzysami migracyjnymi, zacieraniem się granic pomiędzy rzeczywistością a nierzeczywistością z powodu rozwoju technologicznego, rozprzestrzenianiem się myślenia spiskowego, wojnami tożsamościowymi – wszystko to pracować będzie i już pracuje na rzecz Trumpa oraz jemu podobnych. Dlatego właśnie robienie z niego, z nich, męczenników, wydaje się drastycznie wręcz przeciwskuteczne.

Zauważa to dzisiaj również wielu demokratów i liberałów, którzy wcale nie cieszą się z werdyktu ogłoszonego 30 kwietnia. Widzą bowiem doskonale, że potwierdza on w oczach wielu ludzi mit, że mamy tu do czynienia z przesładowanym, niepokornym pogromcą *status quo*. Tymczasem to, czego realnie nam dziś koniecznie potrzeba, to po prostu sensowna, atrakcyjna alternatywa – zarówno dla *status quo*, jak i dla tego pseudopogromcy (oraz innych mu podobnych). Samo tylko przekonywanie, jak bardzo jest straszny, oraz demonstracyjne oprowadzanie go po sądach działa, paradoksalnie, jeszcze bardziej na jego korzyść.

Dotyczy to, naturalnie, nie tylko amerykańskiej polityki. ©

PIŁKARSKA TERAPIA NARODOWA

Doświadczenie roku 2006 – gdy Republika Federalna gościła mundial – było dla wielu najlepszym zbiorowym przeżyciem w historii współczesnych Niemiec. Jakie są dziś oczekiwania przed Euro 2024?

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z HANOWERU

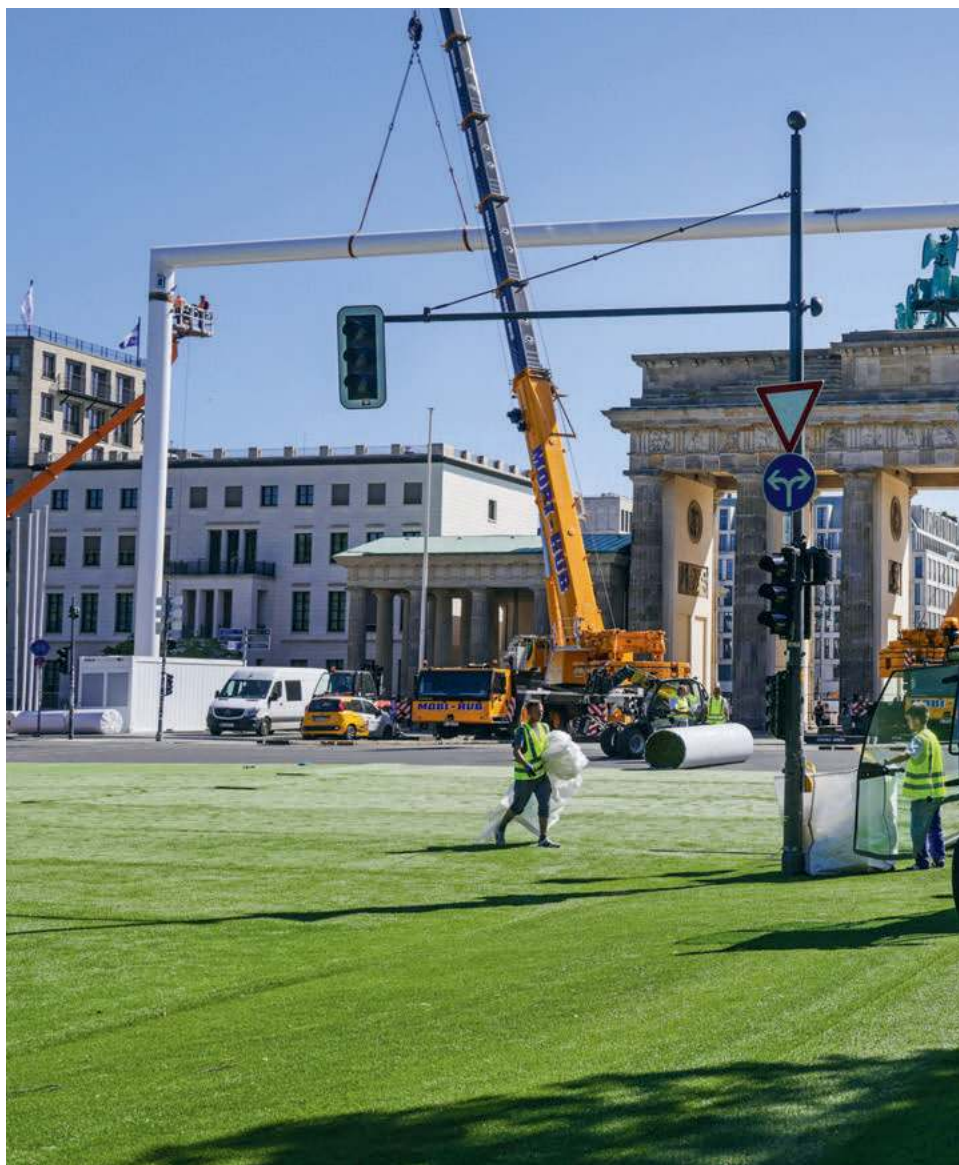
EURO 2024 W NIEMCZACH ROZPOCZNIE się już w najbliższy piątek, 14 czerwca. Podejście tutejszych kibiców do turniejów piłkarskich różni się znacznie od tego w Polsce. Na ostatniej prostej przed pierwszym gwizdkiem „Tygodnik” rozmawiał z trojgiem niemieckich fanów futbolu na temat ich oczekiwań.

– Myślę, że mogą nawet wygrać – przekonuje z pewną dozą ostrożności Eike Jantz, 35-latek z Dolnej Saksonii. Przyznaje, że jest ogromnym fanem futbolu i drużyny narodowej. W ostatnich miesiącach przeżywał sukcesy ulubionych klubów: Bayer Leverkusen przełamał dominację Bayernu Monachium i został mistrzem kraju, a Borussia Dortmund dotarła na szczyty Ligi Mistrzów. Dopiero w finale przegrała z Realem Madryt.

Również William Ludwig-Schulte – 34-latek z Hamburga, ligowo fan klubu Hamburger SV – oceniając szanse niemieckiej drużyny narodowej, najpierw kręci nosem i zastrzega, że woli pozostać realistą. – Pewnie dotrą do półfinału – wypala w końcu.

Entuzjazm stonowany

Przekonanie o byciu skazanym na sukces widać nawet w terminarzach dostępnych w internecie. Tam po datkach meczów w fazie grupowej rozpisano możliwą jedną ósmą finału,



możliwy ćwierćfinał, możliwy półfinał, aż w końcu 14 lipca możliwy finał na stadionie w Berlinie. Dla niemieckiej jednostki wszystko jest możliwe.

I nie ma się czemu dziwić. Niemcy to – po Brazylii – najbardziej utytułowana drużyna piłkarska na świecie. Wraz z Anglią, Francją i Włochami należą do elitarnego grona, którego celem jest zawsze gra o puchar.

Jednak tym razem entuzjazm Niemców jest dość stonowany. – Gdybyś mnie nie zapytał, to w ogóle bym jeszcze nie pomyślał, że mistrzostwa są w tym roku u nas – mówi William na tydzień przed rozpoczęciem turnieju.

Po części wynika to z kiepskich wyników drużyny narodowej w ostatnich latach. Z drugiej strony w kraju, w którym napięcia polityczne mocno podmywają ład społeczny, coraz mniej ludzi myśli o czystej i nieskrępowanej celebracji futbolu.

A przecież już raz właśnie dzięki piłce nożnej Niemcy stali się lepszym narodem.

Lato jak z baśni

Całkiem możliwe, że doświadczenie roku 2006 było najlepszym zbiorowym przeżyciem w historii współczesnych Niemiec.

Wtedy to, w czerwcu i lipcu, Niemcy zorganizowały piłkarskie mistrzostwa świata, które w pamięci zbiorowej zapisały się jako „letnia baśń” albo „lato jak z baśni” – tak można przełożyć słowo *Sommermärchen*. Historycy z pewnością się oburzą i wskażą palcem na upadek muru berlińskiego czy zjednoczenie Niemiec. Jednak nawet z tego okresu nie ma tylu archiwalnych ujęć zbiorowej ekstazy, co z lata 2006. Niemcy zorganizowali perfekcyjną imprezę sportową i pokazali się światu z najlepszej strony:

uśmiechnięci, gościnni, pomocni, skorzy do wspólnej zabawy.

Wykorzystali wówczas w pełni swój skrywany dotąd atut. To nie jest społeczeństwo, które łatwo oddaje się kulturowaniu atawistycznych tradycji. To nie Anglicy, którzy gdy jadą gdziekolwiek na mecz, to od razu wszyscy wiedzą, że przyjechali goście z Wysp.

Niemcy po II wojnie światowej nauczyli się trzymać z daleka od zbiorowych uczuć narodowych. Ale dołożymy do tego tradycyjną niemiecką kindersztubę – i mamy idealnego organizatora masowej imprezy. Zamiast skupiania się na sobie, ze szczerą ciekawością i otwartością przyjęli kibiców z całego świata.

– Nie tylko kibicowaliśmy Niemcom, ale także cieszyliśmy się ze zwycięstw innych drużyn – wspomina Elisabeth, która „letnią baśń” przeżyła jako studentka w Berlinie.

Niemiecka radość

Wówczas to właśnie, na fali tamtych emocji, coś się zmieniło: również sami Niemcy dali się porwać nastrojom.

– Cały teren obok Bramy Brandenburskiej był wypełniony ludźmi w barwach narodowych. Pierwszy raz coś takiego widziałam – Elisabeth wspomina dni, w których mecze rozgrywała niemiecka drużyna. – To było zaskakujące, bo wcześniej duma narodowa nigdy nie była manifestowana w tak masowy sposób – wspomina.

W tamtych dniach Niemcy odłożyli – w końcu – na bok rozterki, czy ze względu na zbrodnie III Rzeszy wolno im śpiewać hymn lub machać flagą narodową. Jeśli kibice z całego świata tak robili, to i oni, Niemcy, gromadnie zaczęli zachowywać się jak wszyscy.

– To było pozytywne, bo ta duma narodowa absolutnie nie miała żadnego podtekstu politycznego, chodziło raczej o poczucie jedności – wspomina Elisabeth.

„Tak radosnych, świętujących i połączonych w poczucie wspólnoty, świat nas jeszcze nigdy nie widział” – wspominał już po turnieju Philipp Lahm, który piękną bramką w samo okienko w pierwszym meczu z Kostaryką rozpoczął ten rozdział niemieckiej historii. Mało komu

*Bramka pod Bramą Brandenburską
– budowa strefy kibica w Berlinie,
maj 2024 r.*



SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

→ nawet chyba przeszkadzało, że narodowa drużyna odpadła w półfinale i zdobyła „tylko” trzecie miejsce.

Chwilo, trwaj!

Zresztą tamten czas nie skończył się wcale wraz z finałowym gwizdkiem kończącym mundial. To był tak naprawdę początek baśni, do której na dłuższy czas Niemcy trafili zarówno piłkarsko, jak i politycznie.

Kancelarz Angela Merkel, która objęła urząd w 2005 r., umacniała swoje rządy i prowadziła kraj w taki sposób, by omijać kolejne kryzysy. Przez kolejne 10 lat Niemcy mogli skupić się na pomnażaniu swej zamożności, a *Mutti* Merkel dbała, by globalne zawirowania nie mąciły za bardzo dobrostanu rodaków. Nawet jeśli uzależnianie kraju od tanich rosyjskich surowców i chińskich poddostawców miało się wiele lat później zacząć odbijać czkawką, to lata rządów Merkel były dla Niemców okresem spokoju i dobrobytu.

Również reprezentacja, którą po mundialu 2006 r. z rąk Jürgena Klinsmanna przejął Joachim Löw, dalej wybornie prezentowała się na murawie. Szczyt możliwości osiągnęła w 2014 r. podczas mundialu w Brazylii: najpierw w półfinale rozgromiła gospodarzy 7:1, a następnie w finale wygrała z Argentyną.

Podwójny koniec epoki

Jednak nic nie trwa wiecznie. W polityce od 2015 r. problemy zaczęły piętrzyć się wraz z pierwszym wielkim kryzysem migracyjnym. W początkowej jego fazie Niemcy jeszcze zmobilizowali się do pomocy i przyjęli ponad milion ludzi, głównie z Syrii. W kolejnych latach kryzys jednak narastał – i dziś niekontrolowana migracja stanowi największy problem społeczny w kraju.

Tymczasem drużyna Löwa zaliczyła jeszcze dobry występ w 2016 r.: podczas Euro we Francji doszła do półfinału. Kolejne turnieje przynosiły już tylko ogromny zawód. Na mundialu w Rosji w 2018 r. Niemcy nie wyszli z fazy grupowej. Tylko trochę lepiej zagrali na Euro 2020 r., gdy doszli do jednej ósmej finału. W Katarze znów nie wyszli z grupy.

Rok 2021 był dla niemieckiego społeczeństwa symbolicznym zakończeniem pewnej ery. Po wyborach parlamentarnych, w których jej chadecja przegrała, Angela Merkel zniknęła z życia publicz-

Debatę wokół migracji i futbolu podgrzał sondaż, w którym 21 proc. badanych zgodziło się ze zdaniem, że **w drużynie Niemiec powinno grać więcej białych zawodników.**

nego. Z kolei po rezygnacji Löwa piłkarska reprezentacja wypłynęła na niezbadane wody.

To było tak dawno

– To się już nie powtórzy. Wtedy nie było takich problemów z migracją oraz z AfD – William Ludwig-Schulte wątpi, aby Euro 2024 jak za dotknięciem magicznej różdżki odmieniło atmosferę w kraju. W 2006 r. również on przeżywał wspa- niałe chwile, ale dziś tamto wspomnienie kwituje krótko: – To było już tak dawno.

Wtedy kraj miał się w ogóle nieźle. Ma- łało bezrobocie, a sukcesy reprezentacji, w której grali piłkarze mający zagraniczne korzenie, pozwoliły przynajmniej na jakiś czas scementować wielokulturowe społeczeństwo. Miroslav Klose i Lukas Podolski byli wtedy gwiazdami.

Dziś migracja wywołuje w Niemczech przeważnie negatywne dyskusje. Również w rozmowie o futbolu wciąż wracają wątki pochodzenia poszczególnych graczy. Jak to ujął sarkastycznie w 2018 r. były już reprezentant Mesut Özil, mający tureckie korzenie: „Gdy wygrywamy, jestem Niemcem, gdy przegrywamy, imigran- tem”. Do skandali na tym tle docho- dzi regularnie. Obecny kapitan reprezen- tacji İlkay Gündoğan, którego rodzice przybyli do Niemiec z Turcji, czy Leroy Sané, który tradycje piłkarskie przejął po pochodzącym z Senegalu ojcu, nieraz mu- sieli ścierpieć rasistowskie wyzwiska pa- dające z trybun.

„Więcej białych”

Mecze piłkarskie potrafią też nieocze- kiwanie pokazać, jak bardzo rozdarci są imigranci – pomiędzy obecnym miejscem zamieszkania a ojczyzną przodków. W li- stopadzie 2023 r. w Berlinie doszło do to- warzyskiego meczu Niemcy-Turcja. Na stadionie licznie stawili się potomkowie

tureckich *gastarbeiterów*, fanatycznie do- pingując Turcję. Goście wygrali z gospodarzami 3:2.

Teraz, na krótko przed rozpoczęciem Euro 2024, dyskusję wokół kwestii et- nicznych w futbolu dodatkowo podgrzał sondaż publicznej telewizji WDR, w któ- rym 21 proc. respondentów zgodziło się ze zdaniem, iż w reprezentacji powinno grać więcej białych zawodników. Obecny trener kadry Julian Nagelsmann w emo- cjonalnej wypowiedzi skrytykował i tę część społeczeństwa, i media, które, zada- jąc takie pytania, jego zdaniem tylko po- garszają sytuację.

Wszystko w nogach zawodników

Organizacyjnie Niemcy zapewne nie za- wiodą. W ich przypadku przygotowa- nia do międzynarodowego turnieju nie są tak skomplikowanym procesem, jak było to np. dla Kataru, gdzie na potrzeby mundialu budowano od zera stadiony. W Niemczech wszystko stoi od dekad. Obiekty w Hamburgu, Monachium czy Berlinie wymagały tylko niewielkich mo- dernizacji. Gęsta sieć autostrad oraz po- łączeń kolejowych i lotniczych pozwolą kibicom na bezproblemowe poruszanie się po kraju. Miasta najczęściej wydadzą na darmowe strefy, w których tysiące ki- biców będą śledzić mecze.

Po kontrowersyjnych mundialach w Rosji i Katarze można odetchnąć, że or- ganizacja turnieju w Niemczech odbyła się bez żadnych skandali. Teraz wszystko zależeć będzie od organów bezpieczeń- stwa, które będą musiały zapewnić kibi- com ochronę przed ewentualnym zagro- żeniem. Kraj wciąż jest pogrążony w ża- łobie po śmierci policjanta, który na po- czątku czerwca zmarł w szpitalu po tym, jak afgański islamista ciężko ranił go no- żem w centrum Mannheim.

– Wierzę, że ten turniej może coś zmie- nić. Powinniśmy znów być ze sobą bliżej – przekonuje Eike Jantz.

William Ludwig-Schulte wskazuje, że przy takich imprezach zawsze nadarza się okazja, by przełamać kilka stereotypów na temat Niemców. – Na przykład że je- steśmy tacy zachowawczy i wycofani – śmieje się.

I dodaje, że wszystko i tak zależy od pił- karzy.

A jeśli niemiecka jedenastka szybko odpadnie? – To będę kibicować Ukrainie – mówi William. © ŁUKASZ GRAJEWSKI



Dnieprzańska Elektrownia Wodna, zbudowana w latach 30. XX w. w Zaporozżu, pokrywała ponad 10 proc. zapotrzebowania kraju na energię. Na zdjęciu: płonąca elektrownia po rosyjskim nalocie z 22 marca 2024 r.

Ukraińskie ciemności

MACIEJ ZANIEWICZ Z KIJOWA

Większość napotkanych ludzi odpowie przekornie, że bywało gorzej i jakoś przeżyją także czas obecny. Ale gdy rozmawiamy z ekspertami od energetyki, sprawy już nie malują się tak różowo: Ukrainie grozi blackout.

TAKIE KOMUNIKATY MOŻNA USŁYSZEĆ dziś w ukraińskiej stolicy:

„Niestety mogę podać tę kanapkę tylko na zimno. Wyłączyli nam prąd i nie możemy podgrzać”.

„To już ostatnie zamówienie. Dziś zamykamy wcześniej, bo kończy nam się paliwo w generatorze”.

„Na czas alarmu powietrznego księgarnia jest zamknięta. Przepraszamy”.

Życie w Kijowie na pozór może nie odbiegać od normalności: restauracje są pełne, w sklepach tłupy, na ulicach korki. Ale to złudzenie. Czasem po kilka razy dziennie wyją syreny, a w hotelu słychać komunikat: „Uwaga, alarm po-

wietrzny! Prosimy o niezwłoczne udanie się do schronu na poziomie minus 2!”. Zarówno w dzień, jak też w środku nocy.

Spędzając tu trochę więcej czasu, człowiek zaczyna nabierać lokalnych przyzwyczajeń. Słyszając za dnia syreny, nikt nie ucieka, lecz patrzy w aplikację na smartfonie. Aha, dwa rosyjskie bombowce wystartowały gdzieś za wschodnią granicą. Czyli szansa ostrzału Kijowa jest znikoma. Można pracować, wyjść na spacer z dzieckiem, z przyjaciółmi na piwo.

Trudno się dziwić takiemu podejściu. Gdyby za każdym razem, gdy wyją syreny, zbiegać do schronu, trzeba by to robić wiele razy w ciągu doby, dniem i nocą. Tak się nie da żyć.

Agregaty i ecoflow

Że nie jest normalnie, pokazują też wszechobecne generatory prądotwórcze. Gdy wyłączany jest prąd – a dzieje się to ostatnio często, zarówno według ustalonego z góry grafiku dla poszczególnych regionów kraju, jak też, bywa, z nagłą – tu i ówdzie zamruczy generator: przed sklepem, na stacji benzynowej, nawet na dziedzińcu prywatnej kamienicy.

Co prawda chodząc do lepszych restauracji czy śpiąc w Radissonie lub Intercontinentalu, raczej nie doświadczymy braku prądu. Duże firmy już dawno kupiły własne generatory, żeby mieć awaryjne zasilanie. Mniejsze sklepy i nieco bogatsi ludzie kupili sobie małe, głośne i śmierdzące agregaty lub baterie typu ecoflow (rodzaj dużego powerbanku).

Mniej zamożni Ukraińcy, a więc ich większość, muszą się dostosować – kierując się informacjami ze stron internetowych dostawców prądu lub z lokalnych kanałów w komunikatorze Telegram. Tutaj można wyczytać, kiedy na naszej ulicy prąd zostanie wyłączony. A mówimy o regularnych odcięciach po kilka godzin, co-dziennie.

Planowe blackoutu

To, co obecnie dzieje się z ukraińską energetyką, może szokować przyjezdnych. Większość Ukraińców mówi jednak, że gorzej już było i że przeżyją również i czas obecny. Ale jeśli porozmawiamy z ekspertami od energetyki, sprawy już nie malują się tak różowo.

– Obecnie nasze szczytowe zapotrzebowanie na moc to 12 gigawatów. Mamy dostępne niespełna 11 gigawatów, wliczając fotowoltaikę – mówi inżynier z Ukrainy, ukraińskiego operatora systemowego.

Jeśli poskrobiemy w tych liczbach, to sytuacja okaże się jeszcze trudniejsza. Bo wieczorem, gdy potrzeby energetyczne są największe, słońce nie świeci, więc ukraińskie możliwości produkcyjne są jeszcze mniejsze. Częściowo pomaga import od zachodnich sąsiadów, w tym Polski, jednak linie pozwalają na przesłanie zaledwie niespełna 2 gigawatów.

W rezultacie jedyną możliwością, aby zachować stabilność całego systemu, są „rolowane blackoutu”, czyli kontrolowane odcięcia prądu, po kolei w różnych regionach całego kraju.

Tamta zima

⇒ W przeszłości Ukraina już zmagala się z podobnym problemem: było to na przełomie roku 2022 i 2023. Wówczas to, poczynawszy od października 2022 r., Rosja punktowo atakowała rakietami i dronami kamikadze Szahed (produkcji irańskiej) stacje węzłowe na całej Ukrainie. Z tego powodu, mimo że elektrownie działały, nie było możliwe dostarczenie prądu do odbiorców.

Wtedy celem Rosji było „zamrożenie” Ukraińców i załamanie ich gospodarki oraz morale społeczeństwa. Dzięki olbrzymiej mobilizacji międzynarodowej koalicji (bo wszak nie tylko Europa i USA pomagają), Ukrainie dostarczono tysiące ton sprzętu do naprawy sieci, a także ogromne – idące w setki tysięcy, może więcej – ilości generatorów. Poczynawszy od takich kilkukilowatowych, do których można podłączyć np. sprzęt medyczny w wojskowym punkcie stabilizacyjnym na froncie, aż po takie wielkie. Te ostatnie, o mocy kilku dziesięciu kilowatów (i ważące ponad tonę), mogą zaopatrywać w prąd np. cały szpital.

W rezultacie w 2023 r. ukraińska energetyka, choć poobijana, wstała z kolan. Następnie zaczęto umacniać stacje węzłowe betonowymi konstrukcjami i workami z piaskiem, aby zwiększyć ich odporność na ataki dronami.

Straty kolosalne

Jednak również Rosja wyciągnęła wnioski. Przez wiele miesięcy czekała, gromadząc rakiety, pociski manewrujące i drony. Zaatakowała pod koniec marca tego roku – w chwili, gdy Ukraina wciąż czekała na dostawy amunicji przeciwlotniczej z USA i Europy. Od tego momentu do dziś kraj doświadczył sześciu naprawde zmasowanych ataków powietrznych wymierzonych w infrastrukturę energetyczną – ostatni nocą z 31 maja na 1 czerwca. W międzyczasie miały też miejsce ataki o mniejszej skali.

Taktyka rosyjskiego „energetycznego terroru” uległa przy tym zmianie. Tym razem celem padły elektrownie wodne i węglowe. Dlaczego one? To właśnie te zakłady są sterowane wyłącznie przez człowieka. Elektrownie wiatrowe i słoneczne są zależne od pogody i trudne do zniszczenia, z kolei reaktory jądrowe są

same w sobie bunkrami przeciwlotniczymi, a ich zniszczenie groziłoby katastrofą jądrową (NATO traktuje taki incydent równoznacznie z taktycznym atakiem jądrowym).

Ponadto to elektrownie węglowe i wodne służą do pokrywania tzw. szczytowego zapotrzebowania na prąd, gdy nie świeci i nie wieje. A ich zniszczenie jest stosunkowo proste: w końcu Rosjanie, jeszcze z czasów sowieckich, mają dokładne dane na temat ich lokalizacji i roli, jaką odgrywają w systemie. Wiedzą więc, w co uderzać.

W efekcie w ciągu nieco ponad dwóch miesięcy Rosjanie zniszczyli elektrownie o łącznej mocy około 8 gigawatów – tak ocenia to ukraiński rząd, uwzględniając także atak z 31 maja / 1 czerwca. Tymczasem przypomnijmy, że cały kraj potrzebuje ok. 12 gigawatów. Są to zatem kolosalne straty.

– Byłem w kilku elektrowniach, ich stan jest straszny. W niektórych przypadkach ostrzał zniszczył całą halę generatorową – twierdzi mój rozmówca z ministerstwa energii.

Jak odbudować?

Niektóre zniszczenia można obejrzeć na zdjęciach opublikowanych przez spółkę DTEK: spalone są generatory i cała elektronika sterująca (publikacja tych zdjęć była precedensem; do tej pory strona ukraińska unikała ujawniania skutków rosyjskich nalotów i o to samo proszono społeczeństwo). Mowa zatem o sytuacji, w której w zasadzie bardziej opłaca się postawić elektrownię na nowo niż starać się ją łączyć.

Niektóre bloki węglowe są jednak w lepszym stanie i da się je naprawić. Posłużyć mogą do tego celu elementy z jednostek węglowych wycofywanych z eksploatacji w Niemczech i w Polsce. Rozmowy z Niemcami są już prowadzone. W Polsce w grudniu 2023 r. zamknęliśmy dwa bloki węglowe w Rybniku. Zdaniem ukraińskich inżynierów część wyposażenia można wykorzystać do odbudowy w Ukrainie.

Niestety nierozwiązana pozostaje kwestia ostrzałów. Odbudowa w najlepszym wypadku zajmie kilka miesięcy. Część elektrowni można będzie uruchomić do zimy 2024/2025 r., co jest kluczowym zadaniem. Daje to jednak także dużo czasu Rosjanom na kolejne ataki.

Nadzieja w gazie?

Jak wspomniano, Ukraińcy próbowali obronić elektrownie, budując wewnątrz nich prowizoryczne umocnienia. Ich wysiłki okazały się jednak nieskuteczne. Jedynym sposobem na obronę tak wielkich obiektów jest obrona przeciwlotnicza, a więc np. więcej systemów typu Patriot.

Jednak nawet zakładając, że uda się przekazać Ukrainie sprzęt do naprawy i obronić elektrownie przed kolejnymi atakami dzięki dostawom systemów przeciwlotniczych, nie wystarczy to do postawienia całego systemu na nogi. Zapotrzebowanie na prąd zimą rośnie, bo Ukraina wykorzystuje go często także do ogrzewania. Jedynym sposobem na odwołanie w tak krótkim czasie potencjału ukraińskiej generacji jest instalacja turbin gazowych.

To nie jest plan z rodzaju *science fiction*. Technologia istnieje, a turbiny można szybko rozlokować w Ukrainie. Problemem jest jednak, kto za to zapłaci i skąd wziąć gaz na ich zasilanie. Sprawy nie ułatwia to, że z końcem tego roku kończy się umowa na tranzyt rosyjskiego gazu przez Ukrainę do Unii, głównie Słowacji i Węgier. I choć Ukraina nie czerpie gazu z Rosji, tylko z Unii, to jeśli będzie go mniej w Unii, jego cena może wzrosnąć.

Nadchodzi mroczna zima?

Jaki jest zatem najgorszy scenariusz? Jeśli Rosja będzie nadal niszczyć elektrownie węglowe, a przed samą zimą zaatakuje również stacje węzłowe, ukraiński operator będzie zmuszony nie tylko odłączyć od zasilania coraz więcej odbiorców. W którymś momencie może być konieczne wyłączenie również elektrowni jądrowych, które zapewniają ponad połowę prądu w Ukrainie – to ze względów bezpieczeństwa, ponieważ nie będzie jak przesyłać dalej wytworzonego przez nie prądu.

Ukraińcy przyzwyczaili się do obecnych wyłączeń i nie są specjalnie zaniepokojeni przerwami w dostawach prądu. Jednak ten pozorny spokój nie odzwierciedla dramatyzmu sytuacji. Ukraińska energetyka w tak opłakanym stanie nie była od początku inwazji. Jeśli nie uda się odbudować choćby części elektrowni, dostarczyć wyrzutni przeciwlotniczych i turbin gazowych... Ukraińska zima 2024/25 może być najmroczniejszą, jaką Europa widziała od czasu II wojny światowej.

© MACIEJ ZANIEWICZ



NIHARIKA KULKARNI / AFP / EAST NEWS

Zadyszka trybuna

MAREK RABIJ

Wraz z mandatem do utworzenia kolejnego rządu premier Indii Narendra Modi dostał od wyborców żółtą kartkę.

W POLITYCE ZWYCIĘSTWEM BYWA też to, co uda się przedstawić wyborcom jako wiktorię. Stając 4 czerwca przed frontem zwolenników, Narendra Modi musiał zdawać sobie sprawę, że 240 miejsc w parlamencie, które w tych wyborach uzyskała jego Indyjska Partia Ludowa (BJP), oznacza porażkę.

Ogłosił więc zwycięstwo. Ponad 680 mln Indusów, którzy między 19 kwietnia a 1 czerwca pofatygowali się do któregoś z miliona lokali wyborczych, mandat do sprawowania władzy faktycznie powierzyło koalicji rządowej Modiego, występującej jako Narodowy Sojusz Demokratyczny (NDA) i pod przewodnictwem BJP. Sojusz zdobył 292 mandaty, co oznacza, że ma wciąż większość. A że sukces nie jest tak miażdżący, jak obiecywał Modi, gdy zapowiadał, że NDA bez trudu zgarnie co najmniej 400 z 543 miejsc w Lok Sabha, niższej Izbie Ludowej parlamentu? Sondaże i tak od dawna dawały tej koalicji mniej, bo ok. 350-370 miejsc.

PRZEZ KILKA GODZIN po ogłoszeniu pierwszych danych politykom BJP czas musiał się dłużyć niemiłosiernie. Wstępne wyniki ostatniej, siódmej tury wyborów, która odbyła się w 57 okręgach na północy kraju – w tym w najludniejszym stanie Uttar Pradeś, gdzie mieszka 200 mln ludzi – przyniosły zaskakujące dla obozu władzy rezultaty.

Przewaga koalicji NDA nad konkurencyjnym obozem INDIA (prowadzonym przez Indyjski Kongres Narodowy, politycznego wroga numer jeden dla BJP) była tak niewielka, że pojawiło się ryzyko, iż obóz Modiego nie zdobędzie nawet samodzielnej większości 272 głosów. Odnosząc się do tych pierwszych danych, lider opozycji Rahul Gandhi pozwolił sobie na zaproszenie koalicjantów BJP do „współpracy dla dobra kraju”.

Większość komentatorów była jednak przekonana, że do zmiany władzy nie dojdzie. Niedoszacowanie głosów na partię rządzącą na wczesnym etapie ich zliczania to zjawisko dobrze znane w Indiach, gdzie pracownicy sektora publicznego w obawie o posady głosują najczęściej na swoich pryncypałów, ale wolą się tym nie chwalić ankieterom.

DLA ZACHODNICH obserwatorów, którzy nie kryją fascynacji skalą indyjskiego święta demokracji, te wybory były festiwalem wielkich liczb i ekstremów. W stanie Orissa na członków komisji wyborczych polowali maoistowscy partyzanci, usiłujący zabrać im urny i w ten sposób doprowadzić do unieważnienia wyników. Z kolei w internetowym spocie jednego z kandydatów wystąpił szanowany lokalny polityk, który zachwalał swego partyjnego konfratry, choć zmarł kilka lat

Zwolennicy Narendry Modiego, premiera i lidera Indyjskiej Partii Ludowej, świętują wyniki wyborów. Waranasi, 4 czerwca 2024 r.

temu – wskrzeszono go za pomocą technologii używanych do tzw. deep fake’ów. Postacią z krwi i kości był natomiast Arwind Kędźriwal: ten polityk opozycyjnej Partii Zwykłego Człowieka dokończył kampanię jedynie dzięki wspaniałomyślności sędziów, którzy odłożyli na czas wyborczy jego aresztowanie (jest oskarżony o korupcję).

Na koniec w święto demokracji z przymusem włączyła się pogoda. Upały w centralnej i północno-zachodniej części kraju kosztowały życie co najmniej 33 zatrudnionych do obsługi wyborów i zdaniem niektórych mogły wpłynąć na wyniki.

ROZKŁAD POPARCIA sugeruje jednak, że bardziej zaważyło na nich coś innego. Na zamkniętym południu, gdzie Modi i BJP nigdy nie cieszyli się dużym poparciem, obóz władzy nie stracił wiele, bo też nie miał wiele do stracenia. W Kerali BJP wyszarpała jeden głos więcej, zdobywając... jeden mandat. Zaskakujące były za to wyniki w jej mateczniku, jakim dla BJP jest uboższa północ. W stanie Uttar Pradeś partia Modiego straciła aż 29 mandatów, w Radżastanie ubyło jej 10. W Biharze, jednym z najbiedniejszych regionów, pięć. Nawet w Gudżaracie, z którego pochodzi Modi, BJP nie obroniła stanu posiadania z 2019 r.

Premier musiał widzieć, co się święci, bo na finiszu kampanii wrócił do sprawdzonego wcześniej repertuaru spod znaku nacjonalizmu i antyislamskiego szowinizmu. Wcześniej dominującymi wątkami jego wystąpień były spektakularny rozwój kraju, walka z ubóstwem i poprawa warunków życia. Istotnie, podczas dekady rządów Modiego PKB Indii urosł z 2 do 3,4 biliona dolarów. Od początku stulecia średnia przewidywana długość życia skoczyła z 62,6 do 70,1 lat.

DUŻA CZĘŚĆ społeczeństwa owoce *prosperity* nadal ogląda jednak przez szybę, a narracja o bogacących się Indiach pachnie im podejrzenie opowieściami zadowolonego z siebie establishmentu. Żółta kartka, którą właśnie pokazali partii nazywającej siebie samą ludową, może więc zapowiadać to, że na prawej stronie indyjskiej sceny politycznej może pojawić się inny trybun ludowy. ©P



PAUL BOTES / AFP / EAST NEWS

Jedną z partii odwołujących się do czarnego elektoratu jest lewicowy Ruch Bojowników o Wolność Gospodarczą (EFF), powstały w 2013 r. po rozłamie w ANC. Na zdjęciu: plakaty Ruchu w mieście Polokwane, gdzie tuż przed wyborami doszło do starć zwolenników ANC i EFF. 29 maja 2024 r.

Co się stało z marzeniem Mandeli

WOJCIECH JAGIELSKI, ALEXIO RASHIRAI Z HARARE

Afrykański Kongres Narodowy zwyciężył apartheid. Ale po 30 latach jego rządów większość obywateli RPA już go nie chce. „Kiedyś, aby być wolnym, trzeba było być białym. Dziś, aby być wolnym, musisz być bogaty” – narzekają młodzi czarni mieszkańcy.

PO TYM JAK WYGRAŁ TAMTE HISTORYCZNE wybory z kwietnia 1994 r., Afrykański Kongres Narodowy zwyciężał jeszcze pięciokrotnie, przez długie lata zdobywając około dwóch trzecich głosów. Dopiero ostatnie zwycięstwo, przed pięciu laty, nie było już tak okazałe: Kongres poparła niewiele ponad połowa głosujących. Ale i to zdawało się nie marwić kongresowych towarzyszy. Wierzyli, że czarnoskórzy rodacy, stanowiący ponad trzy czwarte ludności RPA, już

zawsze będą ich wybierać, z wdzięczności za wolność, którą dla nich wywalczyli. „Będziemy panować aż do końca świata” – zapewniali.

Przed siódmymi wyborami, które w tym roku wypadły 29 maja, liderzy Kongresu byli już ostrożniejsi. A sceptycy przyznawali, że tym razem może być im trudno zdobyć większość, i że trzeba będzie pomyśleć o koalicjantach. Sądzieli, że nawet jeśli sprawy pójdą źle, do większości zabraknie im 4-5 punktów i łatwo

uzupełnią deficyt, zawierając przymierze z jedną lub dwoma słabymi partiami, którym nie będą musieli wiele ustępować.

Najgorsi nawet czarnowidze w Kongresie nie przypuszczali jednak, że wybory zakończą się aż tak fatalnie. Wprawdzie po raz siódmy zebrał on najwięcej głosów, ale tym razem większość wyborców odwróciła się od dawnych wyzwolicieli i opowiedziała za tym, by odebrać im władzę. Kongres zdobył jedynie 40 proc. głosów i żeby dalej sprawować rządy, naprawdę będzie się musiał nią podzielić. W dodatku ze swoimi zaprzysiężonymi nieprzyjaciółmi – białymi liberałami albo czarnymi radykałami, rozłamowcami, którzy odebrali mu głosy. To dlatego majowe wybory okrzyknięto najważniejszymi od tamtych sprzed 30 lat, pierwszych wolnych.

Mandela i koniec historii

Afrykański Kongres Narodowy (ANC) nie jest – a może raczej nie był – zwykłą partią polityczną. Był najstarszym w Afryce, ponadstuletnim ruchem wyzwoleniczym, który doprowadził do upadku apartheidu i zakończył epokę białej dominacji w RPA. Wydał najwybit-

niejszych – nie tylko w Afryce Południowej, ale na całym kontynencie – przywódców: pokojowych noblistów Alberta Luthego i Nelsona Mandelę. Trzeci noblista, arcybiskup Desmond Tutu, nie należał wprawdzie do partii, ale był jej gorącym orędownikiem. Do narodzin ANC w 1912 r. przyczynił się nawet Mahatma Gandhi, który żył wtedy w RPA.

Byli oni nie tylko przywódcami politycznymi, ale także autorytetami moralnymi. Mandela, skazany w 1962 r. na dożywocie (odsiedział 27 lat), był postrzegany jako symbol niezłomności i walki z niesprawiedliwością. Gdy w maju 1994 r. został pierwszym czarnoskórym prezydentem Południowej Afryki, dodatkowo okrzyknięto go symbolem wybaczenia krzywd i pojednania, a wygraną ANC w pierwszych wolnych wyborach uznano za dowód zwycięstwa Dobra nad Złem.

Nową Południową Afrykę ochrzczono wtedy Ludem Tęczy, żyjącym w zgodzie z sobą i ze wszystkimi na świecie. Działo się to wszystko w czasach, które ogłoszono Końcem Historii, a Mandela i kraj, którym władał, zdawali się być jej ziszczeniem.

Południowa Afryka ustrzegła się wojny domowej, która – jak wróżyli – miała wybuchnąć nieuchronnie po upadku apartheidu. Strach przed nią, a także przed odwetem czarnych na białych i sabotażem białych wobec poczynań niedoświadczonego czarnego rządu sprawiły, że Mandela poświęcił swoje panowanie trochę o pokój i zgodę.

Powołał więc komisję prawdy i pojednania, która miała ujawnić i rozliczyć zbrodnie z przeszłości. Triumfował, gdy południowoafrykańska drużyna rugby – ukochanego sportu białych Afrykanerów, w czasach apartheidu wykluczona ze światowych rozgrywek – w 1995 r. wygrała puchar świata, a kibicowali jej także czarni. Rok później, gdy drużyna futbolistów (to z kolei sport czarnych) zdobyła mistrzostwo Afryki, sukces świętowali też biali. To głównie za sprawą Mandeli oba sportowe zwycięstwa uznano w RPA za wspólny sukces.

Mbeki: wizja nowej RPA...

Mandela złożył prezydencki urząd już po pierwszej kadencji. Drugiej nie chciał. Tłumaczył, że jest na to za stary (miał 81 lat), że pora przekazać stery państwa

młodym. Zresztą i tak raczej panował, niż rządził – cały ten mozół pozostawiał swojemu zastępcy, wiceprezydentowi Thabo Mbekiemu.

I to jemu przekazał prezydenturę – choć w roli swojego następcy widział ponoć raczej Cyrila Ramaphosę. Ten związkowiec i prawnik był głównym negocjatorem ANC podczas obrad południowoafrykańskiego „okrągłego stołu” (poprzedzających pierwsze wolne wybory), a potem napisał nową konstytucję. Jednak partyjni towarzysze wybrali Mbekiego, który lata apartheidu spędził na wygnaniu w Wielkiej Brytanii, skąd zawiadował sprawami ANC w zastępstwie starszych przywódców, uwieczonych (karę dożywocia wraz z Mandelą odsiadywał ojciec Thabo, Govan Mbeki) lub schorowanych.

Choć Thabo Mbeki w młodości należał do partii komunistycznej (jak ojciec), a nawet szkolił się w Związku Sowieckim na buntownika, w Londynie upodobał się do konserwatywnych lordów, przejął ich maniery i poglądy (zwłaszcza na gospodarkę). Oschły i nieco wyniosły, lepiej czuł się w gabinetach niż na wiecowych trybunach.

Uznawszy, że sprawy pokoju i zgody zostały załatwione przez Mandelę, jako prezydent Mbeki zajął się zadaniem jeszcze trudniejszym. Biali oddali mianowicie władzę polityczną, ale zachowali wszystko, do czego dzięki tej władzy i apartheidowi doszli. Mbeki nie chciał im nic zabierać, ale liczył, że pomogą mu zbudować czarną klasę średnią, by stała się motorem rozwoju gospodarki i posłużyła za najlepsze zabezpieczenie przed rewolucją.

Służyć temu miało „Gospodarcze Wzmocnienie Czarnych”: akcja afirmatywna, której celem było wynagrodzić krzywdy, wyrównać szanse i przyspieszyć awans czarnoskórych, dyskryminowanych przez prawie trzy stulecia białego rasizmu i apartheidu.

...i jej realizacja

Zarzucono mu potem, że troszczył się tylko o białych oraz o bogatych czarnych. Odpowiadał, że nie potrafił czynić cudów i wszystkiego zmienić od razu. Zresztą to właśnie za jego i Mandeli rządów władze zbudowały kilka milionów domów dla biedoty, doprowadziły do nich prąd i bieżącą wodę.

Mbeki nie popsuł państwa, uchodzącego za najbogatszy i najlepiej zarządzony kraj całej Afryki, gospodarka dobrze się rozwijała, a jego rząd nie wydawał więcej, niż zarabiał. To głównie dzięki jego rządowi czarni stanowią dziś dwie trzecie południowoafrykańskiej klasy średniej i jedną piątą najbogatszej elity (większość to wciąż biali).

Jeden z najsurowszych krytyków rządów Mbekiego – jego rodzony młodszy brat Moeletsi – od dawna wytyka mu jednak, że powstanie czarnej klasy średniej było w znacznym mierze uwłaszczeniem działaczy Kongresu. Biali przedsiębiorcy chętnie dobierali ich sobie do zarządów i rad nadzorczych swoich firm, licząc, że dzięki ich politycznym wpływom łatwiej będzie im o rządowe kontrakty, tanie kredyty i ulgi podatkowe.

Tutaj nie liczyła się kompetencja, lecz znajomość – tak tłumaczył mi przed laty Moeletsi Mbeki, profesor ekonomii politycznej z johannesburskiego uniwersytetu Witwatersrand. Przekonywał też, że skutkiem ubocznym takich narodzin czarnej klasy średniej stały się korupcja i nepotyzm, które zaczęły zżerać południowoafrykańskie państwo.

Zuma: „swoją chłop”...

Ani rządy Mandeli i Mbekiego, ani wcześniej białe rządy z epoki apartheidu nie były wolne od korupcji. Jednak gdy na fotelu prezydenckim zasiadł Jacob Zuma, wymknęła się ona spod wszelkiej kontroli.

Zuma był przeciwieństwem Mbekiego – i właśnie dlatego został wybrany na trzeciego prezydenta po przełomie roku 1994. Partyjni towarzysze obawiali się bowiem, że ich czarni zwolennicy stracą w końcu cierpliwość do wyrachowanego technokraty Mbekiego i odwrócą się od ANC. Tymczasem o takich jak Zuma mówi się: „swoją chłop”.

Nie miał on ani wykształcenia, ani światowego obycia, a lata apartheidu spędził w partyzantce i więzieniu. Lubił gabinety i luksusy, ale jeszcze lepiej wypadał na partyjnych wiecach, podczas których zdobywał ludzi swoim urokiem i charyzmą. Ponadto Zuma wywodził się z Zulusów, najliczniejszego z ludów Południowej Afryki, rywalizującego o wpływy z sąsiednimi Khosami. Po rządach Mandeli i Mbekiego, którzy wywodziли się z ludu Khosów, towarzysze z ANC uznali, iż dla

→ dobra partii dobrze powierzyć władzę Zulusowi.

Podobnie zresztą kalkulował Mbeki, gdy brał Zumę na zastępcę. Jako wiceprezydent miał on zjednać dla rządu ANC zarówno Zulusów, jak też czarną biedotę, wciąż czekającą na swoją kolejkę po lepszy los i tracącą cierpliwość do przemądrzałego prezydenta.

Jednak w efekcie Mbeki sam ukreślił sobie sznur na szyję: rozsmakowawszy się we władzy jako wice, Zuma zażądał, aby po drugiej kadencji Mbekiego mógł go zastąpić jako prezydent. Mbeki miał Zumę za prostaka i parweniusza i nie chciał o tym słyszeć. Także Mandela i arcybiskup Tutu przestrzegali, że Zuma nie nadaje się na prezydenta.

Ostrzeżeniem powinien być już fakt, że ledwie został wiceprezydentem, a oskarżono go o przyjęcie łapówki za załatwienie miliardowego kontraktu na dostawę broni (jeśli w 2025 r., już jako 82-latek, stanie w końcu przed sądem, grozić mu będzie nawet dożywocie). Mbeki zwolnił go wtedy, ale Zuma wywołał w ANC frakcyjną wojnę – aby zdobyć władzę i uniknąć kary. Pobuntował towarzyszy przeciw nielubianemu Mbekiemu i zmusił go do ustąpienia na rok przed upływem kadencji. Wkrótce potem, w 2009 r., objął prezydenturę.

...i dziewięć lat chudych

Jego panowanie upłynęło pod znakiem niezliczonych skandali finansowych i pozamałżeńskich romansów. Kiedy po dziewięciu latach zmuszono go do złożenia urzędu, specjalna komisja śledcza orzekła, że pod rządami Zumy państwo zostało przejęte przez przestępcze korporacje. Ich szefowie od początku prezydentury obstarpyli Zumę, obsypując go pieniędzmi i spełniając zachcianki – także jego licznej rodziny (jako Zulus jest poligamistą i dochował się ponad 20 dzieci).

On zaś pozwalał swoim dobrodziejom i wierzytelom na wszystko. Decydowali nawet o tym, kto ma zostać ministrem finansów. Przestępcze korporacje przejęły kontrolę nad należącymi do państwa filarami gospodarki – koncernem energetycznym, liniami lotniczymi, kolejami, a nawet urzędami celnymi i skarbowymi.

Pod koniec panowania Zumy południowoafrykańskie państwo przestało działać. Dawni rewolucyoniści i bojownicy o wolność przemienili się w po-

Prezydenci z ANC:

1994-1999: Nelson Mandela

1999-2008: Thabo Mbeki

2008-2009: Kgalema Motlanthe

(p.o. prezydenta od usunięcia z urzędu Mbekiego do nowych wyborów)

2009-2018: Jacob Zuma

2018 do dziś: Cyril Ramaphosa

spolitych karierowiczów. Z ulic nie sprzątano śmieci, niszczały nieremontowane drogi, wiadukty i mosty. W najbogatym kraju Afryki zaczęło brakować bieżącej wody i prądu, bo zawodziły wodociągi i przestarzałe elektrownie, do których nie docierały rabowane po drodze transporty węgla. Gospodarka, która dotąd się rozwijała, stanęła w miejscu. Zrażeni korupcją zagraniczni inwestorzy zaczęli uciekać. W ich miejsce Zuma spraszał Chińczyków i rosyjskich oligarchów, którzy nie szczędzili mu pieniędzy, a w zamian przejmowali kopalnie platyny i złota.

Rabunek i niekompetencja rządów Kongresu stały się w końcu tak jawne, iż partyjni towarzysze uznali, że jeśli nie pozbędą się Zumy, stracą władzę w najbliższych wyborach. W ANC doszło do kolejnego pałacowego przewrotu: w 2018 r., na rok przed upływem panowania Zumy, zastąpił go dawny faworyt Mandeli – Cyril Ramaphosa.

Ramaphosa: na (spóźniony) ratunek

Został więc w końcu prezydentem. Ale kto wie, czy ten awans nie przyszedł za późno.

Wypchnięty wcześniej z polityki przez zazdrosnego o władzę Mbekiego, Ramaphosa zajął się biznesem. Dzięki akcji afirmatywnej, a przede wszystkim dzięki odkrytej smykalce do interesów zbił majątek, który uczynił go jednym z najbogatszych ludzi w Afryce. Nie przestał jednak tęsknić za polityką i wrócił do niej w 2012 r. na wezwanie Zumy: mianując przedsiębiorczego Ramaphosę swoim zastępcą, prezydent chciał podreperować reputację.

Na Ramaphosę, na jego przywódczy talent i gospodarność, liczyli też jego rodacy. Mieli nadzieję, że zrobi porządek po Zumie, ukroci złodziejstwo i korupcję,

ożywi gospodarkę. Zadanie to okazało się trudniejsze niż cała południowoafrykańska przemiana.

Dziś, po 30 latach rządów ANC, Południowa Afryka wciąż pozostaje najbogatsza na kontynencie. Ale jednocześnie jest krajem, gdzie przepaść między bogatymi i biednymi jest największa i nadal pokrywa się z podziałami rasowymi; biali wciąż mają się znacznie lepiej od czarnych. Kryzys gospodarczy i recesja z czasów Zumy sprawiły, że obywatel RPA jest dziś o jedną czwartą uboższy niż pod koniec panowania Mbekiego. „Zuma cofnął nas o sto lat” – narzekają przywódcy ANC.

Bezrobocie zalicza się do najwyższych na świecie (jedna z najwyższych jest też przestępczość). Pracy nie może znaleźć jedna trzecia ogółu mieszkańców, a wśród młodych, urodzonych już po 1994 r. – prawie połowa. To oni głosowali teraz przeciwko ANC. Ich rodzice, pamiętający czasy apartheidu, wciąż uważają się za dłużników Kongresu.

„Kraść jednak nie musieli”

Dziś połowa z 62-milionowej ludności Południowej Afryki (od 1994 r. przybyło tu 20 mln ludzi) żyje w biedzie. Do najzamożniejszych, stanowiących dziesiątą część ludności, należy trzy czwarte jej bogactwa. Czarni bogacze przeprowadzili się do zamożnych dzielnic, zastrzeżonych w czasach apartheidu dla białych, a biedacy, z których połowa żyje z rządowych zapomóg, po staremu tkwią na przedmieściach, zbudowanych przed laty dla czarnej służby i górników z kopalni złota.

Trzy czwarte młodych nie spodziewa się, by sprawy w ich kraju miały się rychno poprawić. Twierdzą, że byliby gotowi zrezygnować nawet z politycznych praw i żyć jak ich rodzice w czasach apartheidu, jeśli tylko rząd zapewniłby im pracę, dach nad głową i bezpieczeństwo.

„Kiedyś, żeby być wolnym, trzeba było być białym. Dziś, żeby być wolnym, musisz być bogaty” – narzekają zwłaszcza młodzi czarni Południowoafrykanie. Trzy czwarte z nich uważa też, że nie wolno wierzyć politykom: „Rozumiemy, jak trudnego podjęli się zadania, przejmując władzę od białych. Kraść jednak nie musieli”.



WŁECK SOSNA

Judi Dench z sadzonką drzewa z Sycamore Gap na wystawie Chelsea Flower Show. Wielka Brytania, 20 maja 2024 r.

Kwestia przetrwania

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

Ogrodnik musi się dziś dostosować, radzić sobie z suszą i ulewą. I nic nie może się marnować. To przesłanie tegorocznej wystawy Chelsea Flower Show. Od 112 lat jest ona „lustrem” swoich czasów.

AVEBURY TO ANGIELSKA WIOSKA W HRABSTWIE Wiltshire. Domki z kamienia, drewniane ganki oplecione różami, strumyk i staw, okrągły wiekowy gołębnik, a także rezydencja z XVI stulecia Avebury Manor: całość wygląda urokliwie, jak plan nostalgicznego filmu. Jednak głównym powodem, dla którego w to niedzielne przedpołudnie wieś wypełnia się przybyszami, jest krąg prehistorycznych kamieni. To on i inne pozostałości kamiennych konstrukcji datowanych na 2,8 tys. lat p.n.e. ściągają tu turystów, pasjonatów historycznych

zagadek i poszukiwaczy kosmicznej energii.

Wielu z nich zajrzy też do Avebury Manor i otaczających ją pięknych ogrodów. Lub raczej kiedyś tak było, bo od stycznia rezydencja jest zamknięta – powódź, wywołana przez obfite zimowe opady, zalała parter i ogród. Zdjęcia ukazują zabytkowe meble w wodzie.

OGRÓD ODRODZONY | Do takich gwałtownych podtopień dochodziło ostatniej zimy, wyjątkowo deszczowej, w wielu miejscach Brytanii. Następnego dnia w Londynie, na corocznym pokazie ogrodów RHS Chelsea Flower Show, miałam zobaczyć, że na ten sygnał ostrzegawczy nie pozostali obojętni ich projektanci. O ile w poprzednich latach triumfy święciły ogrody pełne roślin odpornych na suszę, teraz ukazywano, jak radzić sobie z nadmiarem wody. Lub oboma problemami.

Na razie jednak w Avebury widzę, że choć renowacja Avebury Manor trwa, to ogród już się odrodził po styczniowej katastrofie. – Wszystko rośnie nawet lepiej – zdradza pracownik National Trust, organizacji, która opiekuje się tym miejscem. – Może to przez nawozy, które woda powodziowa wypłukała z sąsiednich pól?

Ogród w Avebury Manor podzielony jest kamiennymi murami na „pokoje”, z których każdy ma inny charakter. Jest „pokój”-sad, jest ogród warzywny. Rabaty

wzdłuż muru niedługo zaczną pachnieć lawendą. Na razie rozkwitły tymianek i inne zioła, korzystające z ciepła magazynowanego w kamiennych ścianach. Kwitną jaśminowce, glóg i złotokap.

Inne rośliny się nie spieszą, lato dopiero się zaczyna. W jednym z „pokoi” ustawiono pod drzewami leżaki. Można tu poczuć spokój angielskiej wsi.

CAŁY TEN ZGIEŁK | Poniedziałkowy rano w Londynie, oddalonym o 80 mil, wygląda już inaczej. Szczyt, korki, spieszące się tłumy. Gorączkowo jest na Sloane Square, gdzie wysiadam z metra, i na ulicach prowadzących do Tamizy, gdzie jest jedno z wejść na Chelsea Flower Show. Właściciele okolicznych sklepów jak zawsze włączają się w to ogrodnicze święto – dekorują je kwiatami. Przez kolejne dni kwiatami będzie żyć cała dzielnica, a relacje z wystawy będą śledzić w telewizji miliony miłośników ogrodnictwa.

Zanim jednak Flower Show otworzy się dla publiczności, zaprasza media i osobistości ze świata kultury. To tzw. *Press Day*. Po południu niemal wszyscy zostaną wyproszeni, by ogrody w spokoju mogła obejrzeć rodzina królewska. Już tego pierwszego dnia na terenach otaczających Royal Hospital Chelsea – to utworzony w XVII w. dom opieki dla weteranów, którzy na wystawie zjawiają się w swoich czerwonych mundurach – jest tłoczno. ➔



→ Jednak to nic w porównaniu z tym, co następuje w kolejnych pięciu dniach. Co roku wystawę odwiedza ponad 160 tys. osób, którzy wypijają 50 tys. kaw i herbat, 32 tys. pint pimsa (popularnego koktajlu na bazie ginu) i 10 tys. kieliszków szampana.

ZIELONE ZASADY | Niezależnie od tej pogoni za celebrytami, fantastycznych garniturów – to, co się dzieje na Chelsea, jest istotne dla ogrodnictwa. Tu testuje się trendy i rozwiązania, prowokuje dyskusje. Coraz więcej też odpowiedzialności wobec środowiska: dziś każdy zgłoszony na pokaz projekt ogrodu musi przejść tzw. zielony audyt. Organizatorzy sprawdzają, jakie materiały zużyto, czy ograniczono np. cement, czy rośliny gwarantują bioróżnorodność (i są tego efekty, ślad węglowy ogrodów na tegorocznej Chelsea zmniejszono o 28 proc.).

W tym roku po raz pierwszy przyznano nagrodę RHS Environmental Innovation Award: docenia projektantów i wykonawców, którzy przy budowie ogrodu zminimalizowali wpływ na środowisko. W wyróżnionym ogrodzie, World Child Cancer Nurturing Garden, wykorzystano tylko naturalne materiały (ziemia, glina, drewno), nie ma cementu i plastiku. Podczas prac nie korzystano z narzędzi elektrycznych, wykonując wszystko ręcznie.

Przy tym ogród jest piękny: pomarańczowe i brązowe odcienie terakoty kontrastują z łagodnymi, niemal srebrzystymi zieleniami ziół i roślin odpornych na suszę. Problem podlewania rozwiązano przez system tradycyjnych glinianych pojemników zwanych *ollas*, które

dostarczają wodę bezpośrednio do korzeni (tak oszczędza się do 70 proc. wody).

W PRAKTYCE | Jest też coś jeszcze: po wystawie każdy z ogrodów na Chelsea musi trafić w konkretne miejsce. Lub, jeśli to niemożliwe, jego elementy i rośliny muszą zostać zagospodarowane w innych ogrodach. Praktykowano to już wcześniej, teraz to obowiązek. Projektanci muszą dostosować się nie tylko do terenu na wystawie, ale i miejsca późniejszego przeznaczenia. Wybrać rośliny, które przetrwają nie tylko *show*, ale i kolejne lata.

Robert Myers, projektant ogrodu St James's Piccadilly: Imagine the World to be Different, potraktował to niemal dosłownie: przedstawił nie tylko ogród, który później trafi, jak wskazuje nazwa, na dziedziniec anglikańskiego kościoła St James's na Piccadilly w centrum Londynu, ale też repliki fragmentów otaczających go kościelnych ścian. Otwarty dla osób w potrzebie, będzie jedną z zielonych oaz tak potrzebnych w wielkim mieście.

– Ważne, aby w praktyce żyć tak, jak wierzymy, a nie tylko głosić o tym kazania. I pokazać ludziom, że możemy sprawić, iż świat będzie lepszy – mówi mi z pasją wielebna Mariama Ifode-Blease. – Wspieramy ludzi z różnych środowisk, bezdomnych, uchodźców. Dbamy o środowisko.

Istotnie, St James's Piccadilly był pierwszym miejskim kościołem wyróżnionym nagrodą Gold Eco-Church. Na dachu ma panele. Wydawane są tam posiłki dla bezdomnych, uprawiane warzywa i ratowane tony jedzenia, które inaczej zostałyby zmarnowane.

Ogród w Chelsea też jest zrównoważony: wykorzystano cegły z recyklingu, a rośliny są odporne na zmiany klimatu. Są też rośliny ruderalne, np. wyka i gwiazdnica pospolita – takie, jakie wyrosły w ruinach kościoła, gdy został zbombardowany w czasie II wojny światowej. Przypominają, jak z ziarenka odradza się życie.

Z ODZYSKU | Jeśli chodzi o ideę recyklingu, najdalej posunęli się Darryl Moore i Toby Magee. Ich ogród nazywa się Chelsea Repurposed, co można przełożyć jako „Chelsea Przerobiona”. Nie tylko powstał z recyklowanych materiałów, ale jego elementy już były na pokazach, wykorzystywane w ogrodach innych projektantów, jak np. stalowe kolumny i betonowe ławki. Inspirowana islamem fontanna o gwieździstym kształcie w centrum ogrodu też jest znana – w 2018 r. pojawiła się w ogrodzie The Lemon Tree Trust, zaprojektowanym przez Toma Massey'a. Latami leżała w magazynie, by teraz znów trafić do Chelsea.

Teraz fontannę otaczają pokruszony beton, cegły i piasek, pozyskane ze zburzonych budynków. W tym na pozór nieprzyjaznym podłożu dobrze odnalazły się jednak kocimiętka, szaflwia, oregano, tymianek i werbena. Brutalność betonu i stali łagodzi trawy, jak drzączka.

Chelsea Przerobiona to nie pierwszy taki ogród. – Zaczęło się w 2013 r. od projektu ogrodu Remix Garden – mówi mi projektant. Tamten ogród – instalacja na nabrzeżu Tamizy w Londynie – powstał właśnie z remiksu elementów innych ogrodów.



Od lewej: meteorolożka Laura Tobin w ogrodzie Flood Re. Wystawa Chelsea Flower Show. Wielka Brytania, 20 maja 2024 r.

Ogród World Child Cancer Nurturing Garden. Przy jego tworzeniu wykorzystano tylko naturalne materiały, wykonując wszystko ręcznie.

Po prawej: Darryl Moore w swoim ogrodzie Chelsea Przerobiona na wystawie Chelsea Flower Show.



WICEK SOSNA x3

– Zasoby świata są ograniczone. Musimy wykorzystywać to, co dostępne. Wielu młodych projektantów nie stać też na zamawianie nowych elementów. Czemu nie mogliby używać tych, które leżą w magazynach? – tłumaczy Moore. Jest dumny, że – jak mówi – w jego ogrodzie „nie ma ani jednej nowej rzeczy”.

NA SUSZĘ I ULEWY | Wśród ogrodników dużo mówi się dziś o konieczności oszczędzania wody i wykorzystania roślin odpornych na suszę. Bo ostatnie lata były suche i upalne. W tym roku na Chelsea podjęto jednak problem odwrotny: co dzieje się z ogrodem, gdy pada bez przerwy lub zalewa go woda z wezbranego strumienia?

Ogród Flood Re: The Flood Resilient Garden pokazuje kilka rozwiązań. I jest mały – taki, jaki mógłby znaleźć się na tyłach miejskich domów, więc pomysły można przenieść do własnego ogródka. Powierzchnię rekompensuje jego głębokość: w centrum jest zagłębienie, po kamiennych schodkach można zejść do oczka wodnego na dnie. Wszystko otoczone bujną roślinnością, w tym lubiącymi podmokły grunt wierzbami. W rogu taras: wygodne siedziska, kółkowe poduchy i... zbiorniki na wodę.

Jak to działa, pytam eksperta Dermota Kehoe, wspierającego projektantów. – Ogród funkcjonuje na różnych poziomach – tłumaczy. – Zbiornik jest teraz wypełniony w niewielkiej części, w razie gwałtownych opadów lub podtopień zmagazynuje wodę, mieszcząc aż sto wanien. Dziesięć kolejnych wanien deszczówki przyjmą zbiorniki na tarasie.

Do kilku połączonej ze sobą metalowych pojemników schodzą z dachu łań-

cuchy – po nich spływa woda. Aby nie wyglądały surowo, w zbiornikach posadzono wodne rośliny.

Ogród wydaje się bujny, może za sprawą gęstych nasadzeń (ponadto to spowalnia przepływ wody). Rośliny dobrano starannie: najniżej te, co lubią wilgoć (irysy, niezapominajki, kaczyńce), wyżej naparstnice, paprocie, szalwia, mak, róża. Na najwyższym, bezpiecznym gruncie – rośliny jadalne.

– Chodzi o to, żeby się przygotować. Zbiorniki można opróżniać lub napełniać zależnie, czy wody potrzebujemy, czy mamy jej nadmiar – mówi Kehoe.

NAZWĘ GO ANTONINUS | Aktorka Judi Dench nie ukrywa, że drzewa odgrywają w jej życiu wielką rolę. Kiedyś wyznała, że sadzi drzewo, gdy umrze bliska jej osoba. W maju – jak co roku – można było ją spotkać na Chelsea. W jednym z ogrodów wręczono jej małą sadzonkę drzewa. Specjalnego, bo słynnego drzewa z Sycamore Gap.

Był to ponad 150-letni klon jawor, który rósł samotnie w hrabstwie Northumberland, niedaleko muru Hadriana, wału obronnego z czasów rzymskich. Ulokowany widowiskowo, był ponoć najczęściej fotografowanym drzewem na świecie. Tam zakochani wyznawali sobie miłość, a młode pary robiły romantyczne zdjęcia.

W grudniu 2023 r. drzewo ścięli w dale, wywołując oburzenie w całym kraju. I choć wydawało się, że straty nie da się naprawić, fundacji The National Trust udało się wyhodować z nasion kilka sadzonek.

Jedną z nich wręczono Judi Dench i poproszono ją o zasadzenie na Chelsea

Flower Show. Z bezmyślnego aktu zniszczenia coś udało się ocalić. „Nazwę go Antoninus” – stwierdziła Dench. Tak miał na imię adoptowany syn i następca cesarza Hadriana. „Drzewo musi mieć imię” – wyjaśniała aktorka.

Co potem stanie się z sadzonką? – Nie ma jeszcze decyzji, gdzie ostatecznie trafi. Może do Northumberland – mówi „Tygodnikowi” Sally Robinson z The National Trust. – To takie szczęście i radość, bo drzewo z Sycamore Gap było naprawdę wyjątkowe.

KWESTIA TRWANIA | Spektakularne ogrody na Chelsea buduje się od podstaw w 19 dni – dość, by stworzyć ogród dojrzały, który wygląda, jakby trwał tu od lat. Po wystawie są one demontowane (w przypadku dużych zabiera to pięć dni, mniejszych trzy). Jak powiedziano, wszystkie trafią gdzieś dalej. A zielone tereny wokół Royal Hospital Chelsea na kolejny rok staną się miejscem spacerów weteranów. – Uwielbiamy się tu przechadzać. To nasz dom – mówił mi jeden z nich.

Co zabierają ze sobą do domu odwiedzający Flower Show? Inspiracje, rośliny, plany na przyszłość. Ja zabrałam paczkę nasion, jakie rozdawali twórcy Roman Garden – rekonstrukcji ogrodu w rzymskiej willi z okolic Neapolu. To marchew zwyczajna (rośnie też dziko, ma drobne białe kwiaty), mak lekarski, jastrun, rumian rzymski. Wszystkie rosły w typowym rzymskim ogrodzie około roku 78 naszej ery.

Cesarstwa przeminęły, a te skromne rośliny trwają w wielu ogrodach całego świata. © PATRYCJA BUKALSKA

WUJEK KARLI, ZWYKŁY CZŁOWIEK Z SS

To opowieść o moich poszukiwaniach, dotyczących udziału
mojego wuja w Holokauście. O milczeniu, wstydzie,
zaskakujących odkryciach i wciąż nowych pytaniach.

BARBARA TAMBOUR

NAZYWAŁAM GO ZDROBNIALE „WUJ-
kiem Karlim”. Pamiętam uroczego
staruszka, który niewiele mówił i lubił
chodzić na spacer. Zmarł 30 lat temu.
W czasach III Rzeszy wujek był esesma-
nem w Auschwitz. Prowadził stołówkę
w obozie, w którym w latach 1940-45 za-
mordowano ponad milion ludzi. Nie po-
trafię powiedzieć, czy dowiedziałam się
o tym jako uczennica, czy później. Nigdy
go o to nie zapytałam.

Dlaczego wujek Karli wstąpił do SS?
Jak dostał się do Auschwitz? Co tam
robił? Wersja mojej matki i ciotki jest
taka, że w anektowanym przez Hitlera
Kraju Sudeckim był – jako wysoki nie-
bieskooki blondyn – rozchwytywany
przez SS i nie miał innego wyboru, jak
tylko wstąpić. Że w Auschwitz dobrze
traktował więźniów. Że po wojnie, gdy
był sądzony w Polsce, jeden z więź-
niów zeznał na jego korzyść. Czy to

prawda? Matka i ciotka już nie żyją, nie
mogę ich zapytać.

Pytam kuzyna, syna mojego wujka, co
wie o swoim ojcu i Auschwitz. Siedzimy
w samochodzie dzień po spotkaniu ro-
dzinnym. Kuzyn urodził się w latach 50.,
dorastał w NRD i jest emerytem. On też
zna historię o „dobrym esesmanie”. – Ni-
gdy nie odważyłem się taty o to zapytać
– mówi mi. Do dziś nie potrafi sobie tego
wytłumaczyć: swojego ojca i Auschwitz.
– Chcę przeprowadzić badania na temat
twojego ojca – mówię mu. Kuzyn zgadza
się. Ale nie chce, abym podała jego nazwi-
sko. Dlatego mój wujek nazywa się tutaj:
Karl Z.

HISTORIA RODZINNA | Już prawie 20 lat
temu zwróciłam się do archiwum Miej-
sca Pamięci i Muzeum Auschwitz-Birke-
nau o informacje na temat wuja i otrzy-
małam podstawowe dane o jego służbie.

Wynikało z nich, że od czerwca 1940 r.
był pomocnikiem w kantine SS, po-
tem w SS-Totenkopf-Sturmabteilung obozu
koncentracyjnego, następnie został przy-
dzielony do Kameradschaftsheim (Cen-
trum Koleżeńckiego) i tam pracował do
20 stycznia 1945 r. W 1948 r. sąd w Kra-
kowie skazał go na cztery lata więzienia.

W tym czasie odkryłam też, że jego
nazwisko padło podczas pierwszego
frankfurckiego procesu załogi Au-
schwitz (1963-65); pojawiło się w pro-
tokole przesłuchania. To coś zmieniło:
od tego momentu pytanie, co on robił
w Auschwitz, nie było już tylko sprawą
rodzinną, ale czymś publicznym.
„W Niemczech Holokaust jest historią
rodzinną” – napisał historyk Raul Hil-
berg. Tak, historia mojej rodziny prze-
plata się z Holokaustem za sprawą męż-
czyzny, którego siostra mojej matki po-
ślubiła w 1941 r.

MUSEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU / MATERIAŁY PRASOWE

910BY BARBARA TAMBOUR

12-18 CZERWCA 2024

→ Zdebikiem z 1998 r., przeprowadzony po polsku dla Muzeum Holokaustu w USA. Zdebik opowiada w nim o pobycie w Auschwitzu. Pracował w kantynie SS „jako rodzaj prostego kelnera dla esesmanów”. Opowiada o swoim szefie, Karlu Z. Wywiadujący pyta: „Jak szefowie kantyny zachowywali się wobec więźniów?”. Zdebik mówi: „Jeśli chodzi o szefów kantyny, to w zasadzie zachowywali się wobec nas w porządku”.

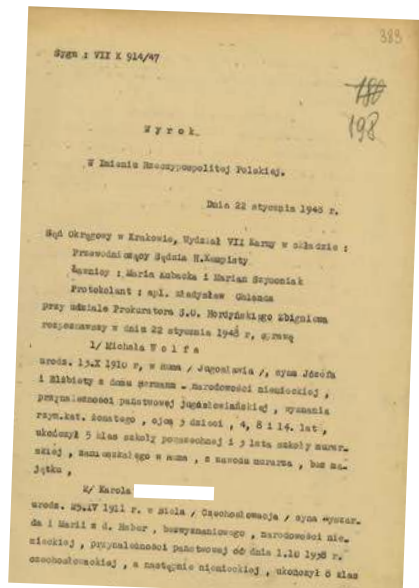
ANI SŁOWA | Zdebik relacjonuje, że pod koniec 1944 r., gdy zbliżał się front, rozmawiał z Karlem: „Zapytał mnie: »Co byś zrobił, gdyby sytuacja się zmieniła, Niemcy przegrały wojnę, a ty wyszedłbyś z obozu?«. Zapytałem: »Czy mam być szczerzy?«. Odpowiedział: »Tak, szczerze«. Więc powiedziałem: »Tak jak ty mnie, ja ciebie też bym zamknął«. Był strasznie rozczarowany i powiedział: »Nigdy cię nie uderzyłem. Nigdy na ciebie nie krzychałem«”.

Prowadzący wywiad pyta: „Więc esesmani oczekiwali jakiejś akceptacji?”. Zdebik odpowiada: „Być może tego oczekiwali”. I kontynuuje: Karl Z. powiedział mu, że tylko udawał narodowego socjalistę. On, Zdebik, nie mógł powiedzieć, jak bardzo Karl Z. uwielbiał Hitlera i jak bardzo odpowiadało mu „siedzenie w kantynie przez całą wojnę, picie wódki i piwa, dobre jedzenie”. Zdebik: „W praktyce nie miał powodu, by narzekać na Hitlera”.

Razem ze swoim „szefem” Zdebik, według jego relacji, przywiózł kiedyś piwo do kantyny SS w Birkenau. Byli wówczas świadkami „niewyobrażalnych scen” na rampie, gdy przyjechał transport: matki oddzielano od dzieci, mężczyzn od żon, lekarze wysyłali jednych do obozu, pozostawiali do komór gazowych. Patrzyli na to przez około półtorej godziny, wspomina Zdebik. Karl Z. nie odezwał się ani słowem. „Powiedział tylko, kiedy już wróciliśmy: »Nigdy nie wrócimy tam, by zawozić piwo«”.

Karl Z. wiedział o morderstwach. Jego reakcja: zastygł i milczał. Tak jak później.

PO PRACY | Odwiedzam dawny obóz. Słoneczny dzień kontrastuje z okrucieństwami, o których opowiada przewodnik. Tuż za bramą do głównego obozu była kuchnia więźniarska, w której Karl Z. czasem pełnił służbę strażnika. Pytam prze-



Fragment wyroku Sądu Okręgowego w Krakowie, który w 1947 r. sądził grupę strażników z Auschwitz i skazał Karla Z. na 4 lata więzienia.

wodnika, gdzie była kantyna SS. Nie wie. Wyjaśniam, że jestem dziennikarką i robię kwerendę na temat esesmana, który tam pełnił służbę. Nie mówię, że chodzi o wujka. Ze wstydu?

Wieczorem odnajduję dawną kantynę SS: jednopiętrowy drewniany budynek przy ul. Kolbego, naprzeciw Centrum Dialogu i Modlitwy. Budynek do lat 80. XX w. służył jako magazyn żywności, potem popadł w ruinę. Polska fundacja działa dziś na rzecz jego zachowania.

Pytam Dagmar Kopijas z rady Fundacji Pobliskie Miejsca Pamięci Auschwitz-Birkenau w Brzeszczach, co wie o stołówce SS. Mówi, że wydawano tam do 8 tys. posiłków dziennie, do 2 tys. jednocześnie w systemie czterozmianowym. Były tam ekran kinowy i scena, odbywały się koncerty, kabarety i mecze bokserskie. Z kolei Centrum Koleżeńskie Waffen SS (Kameradschaftsheim) służyło rozrywce: w ciągu dnia strażnicy wysyłali ludzi do gazu na rampie, a po pracy szli tam z żonami i dziećmi na zabawę, odpoczynek.

PRAWIE LUDZIE | Następnego dnia Jan Opielka i ja spotykamy się z Wojciechem Płosa, dyrektorem archiwum Miejsca Pamięci i Muzeum Auschwitz-Birkenau. Mówimy mu, co Jan Zdebik powiedział o Karlu Z.

Jeśli esesmani i więźniowie pracowali razem przez dłuższy czas, mówi Płosa, czasami traktowali się prawie jak nor-

malni ludzie. Ale nigdy nie była to relacja równy z równym: – Esesmani decydowali o losie więźniów.

Szef archiwum wyszukał akta dotyczące wujka. I tak, Polak Roman Orzeł relacjonował w 1963 r.: „Kierownik kantyny, SS-Uscha (Unterscharführer) Karol Z., pochodził z Sudetów i zachowywał się wobec więźniów nienagannie”.

Gdy tylko wracam do Niemiec, mój kolega Jan znajduje kolejne zeznania świadka. Ocalały z obozu Bolesław Dutka zeznał na korzyść Karla Z. w sądzie w 1948 r.: „W Auschwitz oskarżony Z. był strażnikiem w kuchni i był jednym z najlepszych esesmanów”.

NOWE PYTANIA | Kim był Karl Z.? Sudeckim, niemieckim narodowym socjalistą, który dobrowolnie wstąpił do SS. Pomagał utrzymać maszynę do zabijania w ruchu i upewniał się, że esesmani mają dość alkoholu, by upić się po służbie na rampie. Gdzie był głos jego sumienia? Czy po prostu nie chciał iść na front? Czy myślał, że uniknie winy, jeśli będzie dobrze traktować więźniów?

Historyczka Andrea Rudorff dostarcza mi jak na razie ostatniej niespodzianki. Rudorff bada polskie procesy przeciw esesmanom z Auschwitz. Pyta mnie: „Czy wiesz, że Karl Z. miał być wezwany jako świadek na drugi proces Auschwitz we Frankfurcie?”. Nie wiedziałam, kuzyn też nie.

Prokuratura zachodnioniemiecka chciała przesłuchać Karla Z. w 1966 r., jednak władze NRD nie zgodziły się na jego wyjazd z kraju. „Wciąż nierozwiązana wojenna przeszłość Z. w połączeniu z jego niezmienną postawą polityczną sprawiły, że nie nadawał się na świadka”, stwierdzono w raporcie Stasi, NRD-owskiej bezpieki. Czy przez Stasi Karl Z., który nie został członkiem partii komunistycznej, był uważany za niewiarogodnego? Odkrycie rodzi nowe pytania. Czy Stasi poinstruowała Karla Z., by nie rozmawiał z nikim o swojej przeszłości? Mój kuzyn uważa, że to prawdopodobne. Jednak nie ma na to dowodów.

Dużo rozmawiamy, mój kuzyn i ja, nasz kontakt jest bliższy niż kiedykolwiek. Kuzyn mówi, że w końcu udało mu się pogodzić z przeszłością ojca. A ja cieszę się, że milczenie na temat wujka Karla zostało przerwane. © BARBARA TAMBOUR

Współpraca i przekład JAN OPIELKA

Niesłychana tyrania, 450 lat wcześniej

WOJCIECH KONOŃCZUK

Czytanie tekstów historycznych pozwala lepiej rozumieć istotę współczesnej Rosji. Nie ma państwa w Europie, które na przestrzeni ostatnich wieków zmieniłoby się mniej.

WXVI STULECIU EUROPA DOPIERO odkrywała Wielkie Księstwo Moskiewskie, które niebawem – już jako Rosja – miało stać się jedną z największych potęg na kontynencie. Wiadomości na temat panujących tam stosunków, systemu politycznego i społecznego były nieliczne.

Jedną z pierwszych książek o tym kraju, budzącym coraz większe zainteresowanie w Europie, opublikował w 1549 r. austriacki dyplomata Siegmund von Herberstein. Dwukrotnie podróżował on do Moskwy na czele poselstwa, aby doprowadzić do pokoju między królem Polski a księciem moskiewskim. Czwierć wieku później na zamówienie dworu jagiellońskiego relację o swoim pobycie w Moskwie napisał Albert Schlichting. W ten sposób, za pośrednictwem państwa polsko-litewskiego, Europa zaczynała poznawać ziemie rosyjskie.

DWAJ JEŃCY | Johann Taube i Elert Kruse, dwaj szlachcice z Inflant – wówczas należących do Rzeczypospolitej – musieli mieć poczucie klęski, gdy odpowiednio w roku 1559 i 1560 dostali się do niewoli w trakcie najazdu moskiewskiego. Po długich namowach zdecydowali się wstąpić na służbę do cara Iwana IV Groźnego. Werbowanie jeńców było wtedy w Rosji na porządku dziennym, a Moskwa potrzebowała usług miejscowych, aby wyrąbać sobie dostęp do Bałtyku. W trakcie kilkuletniego pobytu w carskiej stolicy bacznie obserwowali politykę Iwana i relacje panujące w jego państwie.

W 1571 r. Taube i Kruse zdecydowali się na ucieczkę, a następnie wstąpili na służbę króla Zygmunta II Augusta. Rzeczpospolita poszukiwała informacji o sytuacji w Moskwie i samym carze. Na zamówienie Jana Chodkiewicza, królewskiego

administratora Inflant, obaj szlachcice przygotowali (po niemiecku) kilkudziesięciostronicową relację, która miała być również propagandowym orężem w polskiej ofensywie dyplomatycznej przeciw Moskwie.



Iwan IV Groźny, z „Wielkiej księgi państwa: portrety, herby i pieczęcie”, 1672 r., w zbiorach Instytutu Archeologicznego w Petersburgu

TYRANIA PRAWEM | Ich relacja ukazała się drukiem po niemiecku w 1582 r. Na jej pierwszy przekład polski trzeba było poczekać... do 2024 r. Trudno to wyjaśnić, skoro mowa o jednym z ważniejszych źródeł do panowania Iwana Groźnego (wspomniane dzieło Herbersteina wciąż czeka na polski przekład).

Wówczas informacje Taubego i Krusego były na tyle sensacyjne, że powszechnie kwestionowano ich wiarygodność. Dopiero od końca XIX w. histo-

rycy rosyjscy, po skonfrontowaniu ich z innymi źródłami, zaczęli uznawać je za prawdziwe i wyjątkowo cenne.

Z relacji dwóch Inflantczyków wyłania się bowiem kraj, w którym „niesłychana tyrania okrutnego tyrana” jest jedynym prawem. „Wszystkie inne ludy mają prawo, którego strzegą, tylko w Rosji jest inaczej” – piszą dwaj przybysze z Europy, u których panująca w Moskwie niesprawiedliwość wywołała wstrząs. Byli świadkami powstania opryczniny, czyli systemu zarządzania państwem opartego na masowym terrorze skierowanym głównie wobec wyimagiowanych przeciwników Iwana Groźnego, zwykle Bogu ducha winnych zwykłych mieszkańców.

OSTRZEŻENIE | Taube i Kruse opisują pustoszenie kraju, masowe egzekucje i tortury, zbiorowe gwałty, „niezliczone tłumy bez powodu zamęczane na śmierć”. Tylko podczas obserwowanej przez nich pacyfikacji Nowogrodu i Pskowa w 1570 r. zginąć miało kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Dla Europejczyków, nawet tych, którzy widzieli towarzyszące przecież wojnom okrucieństwa, był to szok. „Nie da się opowiedzieć, ile nędzy, rozpacz i nieszczęść musieliśmy oglądać na własne oczy”.

Celem cara Iwana było „podporządkowanie sobie ludu, tak że nie musiał się już obawiać buntu”. Czytając opisy terroru w wykonaniu opryczników, trudno nie dostrzec analogii z funkcjonariuszami NKWD. Sztucznie wywołany przez cara głód, gdy „ludzie zjadali się nawzajem”, przypomina zaś późniejszy Hołodomor na sowieckiej Ukrainie.

Taube i Kruse kończą swoją relację ostrzeżeniem, że Moskwa „w krótkim czasie znowu odzyska siły i odbuduje się (...) będzie znowu próbowała podbić Inflanty, Litwę, Prusę, Polskę, a nawet Cesarstwo Rzymskie”. Ale również apel: „wszystkie sąsiednie kraje i władcy powinni pomyśleć, jak powstrzymać tego tyrana”.

Brzmi zadziwiająco aktualnie. ©

Johann Taube, Elert Kruse
NIESŁYCHANA TYRANIA ORAZ INNE POSTĘPKI WIELKIEGO KSIĘCIA MOSKIEWSKIEGO (1566-1572).

RELACJA DLA JANA CHODKIEWICZA
Przekład Tomasz Ososiński. Całość ułożyli i wstępem opatrzyli Jan Śródoń i Tomasz Schoen. Wyd. Universitas, Kraków 2024



PODRÓŻ DO WNĘTRZA PYŁKU

Pod mikroskopem może wyglądać jak mirabelka.
Nie zauważamy go, chyba że należymy
do tej części populacji, która cierpi na katar sienny.
Dla naukowców jest niewyczerpanym źródłem wiedzy
– nie tylko botanicznej.

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

IM BARDZIEJ PRÓSZY ŚNIEG, / BIM-BOM / TYM BARDZIEJ sypie śnieg / Bim-bom / Jak biały puch z poduszki” – brzmi mruczanka wiecznie głodnego misia. Ale prosić mogą nie tylko spadające z nieba kryształki lodu czy puch z kołder – także pyłek, zarodniki czy jednokomórkowe brzdnie. Stąd też się bierze palinologia, od greckiego *palýnein* oznaczającego „sypać”, „przyproszyć”. Ta jedna z młodszych dyscyplin z pogranicza nauk botanicznych i geologicznych wciąż odkrywa swoje użyteczności nie tylko w biologii, ale i kryminalistyce czy choćby w wytwarzaniu miodu.

Prapoczątki palinologii datuje się na połowę XVII w. Wtedy to Nehemiah Grew, duchowny jednego z radykalnych odłamów protestantyzmu, a zarazem wszechstronnie wykształcony badacz nazywany „ojcem anatomii roślin”, dokonał szeregu zaskakujących odkryć. Np. dzięki jego pionierskiemu opisowi powierzchni dłoni, palców i stóp rozpoczęła się daktyloskopia.

Ale to nie sekrety budowy ludzkiego ciała pochłaniały Grewa najbardziej, a świat roślin.

*Produkowany przez rośliny pyłek (na zdj. stokrotka z rodzaju *Osteospermum*) może ulec fosylizacji. Wówczas stanowi kopalnię wiedzy o dawnych ekosystemach.*

W celu ich dogłębnego badania stosował w swojej pracy mikroskop. Powszechnie uważa się, że to dopiero on jasno stwierdził, „że chociaż ziarna pyłku mają zazwyczaj kształt kulisty, różnią się one wielkością i kształtem u różnych gatunków, ale te należące do tego samego gatunku są wszystkie podobne”. Była to jednak ledwie zapowiedź palinologicznych poszukiwań.

Spotkał katar naukowca

I tak, nieco na marginesie palinologii, doszło do niezwykłego odkrycia. Charles Harrison Blackley, XIX-wieczny angielski lekarz słynący z nieortodoksyjnych praktyk, opierających się w dużej mierze na homeopatii, nie mógł sobie poradzić z uporczywym katar siennym. Miał już świadomość, że błony śluzowe drażnione są głównie przez alergeny roślinne, w związku z czym zbadał pyłki ponad 80 rodzajów roślin. Doszedł do wniosku, że największą reakcję wywołują trawy. Eksperymentował także ze świeżymi i suchymi ekstraktami pyłkowymi podawanymi do nosa, ust, oczu i naciętej skóry dłoni, jak się to i dziś robi przy tzw. odczulaniu.

Jego analizy tak poruszyły samego Darwina, że między naukowcami wywiązała się epistolarna przyjaźń. Wielki ewolucjonista – i botanik! – pisał: „Szanowny Panie, czytałem pańską książkę



→ z dużym zainteresowaniem. Siła pyłku w pobudzeniu skóry i błon śluzowych wydaje mi się zdumiewającym faktem”. Dalsze eksperymenty realizował Blackley w równie niestandardowy sposób: budował niewielkie latawce, których ogony były zaopatrzone w szkiełka mikroskopowe, za pomocą których sprawdzał, jak wysoko unosi się i rozprzestrzenia pyłek.

Nieco później na podobną przypadłość co Blackley cierpiał biolog Samuel Lockwood. Aby podreperować zdrowie, wyjechał na prowincję, gdzie nie zaprzestawał badań, a najbardziej interesowało go opracowanie skutecznej metody liczenia pyłku. W 1889 r. opublikował analizy próbek pobranych z różnych miejsc, które wykazały, że choć nie dzieliła ich duża odległość, nie wszystkie zbiory były takie same. Niestety prace te nie mogły być kontynuowane, bo ówczesni akademicy nie wykazywali zainteresowania tym, co dziś nazywamy aeropalinologią.

Małżeństwo z rozsądku

Do dzisiaj granica pomiędzy palinologią a geologią wydaje się dość płynna i jeszcze pod koniec lat 70. ubiegłego wieku taki mariaż budził kontrowersje. Przykładem polemiczny artykuł „Archeologia i palinologia – małżeństwo z rozsądku” archeologa Romualda Schilda. Podążając za tą metaforą, zauważmy jednak, że związki zawierane pod wpływem racjonalnych przesłanek bywają trwałe – i tak też stało się w tym przypadku.

Przykładowo w 2023 r. w „Nature Ecology and Evolution” opublikowano wyniki badań z Australii, których autorzy dokonali próby rekonstrukcji dawnej bioróżnorodności ekosystemu na podstawie analizy śladów pyłku. Dane pozyskane z badań pyłku kopalnego porównano z niezależnymi zapisami dotyczącymi przeszłych klimatów. Okazało się, że w ciągu ostatnich 12 tys. lat różnorodność roślinna Australii mogła osiągać szczytowe poziomy zarówno w klimacie suchym, jak i wilgotnym, choć w tym drugim zaobserwowano u roślin więcej zmian w strukturze liści. Pozyskano cenne informacje przyrodniczo-historyczne, ale – co może ważniejsze – także podstawy do prognozowania na przyszłość. Naukowcy oczekują, że przewidywane suchsze warunki w południowo-wschodniej Australii w nadchodzących dziesięcioleciach spowodują zmiany w funkcjonowaniu i produktywności roślin.

Ocalony przed działaniem niszczącego upływu czasu pyłek potrafi namieszać nie tylko w materiałach przyrodniczych, ale i historycznych.

Tym samym za pomocą pyłku kopalnego możemy stworzyć scenariusze rozwoju roślinności, a niekiedy szacować podaż pewnych produktów – np. oliwy. Nad takim zagadnieniem skupili się francuscy palinolodzy, którzy badali wpływ zmian klimatycznych na drzewa oliwne. W opublikowanej w styczniu 2023 r. w „Nature Plants” analizie czytamy: „*Olea europaea* to jeden z gatunków najlepiej przystosowanych do klimatu śródziemnomorskiego. Niemniej klimatolodzy uznają basen Morza Śródziemnego za »gorący punkt« zmian klimatycznych, ponieważ prognozy przyszłych modeli sugerują znaczne ocieplenie i wysuszenie”.

Uznano, że w nadchodzących dziesięcioleciach pojawią się nowe wyzwania środowiskowe, które zarówno osłabiają, jak i zagrażają obszarom upraw oliwek. Na jakiej podstawie wysnuto takie wnioski? W pobliżu cmentarzyska Al-Bass, 80 km od Bejrutu, pobrano próbki pyłku kopalnego drzew oliwnych i porównano je z analizami pyłku i modelami klimatycznymi obejmującymi 5400 lat. Zdefiniowano też preferencje dotyczące temperatury i opadów na podstawie analizy ponad 300 obecnych obszarów uprawy oliwek w basenie Morza Śródziemnego. W każdym przypadku wysokie i maksymalne wartości produkcji pyłku od neolitu do okresu perskiego mieszczą się w optymalnym zakresie temperatur 15-25 st. Celsjusza. Sugeruje to, że na dawne i obecne plony oliwek mają wpływ te same parametry i te same maksima temperatur. A ponieważ drzewo oliwne jest wrażliwe na temperaturę i opady, przewidywane zmiany klimatyczne będą miały znaczący wpływ na gospodarkę oliwą z oliwek i bezpośrednio zagrażać przemysłowi rolnemu.

Kto przeżył czarną śmierć

Bywa, że ocalony przed działaniem niszczącego upływu czasu pyłek potrafi namieszać nie tylko w materiałach przyrodniczych, ale i historycznych czy nawet medycznych. Przekonał się o tym zespół badaczy z Instytutu Maxa Plancka, pracujący pod przewodnictwem Adama Izdebskiego z UJ. Dwa lata temu zajęli się oni badaniem wpływu czarnej śmierci na demografię średniowiecznej Europy.

Dotychczas w tego typu pracach posługiwano się zachowanym ludzkim DNA i danymi zawartymi w archiwaliach, ale ostatnio dołączono do tego „paleoekologię *big data*”, ważnym elementem jest tu ponadnarodowa baza danych paleologicznych (PBDB). Przeanalizowano zatem materiał z tzw. rdzeni, czyli kilkadziesiątcentymetrowych próbek wydobytych z podłoża, zawierających pyłek kopalny. O skali tego przedsięwzięcia może świadczyć fakt, że pozyskano aż 1634 próbki z 261 stanowisk w 19 krajach europejskich.

Po zestawieniu tych informacji z istniejącymi już wykresami określono „dynamikę demograficzną w przeszłości, ponieważ presja człowieka na krajobraz w okresie przedindustrialnym była bezpośrednio zależna od dostępności siły roboczej na obszarach wiejskich”, czytamy w artykule z „Nature Ecology & Evolution” z lutego 2022 r. A tę można było oszacować, analizując zachowany pyłek – świadczący o występowaniu na danym terenie i w danym okresie konkretnych roślin. Z badań wyciągnięto wnioski, że „śmiertelność w wyniku czarnej śmierci była znacznie bardziej niejednorodna przestrzennie, niż wcześniej sądzono”, a ponadto „stwierdzono niezbicie, że czarna śmierć nie dotknęła wszystkich regionów w równym stopniu”.

Co więcej, dzięki nowatorskim metodom bazującym głównie na pyłku zbóż, udało się wyciągnąć kolejne wnioski. Gdyby w wyniku dżumy zmarło w całej Europie zakładane wcześniej 50 proc. ludności, skutkowałoby to „dużym i znaczącym spadkiem upraw zbóż i równoległym odrostem lasów, jak wykazano wcześniej w przypadku Szwecji z połowy XIV w. Wyniki badań paleologicznych jednak takiej hipotezy nie potwierdzają. Owszem, są obszary – m.in. w Anglii, Włoszech, Francji czy Niemczech – gdzie faktycznie drastycznie

zmniejszyła się ilość pól uprawnych na rzecz lasów i pastwisk, ale choćby w Europie Środkowej i Wschodniej czy też Irlandii zachowano ciągłość, a nawet przyrost upraw. Co więcej, na podstawie multidyscyplinarnych studiów wykazano, że „w Polsce, w XIV w. nastąpił wzrost gospodarczy, związany z centralizacją władzy królewskiej”. Mogłoby to oznaczać, że odpowiedzialna za zarazę *Yersinia pestis*, czyli pałeczka dżumy, nie atakowała z jednokową siłą w każdym środowisku – skomentowała w „Medical Humanities” współtłuczniczka projektu Alessia Masi z Uniwersytetu w Rzymie – a nie poznane dotychczas „lokalne konteksty kulturowe, demograficzne, gospodarcze, środowiskowe i społeczne miały wpływ na występowanie, zachorowalność i śmiertelność”.

Białe plamy z Białowieży

Z każdym rokiem przybywa też polskich odkryć palinologicznych, choćby rodem z Białowieży. „Miejsce to przestaje być w końcu archeologiczną białą plamą” – głosi Dariusz Krasnodębski z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN w Warszawie. W latach 2010-2014 realizowano tam projekt „Przyrodnicza historia Puszczy Białowieskiej w świetle badań paleoekologicznych”, o którym prof. Małgorzata Latałowa pisała, że jego „celem było nowe podejście do rekonstrukcji historii roślinności Puszczy z uwzględnieniem dynamiki zbiorowisk leśnych i najważniejszych gatunków lasotwórczych [...] szczególnie w okresie ostatnich dwóch tysięcy lat”. Wyniki tej kwerendy opublikowano m.in. w książce „Późnoolocenska historia lasów Rezerwatu Ścisłego Białowieskiego Parku Narodowego” z 2017 r. Czytamy w niej, że „bez sięgnięcia do paleoekologicznego zapisu historii roślinności nie można odpowiednio ocenić ani zakresu skutków ekologicznych dawnej aktywności człowieka na tym terenie, ani naturalnej dynamiki poszczególnych gatunków lasotwórczych w perspektywie długoterminowej, obejmującej zarówno przeszłość, jak i potencjalne zmiany w przyszłość”.

Od tamtego czasu prowadzi się kolejne badania, dzięki którym dowiadujemy się m.in., że są w puszczy rejony, które nigdy nie były ani zasiedlone,

ani traktowane jako pola uprawne, a samo „odlesienie nigdy nie przekroczyło tu kilku procent” – konkluduje cytowany już Krasnodębski. Takie wnioski naukowcy wysnuli, badając rodzaje pyłków zachowanych w Puszczy Białowieskiej. Jednak, jak zauważają autorzy monografii „Archeologia Puszczy Białowieskiej” z 2022 r., wciąż potrzebne jest wykonanie kolejnych analiz palinologicznych. Zwłaszcza zaś należałoby poznać „liczne występujące tam kopce ziemne, których badanie przy użyciu tradycyjnych metod wykopaliskowych nie przynosi na razie zadowalających rezultatów palinologicznych” oraz – co brzmi elektryzująco dla łowców tajemnic – „niewielkie wały, tworzące mniej lub bardziej regularne struktury (...) na terenie Europy Północnej i Zachodniej zwane *celtic fields*”, o których wciąż niewiele wiadomo.

Diabelski deszcz

To ledwie kilka przykładów, bo pyłek otacza nas ze wszystkich stron, nawet w wodzie – czego dowodzą stanowiska palinologiczne umiejscowione na dnach jezior czy mórz. Poza tym dla większości z nas nauka ta ma wartość czysto praktyczną. Dzięki niej niejednokrotnie odkrywa się nowe złoża ropy i gazu, alergicy mogą poznać prognozy pylenia najbardziej uczulających roślin, a i teraz na pewno wiele przedsiębiorstw rozważa skorzystanie z takich badań w obliczu handlu ukraińskim miodem, ponieważ pozwalają one określić, na jakich kwiatach żerowały pszczoły. Zresztą etolodzy i ekolodzy behawioralni też interesują się pyłkiem, bo badanie jego śladów na owadach pozwala choćby na lepsze zrozumienie ich zachowania – czy jego zmian pod wpływem czynników środowiskowych.

A pomyśleć, że starożytni w czasie pylenia niektórych drzew, gdy padał deszcz, uciekali w popłochu na widok żółtych kałuż. Spodziewali się diabelskiej, siarkowej substancji. I choć wiara w rogatego diabła coraz bardziej u nas słabnie, to palinologia jest jedną z tych cichych nauk, która może wyjaśnić jeszcze niejedną tajemnicę.

© MARTA PANAS-GOWORSKA,
ANDRZEJ GOWORSKI

TYGODNIK
POWSZECHNY
38% TANIEJ



**Oferta
specjalna dla
kochających
czytać**

**38% taniej za 62 dni
nieograniczonego
dostępu**

49,90 zł zamiast ~~80 zł!~~

**Kup na
powszech.net/lato**

WIĘCEJ
INFORMACJI



OFERTA WAŻNA
DO 31 SIERPNIA 2024

Wybierz swoją prenumeratę

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel
w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem
e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartal – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi” od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo mają pewność, że publikacje „Tygodnika” są niezależne,

redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika”

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość

z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważne są dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzymy, że świat da się naprawić.**



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**KSIAŻKI
W TYGÓDNIKU**
magazyn literacki
„TP” 24/2024

Biblioteka Naukowa Uniwersytetu Tarasa Szewczenki uszkodzona w wyniku ataku rakietowego wojsk rosyjskich. Kijów, 10 października 2022 r.

W mieście wojna

ANDRIJ SAWENEC, ALEKSANDRA ZIŃCZUK

W Ukrainie ludziom chce się czytać, więc otwierają się księgarnie, a nakłady rosną, mimo że wiele drukarni, na przykład w przyfrontowym Charkowie, zostało zniszczonych. Jedna z nich kilka godzin przed tą rozmową.

PAWEŁ PIENIAŻEK: W ciągu ostatnich dwudziestu lat Ukraina przechodziła liczne wstrząsy – dwa Majdany, okupację Krymu, wojnę w Donbasie i tę pełnowymiarową z roku 2022. Które z tych wydarzeń było przełomowe dla literatury?

ANDRIJ SAWENEC: Nie chciałbym porównywać i ważyć tych momentów, pod koniec lat 90. też mieliśmy wiele protestów. Ale faktycznie, nie było żadnej spokojnej dekady, a ostatnie dwadzieścia lat to ostra jazda. Wszystkie te wydarzenia były prze-

życiami różnych pokoleń, w tym mojego i pisarzy młodszych ode mnie o kilka, kilkanaście lat. Każdy z tych okresów wywierał wpływ. Natomiast wojny pełnowymiarowej nie można porównać z niczym. Ona uderzyła najmocniej, była szokiem, wstrząsem, ale też potężną mobilizacją.

Wszyscy mówili o tym, co się dzieje w Ukrainie.

AS: Mocna obecność Ukrainy w mediach wywołała zainteresowanie jej kulturą. Zaczęto szybko tłumaczyć i wyda-

wać lokalnych autorów. Choć ta literatura była bogata niezależnie od dramatycznych wydarzeń.

Dlatego do naszego projektu włączamy teksty, które z jednej strony opowiadają o doświadczeniach wojny, ale też wychodzą poza ten obszar, poruszając wątki, które były i będą aktualne zawsze.

Co to za projekt?

ALEKSANDRA ZIŃCZUK: Literary Eastern Express Warsztatów Kultury w Lublinie, dofinansowany z programu Kreatywna →

→ Europa. Przez trzy lata chcemy wydać szesnaście pozycji książkowych, w tym dwujęzyczną poezję. Zawsze się staramy, by poezja ukazywała się w oryginale i przekładzie. Będzie też proza, literatura dla młodzieży oraz komiks, co jest dla nas nowym doświadczeniem. Nawiązaliśmy też współpracę z nowymi tłumaczami.

W tym kontekście chciałabym wrócić do tego, co mówił Andrij o doświadczeniu pokoleniowym. Gdyby spojrzeć na naszych autorów – Mykołę Riabczuka, Jurija Andruchowycza, Ołeksandra Bojczenkę, Andrija Lubkę, Ołeha Sencowa czy Artema Czecha – wszyscy oni dobrze pamiętali pomarańczową rewolucję, aktywnie brali udział w Majdanie czy wojnie. Sencow został uwięziony na Krymie, a teraz walczy. Czech wstąpił w 2014 r. do armii w czasie wojny w Donbasie.

Zresztą doświadczenie Wasyla Słapczuka, weterana wojny w Afganistanie, którego prozę i poezję wydaliśmy, jest bardzo mocno osadzone w realiach wojny.

Inną kwestią, która jest obecna w naszych książkach – u Nataliki Śniadanko, Kateryny Babkiny, Andrija Bondara czy Czecha – to zerwanie z dziedzictwem radzieckiej Ukrainy. Pojawia się tam problem rozliczenia i pamięci.

Wydaje mi się, że wydarzenie na taką skalę, jakim była wojna w Donbasie, staje się motorem napędowym w wielu sferach, w tym literatury.

AS: Pierwsze tytuły związane z tą wojną, które mi przychodzą mi do głowy, to „Internat” Serhija Żadana, „Najdłuższe czasy” Wołodymyra Rafiejenki, „Córeczka” Tamary Dudy czy „Morele Donbasu” Lubow Jakymczuk. Kolejne pokolenia będą się dowiadywały o tej wojnie m.in. z nich.

AZ: To był ważny moment w historii Ukrainy. Nie była jeszcze zjednoczona, jak to się stało 24 lutego, ale już trwały poważne dyskusje. Ołeksandr Bojczenko nieraz wypowiadał się w ostry sposób, nikogo nie oszczędzając w swojej eseistyce. Myślę jednak, że wojna w Donbasie najlepiej znalazła wyraz w prozie i reportażu. Wojna pełnowymiarowa z 2022 r. odcisnęła się z kolei mocniej w poezji, niejako przepowiadała ją.

Na przykład tomik poezji Żadana „Tamplieri” („Templariusze”). Choć wiersze są osadzone w średnio-wieczu, opowiadają o wojnie we wschodniej Ukrainie.

AS: Mnie z kolei jako pierwszy do głowy przychodzi Borys Humeniuk, który oddał kawał swojego życia tej wojnie. W 2014 r., już będąc uznanym pisarzem, poszedł jako ochotnik na front. Tam powstawały jego wojenne wiersze i opowiadania. Od grudnia 2022 r. uważa się go za zaginionego. Ciężko mówić o takich rzeczach tylko w kontekście literatury, gdy nie wiadomo, czy człowiek w ogóle żyje.

To pierwsza wojna, w której Ukraińcy mówią swoim głosem, bo odgrywają w niej pierwszoplanową rolę. Dotychczas ich narracja – jak choćby w przypadku drugiej wojny światowej – nie była tak słyszalna.

AZ: Warto przypomnieć, co mówili o tym Jarosław Hrycak czy Mykoła Riabczuk. Ukraińska kultura była zagłuszana propagandą narzuconą z Moskwy. Teraz możemy usłyszeć ukraiński głos. Staje się możliwe konstruowanie pewnych opowieści na nowo.

AS: Nie chciałbym, żeby zabrzmiało to cynicznie, ale dzięki doświadczeniu wojny i opisywaniu jej z pozycji uczestnika literatura ukraińska staje się bogatsza. Szczególnie, że inaczej pisze się o cudzej wojnie, a inaczej o swojej, w której broni się własnej egzystencji.

Na okres wojny w Donbasie przypadł rozkwit ukraińskojęzycznej literatury. Zaczęła ona dominować na ukraińskim rynku, wypierać rosyjskojęzyczną. Pojawiły się programy wsparcia ze strony państwa.

AS: Euromajdan z lat 2013-2014 to była cezura, język ukraiński zaczął być językiem codziennej komunikacji i twórczości. Pisarze przechodzili z rosyjskiego na ukraiński, jak było w przypadku Rafiejenki czy poety z Odessy, Borysa Chersońskiego. Od 2022 r. ten ruch stał się bardziej masowy. Wiele postaci ze świata kultury, mediów i sportu zadeklarowało przejście na język ukraiński. Najbardziej traumatyczna taka transformacja jest oczywiście dla literatów, poetów. Przeszły ją takie autorki młodszego pokolenia jak Ija Kiwa czy Daria Suzdałowa.

Widzicie, jak pisarze zmieniają się wraz z kolejnymi tekstami?

AS: To swego rodzaju literackie dorastanie. Jaskrawym przykładem jest dla mnie Kateryna Babkina. Jak przypomnimy sobie jej opowiadania, później „Sonię”, gdzie zapowiada się jako obiecująca pisarka, to w „Nikt tak nie tańczył, jak mój dziadek” wznosi się na inny poziom.

AZ: Mówicie o rozwoju, a ja się zastanawiam, co dalej i jak autorzy poradzą sobie z przełamywaniem inercji. Docierają do nas głosy, że podczas wojny, która jest

Oferta specjalna dla kochających czytać

TYGODNIK
POWSZECHNY

38% TANIEJ

za 62 dni nieograniczonego dostępu
49,90 zł zamiast 80 zł!

Kup na powszech.net/lato

WIĘCEJ
INFORMACJI



OFERTA WAŻNA
DO 31 SIERPNIA 2024

przecież wydarzeniem ekstremalnym i depresyjnym, wielu artystów odczuwa nie-moc i próbuje przezwyciężyć ciemność.

Dotyczy to zarówno czytania, jak i pisanie. Są takie momenty, że nie ma czasu na lekturę, nie mówiąc o codziennym pisaniu, jak to miało miejsce do wybuchu wojny. Trzymajmy za nich kciuki, bądźmy też ciekawi nowych rozwiązań, formalnych, językowych. Można zaobserwować, że istnieje potrzeba zmiany paradygmatu i narracji, stare się wypaliły.

Dobrze widać to w komiksie „z miętą” Borysa Filonenki, który ukazuje się w tym roku. Jego tematem jest komunikacja, opór, jaki rzeczywistość stawia porozumieniu. W sposobie narracji odnajdziemy wiele intertekstualnych tropów. Kultura właśnie tego wymaga – odczytywania i nowych ścieżek narracyjnych.

Wydaje mi się, że powoli podejmowane są próby wychodzenia z mroku. W zeszłym roku została wydana „Drabina” Eugenii Kuzniecowej, przełożona w tym roku na polski. Opowiada o losie emigranta z Ukrainy mieszkającego w Hiszpanii, do którego, z powodu inwazji, nagle trafia cała rodzina. Kuzniecowej udało się połączyć straszne wydarzenia z humorem, choć to balansowanie na bardzo cienkiej linii.

AS: To jest coś wpisanego w mentalność ukraińską. W niezbyt sprzyjających okolicznościach Ukraińcy potrafią żartować, przede wszystkim z samych siebie. Może dziś rzadziej się uśmiechamy, ale nie przestaliśmy tego robić.

Natomiast w ukraińskiej literaturze pojawiło się więcej patosu. Parędziesiąt lat temu zwalczano go, bo wydawał się odziedziczony po socrealizmie. Cały karnawał przełomu lat 80. i 90. to był sposób, żeby zwalczyć patos, który brzmiał fałszywie. Teraz patos jest odbierany inaczej, literatura mówi o rzeczach ostatecznych. Ale z drugiej strony powieść „Charków 1938” Ołeksandra Irwancja, którą w tym roku wydajemy, to też ukłon w stronę niepoprawnego, obrazoburczego karnawału sprzed trzech dekad.

Czy znaleźli Państwo książkę o wydarzeniach z roku 2022, na którą szczególnie warto zwrócić uwagę?

AS: Dla mnie taką książką była antologia „Wojna 2022” wydana przez Centrum



NATALIA TOŁOCHKO / MAT. PRASOWE
WARSZTATY KULTURY

ALEKSANDRA ZIŃCZUK – wydawczyni i redaktorka naczelna czasopisma „Kultura Enter” oraz wydawnictwa Warsztaty Kultury w Lublinie. Nagrodzona Międzynarodową Nagrodą im. Pantefejmona Kulisa, Nagrodą „Angelus Lubelski”, Międzynarodową Nagrodą Literacką im. Hryhorija Skovorody, a także przez „Literaturę na Świecie”. Współzałożycielka i wolontariuszka m.in. Społecznego Komitetu Pomocy Ukrainie w Lublinie.



WOJTEK WITEK / MAT. PRASOWE
WARSZTATY KULTURY

ANDRIJ SAWENEĆ – tłumacz, badacz przekładu, współredaktor serii wydawniczej Warsztatów Kultury w Lublinie Wschodni Express, prezentującej w tłumaczeniach na język polski współczesną literaturę naszych wschodnich sąsiadów. Opublikował m.in. trzy wybory wierszy Wisławy Szymborskiej w przekładach na język ukraiński oraz dwujęzyczną, polsko-ukraińską antologię poetycką „Lublin z daleka, Lublin z bliska”.

im. Mieroszewskiego. Zebrano tam wiersze, eseje oraz dzienniki kilkudziesięciu autorów i autorek. Ta książka, która została stworzona i wydana w ciągu kilku miesięcy, najlepiej oddaje to, czym żyła wtedy ukraińska literatura.

Dzienniki stały się gatunkiem, który do 2022 r. nie był tak obecny w obiegu literackim, ale po tych wydarzeniach jego popularność eksplodowała. One są często oparte na wpisach facebookowych, jak w przypadku „W mieście wojna” Serhija Żadana, ale zaczęły żyć swoim życiem.

AZ: Dla mnie to właśnie twórczość Żadana i ważna seria wydawnictwa Pogranicze „W obliczu wojny” jest znacząca. Cie-

szy też zapowiedź Andrija Lubki, który miał problem z pisaniem, a mimo to przezwyciężył twórczą niemoc „Wojną z tylnego siedzenia”. To opowieść o jego pracy wolontariackiej.

Żadan w pierwszych dniach wojny obiecywał, że podejmie wątki związane z wolontariatem. Pierwszy zrobił to Andrij Lubka, chociaż takich książek mogłoby powstać pewnie całe mnóstwo, bo całe ukraińskie społeczeństwo to jeden potężny wolontariat.

A czy widać różnicę w tekstach dotyczących wojny w Donbasie i wojny pełnowymiarowej?

AS: Na pewno łatwiej jest o tym mówić w kontekście odbioru społecznego. Przez te osiem lat konflikt w Donbasie przez część społeczeństwa nie był zauważany. Niektórzy mówili o nim „wojna”, a inni unikali tego słowa. Można było zauważyć, że część autorów, jak Wołodymyr Rafejenko czy Lubow Jakymczuk, próbowali dotrzeć do szerszego grona czytelników, ale nie mieli siły przebicia. W 2022 r. świadomość się zmieniła – wszyscy znaleźli się w centrum wojny.

Podczas wojny pełnoskalowej ukraiński rynek książki złapał drugi oddech. Wzrosły nakłady, pojawiły się nowe wydawnictwa i księgarnie. Jak to wyjaśnić?

AS: Nie chcę widzieć w tym paradoksu, bo to jest coś naturalnego, że ludziom chce się czytać. Chociaż pierwsze tygodnie czy miesiące pełnoskalowej inwazji to był oczywiście okres, kiedy pisarzom, artystom ciężko było się przełamać, żeby wrócić do twórczości, to samo było z czytelnikami. Tym bardziej, że były i wciąż są dużo ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Rynek wydawniczy ukształtował się na nowo, zmalał udział rosyjskich książek i wydawnictw. Zmieniły się preferencje językowe. Do tego wcześniej brakowało rozwiązań prawnych. Teraz są pisarze, teksty i czytelnicy, więc pozostaje tylko pisać, wydawać i czytać. Ale oczywiście przede wszystkim pracować na zwycięstwo.

AZ: Super, że mamy tak dobre dane. Powstaje dużo przestrzeni czytelniczych i księgarnie się otwierają, ale mamy też w pamięci te wydawnictwa, które musiały zawiesić działalność. Ten los podzieliło wiele drukarni w przyfrontowym Charkowie.

⇒ **AS:** Jedna z charkowskich drukarni została zrujnowana kilka godzin przed naszą rozmową.

Podczas tego ostrzału zginęło 7 osób, a 20 raniono. Jednym z trafionych miejsc była drukarnia, z którą współpracowało znane wydawnictwo Vivat. Zniszczono 50 tys. książek.

AZ: Jednak książki współczesnych ukraińskich pisarzy na naszych półkach to materialny ślad istnienia kultury ukraińskiej. Ogromne znaczenie dla tego, jak rozwija się literatura, ma ukraińska społeczność czytelnicza. Tłumacz Bohdan Zadura żartuje, że zazdrości swoim kolegom pisarzom i poetom w Ukrainie fantastycznej publiczności oraz frekwencji na spotkaniach. Ta aktywność literacka była tam zawsze obecna. Organizując festiwale literackie i spotkania, krok po kroku pracujemy też na rzecz czytelnictwa.

W Ukrainie jest jakaś wyjątkowa energia. Może chodzi o to, że ludzie potrze-

bują nakarmić się czymś w czasie wojny, więc czytają. To bardzo budujące. My z tymi potrzebami spotkaliśmy się zaraz po wybuchu wojny, jak tylko nasza placówka przemieniła się w świetlicę dla dzieci. Poza wiktem potrzebne okazały się książki dla dzieci i młodzieży. Najlepiej w języku ukraińskim, więc zbieraliśmy je szybko dzięki pomocy przyjaciół z Ukrainy.

Moje doświadczenie z Ukrainy jest takie, że przez kilka miesięcy mało kto był w stanie na czymś się skupić. Czytanie przychodziło z ogromnym trudem, gdy miało się do czynienia z nieustającym zalewem informacji.

AS: W tych pierwszych miesiącach pisarze nie mogli pisać, czytelnicy – czytać, a tłumacze – tłumaczyć, poza może jakimś dokumentami, ale nie była to literatura. Z czasem to się zmieniło.

Czy to ogromne zainteresowanie Ukrainą w 2022 roku było

odczuwalne pod kątem sprzedaży książek?

AZ: Tak, i nie jest to tylko nasza obserwacja. Potwierdzają ją też wydawcy Kolegium Europy Wschodniej. To dobrze, że tak się stało. Nie poszukiwano wyłącznie literatury wojennej, bo ta poświęcona ostatnim wydarzeniom jeszcze się nie pojawiała, tylko starano się bardziej zrozumieć sąsiada poprzez literaturę, solidaryzować się. My z kolei część pieniędzy ze sprzedaży książek przeznaczyliśmy na pomoc dla Ukraińców.

Zainteresowanie czytelnicze wzrosło, co pokazała sprzedaż, ale nie stało się to samoistnie. Odkąd zaczęliśmy działać, otrzymaliśmy nagrody dla naszych tłumaczy, autorów i autorek, dostrzeżono książki, nazwiska. Dbamy o to, żeby zgłaszać nasze publikacje do różnych nagród, promować je, pokazywać na targach książki. Kultura sąsiadów pozwala nam również odkrywać siebie.

© Rozmawiał PAWEŁ PIENIAŻEK

Książki w pigułce

Podręcznik do historii

Lekka i zabawna, a jednocześnie wnikliwa historia ukraińskiego feminizmu. Ilustratorzy Julija Wus (publikująca swoje prace m.in. w „The Washington Post”) oraz Iwan Kypibida świetnie poradzi sobie ze złożoną narracją komiksu, w którym wątki historyczne przeplatają się z odniesieniami do współczesności, dygresjami oraz dopiskami na marginesach. Postaci komiksu oglądamy nie tylko w kadrach, wychodzą one także spoza komiksowych plansz, by komentować

toczącą się sto pięćdziesiąt lat temu na terenach dawnej Noworosji i Wschodniej Galicji walkę o prawa kobiet. Zaczynamy od zapoznania się z postacią Natalii Kobryńskiej, dzięki której w 1887 r. ukazał się kobiecy almanach „Pierwszy wianek”, zawierający 49 utworów napisanych i zredagowanych wyłącznie przez kobiety. Autorzy oddają również głos dawnym przeciwnikom emancypacji, głoszącym całkiem serio różne pseudonaukowe opinie, na przykład takie, wedle których czytające do późna dziewczęta częściej rezygnują z posiłków.

© © MOCH

■ *Mykoła Jabchenko, Julija Wus, Iwan Kypibida*
KRÓTKA HISTORIA UKRAIŃSKIEGO FEMINIZMU
przeł. Andrij Saweneć,
Warsztaty Kultury
w Lublinie, 2024



Podręcznik do życia

Pewnego dnia na niebie pojawia się wieloryb: szaroniebieski, wielki i powolny. Do tego całkiem niezłe porozumiewający się z ludźmi. Co go utrzymuje w powietrzu? Czy to duch? A może jego nagły wyskok z wody to efekt globalnego ocieplenia? Czy wkrótce wszystkie zwierzęta morskie zaczną żyć na niebie jak błyszczące sterowce? Takie pytania zadaje sobie mały bohater książeczki Kateryny Babkiny, nazywany przez mamę i babcię Czapeczką. Wieloryb, z którym przez okno rozmawia sobie Czapeczka, szybko okazuje się tym, który prowokuje

mnóstwo innych pytań, niekonięcznie dotyczących swojego pochodzenia. Współ ze swoim gościem chłopiec rozmyśla o tym, skąd się bierze rodziców i jakie są z nich pożytki, albo o tym, czy można coś kochać, mimo że tego nie mamy. Wieloryb prowokuje do namysłu, zamieniając się w nauczyciela filozofii i przewodnika po fantastycznych światach, ale przede wszystkim – przyjaciela. Babkina, autorka świetnych powieści i opowiadań dla dorosłych, wydawanych regularnie w Lublinie, tą czułą, mądrą, a jednocześnie oszczędną w środkach wyrazu książeczką umacnia w przekonaniu o swoim niezwykłym talencie. © © MOCH

■ *Kateryna Babkina, il. Julia Pylypchyna*
CZAPEČKA I WIELORYB
przeł. Bohdan Zadura,
Warsztaty Kultury
w Lublinie, 2024



Parę melodii, kilka dźwięków

JAN BŁASZCZAK

LATO 2007 R. SPĘDZIŁEM W RUMUNII. SYBIN SZCZYCH SIĘ wówczas tytułem Europejskiej Stolicy Kultury, a cały kraj stawiał pierwsze kroki w Unii Europejskiej. Nas było troje. A nasza wiedza o Rumunii, no cóż, niewielka. Nie wiedzieliśmy na przykład, że nasze studenckie budżety nie zgrają się z cenami biletów kolejowych. Po krótkiej naradzie ustaliliśmy, że dalej spróbujemy ruszyć stopem i była to decyzja korzystna nie tylko dla portfeli – przez następne tygodnie doświadczaliśmy gościnności, uśmiechu i wsparcia w absurdalnym wręcz natężeniu. Ilość niewymuszonych gestów sympatii kierowanych pod naszym adresem gdzieś na bezdrożach Transylwanii była tak wielka, że kiedy wreszcie mijaliśmy przygraniczny Seret, kolega w pełni oddał odczucia naszej trójki, przepowiadając, że wszyscy Rumuni wejdą do nieba na paszport. Do dziś podpisuję się zresztą pod tym stwierdzeniem.

W podróży spotykaliśmy jednak nie tylko Rumunów. W przypominającym piłkę blaszanym schronie w Fogaraszach spędziliśmy noc – a potem kilka dni górskiej wędrowki – z dwójką warszawskich studentów, którym dzień wcześniej zdziżalały psy pożarły namiot. Piękną Sighisoarę zwiedzaliśmy natomiast w towarzystwie sympatycznej pary z Jeleniej Góry. W obu przypadkach żegnaliśmy się serdecznie, wymienialiśmy kontaktami, obiecywaliśmy się odezwać i zupełnie w to nie wierzyliśmy. Jechaliśmy dalej. Każdy w swoją stronę.

Wspominałem już, że mijaliśmy Seret, a to znaczy, że wracaliśmy przez Ukrainę. Z jakiegoś powodu zatrzymaliśmy się w Kołomyi, skąd każdego wieczoru odjeżdżał pociąg do Lwowa. Zostaliśmy tam na dzień lub dwa, nie spieszyliśmy się. W końcu jednak trzeba było wracać. W ukraińskiej placarce obowiązywały miejscówki. Pamiętam, że konduktor jeszcze na peronie przyglądał się biletom i wskazywał wyznaczony wagon. Nie można się było pomylić. Wreszcie weszliśmy do środka, odnaleźliśmy swoje miejsca i stanęliśmy jak wryci – na naszych łóżkach warszawscy studenci rozmawiali z parą z Jeleniej Góry.

Tej nocy gadaliśmy do późna, ale co pewien czas ktoś się wyłączał i mruczał pod nosem coś

o zmiennych, szansach, przypadkach. Cieszyliśmy się swoją obecnością, mając poczucie, że wydarzyło się coś z gruntu niewłaściwego. Że oto nastąpił błąd w strukturze rzeczywistości i wyładowaliśmy w fabule wyjątkowo źle skonstruowanej prozy. Jeśli mój z zasady racjonalny ogląd rzeczywistości został kiedykolwiek poddany poważnej próbie, to właśnie przez ten piętrowy zbieg okoliczności przy piętrowych łózkach sunących nocą przez czarnoziem.

Tamten wieczór przypominał mi się niedawno, kiedy słuchałem albumu „Transilvania Smile” Switłany Nianio. Zapewne przywołał go tytuł płyty, ale lubię myśleć, że powodem była też tajemnica, niezwykła aura obecna w muzyce ukraińskiej wokalistki i kompozytorki. A przecież to płyta w zasadzie niepozorna i łatwa do zignorowania nawet przez fanów macierzystego zespołu Nianio, wspaniałej avant-folkowej grupy Cukier Biała Śmierć. „Transilvania Smile” zawiera w końcu tylko pół godziny muzyki, w dodatku użytkowej, bo napisanej na zamówienie niemieckiego teatru tańca Pentamonia. A jednak tych siedem ascetycznych kompozycji rozpisanych jedynie na głos i pianino/fisharmonię od pierwszego spotkania zabrały mnie do jakiegoś osobliwego, baśniowego świata. Nawet jeśli słyszę w niej echa muzyki ludowej, minimalizm Meredith Monk, jasny rewers gotyckiego „Marble Index” Nico i przede wszystkim dorobek polskiego Księżyca. Całkiem zresztą słusznie, bo twórcy tego ostatniego zaprzyjaźnili się z Nianio jeszcze w latach 80.

Ten niezwykły klimat wychodzi poza muzykę. W tekstach Nianio człowiek niekoniecznie jest – że posłużę się określeniem Wojtka Bąkowskiego – figurą centralną. Bohaterami piosenek bywają tu jedwabniki i wiązy, mgły i jeziora. „Czy w czasie wojny, która w naszych opowieściach funkcjonuje głównie w wymiarze ludzkim, można pozostać Switłaną Nianio?” – zastanawiał się na łamach „Dwutygodnika” ukraiński krytyk Ivan Shelekhov. Po rozmowie z artystką, a także zapoznaniu się z jej nową twórczością muzyczną i literacką odpowiedział na to pytanie twierdząco. I choć z Kijowa codziennie spływają oświadczenia większej wagi, muszę przyznać, że przyjąłem ten werdykt z prawdziwą ulgą.

Nie da się ukryć, zaangażowałem w „Transilvania Smile” sporo emocji. A przecież to ledwie trzydzieści minut, parę melodii, kilka dźwięków: leniwych, rozmytych – jak powiedziała wokalistka Księżyca Katarzyna Smoluk – dochodzących jakby spod tafla lodu. Ale jednak dochodzących. Trafiających w czułe miejsce. W punkt. Jak my w tej Kołomyi, gdy wydarzyła się magia. ©

WSPÓŁWYDAWCA

PARTNERAMI WYDANIA SĄ ERGO HESTIA I WARSZTATY KULTURY W LUBLINIE



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 24/2024

REDAKCJA: Monika Ochędowska

PROJ. GRAF.: Marek Zalejski

OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska, Mateusz Gawron

SKŁAD: Andrzej Leśniak

Dołącz do naszej grupy na Facebooku i Instagramie @ksiazkiwtygodniku

Literatura young adult?

Odrzućcie dorosłe oczekiwania

ANOUK HERMAN

Jedną z przyczyn, dla których dorośli tak często sięgają dziś po literaturę dla młodzieży, jest chęć powrotu do wspomnień z okresu nastoletniości i potrzeba przyjrzenia się im z empatią.

Literatura dla młodych dorosłych jest pełna lęku – twierdzi Der-rit Mason, badacz nurtu young adult wykładający na Uniwersytecie Calgary. Dzieje się tak dlatego, że stanowi ona zapis problemów związanych z wchodzeniem w nowe etapy życia. Koncentrując się na stresujących momentach przejścia, rezonuje z obawami samych czytelniczek i czytelników, będących rówieśniczkami i rówieśnikami książkowych postaci. Literaturę tę wypełniają dodatkowo niepokoje rodziców i krytyków.

#ważne tematy

Jaka zatem powinna być dobra literatura dla młodych dorosłych? Mason postuluje, byśmy odrzucili wszelkie oczekiwania. Jako naukowiec skupiający się na powieściach z reprezentacją LGBTQ+ ma w tym sporo racji: nisza młodzieżowej literatury *queer* wciąż się rozwija i być może należy pozwolić jej na słodkie błędzenie od banału do pornografizowania traumy, przeczuwając, że rynek książki pod tym względem ostatecznie wyreguluje się sam.

Slogan „ważne tematy” pełni już zresztą rolę hasztagu, którym na książkowych kontach Instagrama czy TikToka oznacza się pozycje szczególnie – jak na standardy gatunku – zaangażowane społecznie. Pod pojęciem „zaangażowania” rozumiem tu nie tylko zaadaptowanie do świata przedstawionego problemów, z którymi borykają się osoby nastoletnie. Czasem chodzi o wydawnicze czy autorskie ambicje związane z misją zmieniania rzeczywistości poprzez literaturę lub czerpania zysków z samej sugestii, że może chodzić o chęć zmiany. Samo sformułowanie „ważne tematy” budzi skąd-

inąd pewien opór związany z potencjalnym trywializowaniem problemów ze zdrowiem psychicznym, odkrywaniem tożsamości płciowej, tematem samobójstwa czy bycia ofiarą przemocy. Przyjrzyjmy się zatem kilku wydawniczym nowościom z tego nurtu, próbując je pogrupować.

Przemoc, z którą spotykamy się w placówkach edukacyjnych, to jeden z najważniejszych motywów nie tylko literatury young adult, ale dzisiejszej kultury. Dlatego nie mogę pominąć „21 sposobów na śmierć” autorstwa duńskiej pisarki Sarah Engell (przeł. Agata Lubowicka), powieści opowiadającej o borykającej się z hejtem i bullyingiem nastoletniej Stelli.

Dziewczyna niedawno straciła matkę, a przemoc, której doświadcza w szkole, nie pomaga jej ani w przeżyciu żałoby, ani w odzyskaniu wiary w niegdyśszą pasję – muzykę. Główną oprawczynią Stelli jest powodowana zazdrością była przyjaciółka. Motyw przyjaźni przeradzającej się w zażartą nienawiść i robiącej z nastoletniego życia piekło to zresztą jeden z powodów, dla których postanowiłam o „21 sposobach na śmierć” napisać coś więcej. Kto z nas nie przeżył bowiem mniej lub bardziej tragicznego przyjacielskiego zawodu? I kto nie lubi sobie czasem o tym przypominać?

Wierzę, że jedną z przyczyn, dla których dorośli tak często sięgają po literaturę dla młodzieży, jest chęć powrotu do wspomnień z okresu nastoletniości i potrzeba przyjrzenia się im z empatią. W powieści Engell nie znajdziemy rozwiewającego wątpliwości zakończenia czy jednoznacznego happy endu. Historia Stelli traktuje „ważne tematy” z należnym im realizmem.

Równie dobrze z zagadnieniem traumy radzi sobie powieść „Droga Meduzy” Olivii A. Cole (przeł. Natalia Laprus), pisana wierszem białym. Główna bohaterka pamiętnika – Alicia – chodzi do liceum i pracuje w fast foodzie. Dziewczyna, podobnie jak gorgona z greckiej mitologii, została zgwałcona i wykorzystana. To wokół tych doświadczeń oscylują zapisy bohaterki, która na domiar złego pada ofiarą szkolnej przemocy i slut-shamingu (zawstydzania ze względu na zachowania seksualne, w tym na liczbę partnerów czy częstotliwość stosunków).

Poetycka forma mogła pociągnąć stworzoną przez Cole historię na dno, całkowicie ją trywializując, ale tak się nie stało. Wiersze nie są przesadnie ułożone ani dociążone piętrową metaforą, za to w pewnym stopniu ułatwiają zagłębienie się w trudnej lekturze. Język nie przesłania znaczeń, ale nieco je zmiękcza. Być może tylko dlatego książka Cole jest kierowana do grupy wiekowej 16+, a nie wyłącznie do osób pełnoletnich.

Przekleństwa niewinności

Obie pozycje przypominają mi o „Girl in Pieces” Kathleen Glasgow, która na polskim rynku ukazała się w ubiegłym roku w przekładzie Zuzanny Byczek (wcześniej, bo w 2017 r., wyszła pod tytułem „Dziewczyna w rozsypce”, ale wtedy nie zdobyła szerokiego rozgłosu). Stellę z „21 sposobów na śmierć” i Alicję z „Meduzy” z bohaterką Glasgow, Charlie, łączy nie tylko „bycie w rozsypce”, ale też status outsiderki, traumatyczna przeszłość i zdolność do pogłębionej introspekcji.

„Girl in Pieces” została napisana w sposób, który sytuuje ją najbliżej „dorosłej literatury”, między innymi dlatego, że niewiele znajdziemy w tej powieści fragmen-

tów dotyczących szkolnego życia. Kiedy po raz pierwszy sięgałam po powieść Glasgow, nie wiedząc jeszcze, że to książka kierowana do młodych dorosłych, myślałam o niej w kontekście „Przerwanej lekcji muzyki” Susanny Kaysen czy „Przekleństw niewinności” Jeffreya Eugenidesa.

Wydana pod koniec stycznia powieść Marii Lichoń „Wszyscy byliśmy za młodzi” także koncentruje się na opowiadaniu o uczuciach, a jej poetycki język przypomina inną, równie „wzruszającą” nowość, czyli „Opowiedz mi na nowo” pióra A. Gardaś. Promocja tej książki skoncentrowała się na trzech aspektach: owianej tajemnicą tożsamości osoby autorskiej oraz... na barwionych brzegach i pachnącej okładce edycji specjalnej. Być może w ten sposób na naszych oczach kształtuje się pewna nowa nisza young adult, którą roboczo określię mianem aforystycznej. Kładłaby ona nacisk przede wszystkim na błyskotliwość pojedynczych zdań, potencjalnie mogących stać się uniwersalnymi cytatami, które czytelniczki i czytelnicy wypiszą sobie w zeszytach i wrzucą na Instagram.

■ Slogan „ważne tematy” pełni rolę hasztagu, którym na książkowych kontach Instagrama czy TikToka oznacza się pozycje szczególne.

Idąc dalej tropem „ważnych tematów”, warto wspomnieć o „Zanim wybuchnie słońce”, przepięknie wydanym debiucie Józefiny Płotki (z okładkową ilustracją autorstwa Dixie Leoty). Spośród wszystkich wymienionych już książek jest to pozycja najlżejsza: romansowa, z dobrze zarysowaną i angażującą fabułą opartą na motywie fake dating (udawanego randkowania). Queerowa opowieść o Leonie i Danielu nie jest też pozbawiona niepokojów – pojawia się w niej wątek problemów szkolnych i homofobii – napawa jednak czytelniczki i czytelników nadzieją, a postaci łatwo polubić.

W kwietniu ukazało się także wznowienie „Carmilli” Josepha Sheridana le Fanu (przeł. Paulina Breiter), której poprzednie polskie wydanie ukazało się w 1974 r. Wampiryczny klasyk, choć niekoniecznie kierowany do młodszych odbiorczyń i odbiorców, otrzymał odświeżoną szatę graficzną. Uroczą i nieco infantylną, a więc w jakimś sensie kojarzącą się z grupą docelową książek nurtu young adult. A „ważny temat”? „Carmilla” to opowieść podwójnie pionierska – wyprzedziła „Drakulę” i w dodatku ma queerową reprezentację, mimo że to pozycja homo- i mizoginiczna, w której potworność i homoseksualność wampirzej bohaterki są właściwie tym samym. I tak uwielbiam „Carmillę” – mam jednak nadzieję, że, jak w przypadku innych przedstawionych tu książek, jej recepcja także okaże się niezawisłe krytyczna. ©

Kroniki Jowity

JACEK TARAN

Ta książka wyrasta ze świadomości autorów, jak ważna jest dokumentacja wydarzeń, które z natury są ulotne i łatwo mogą zostać zapomniane.

Studenci okupowali poznański akademik Jowita przez dziesięć dni. Akcja była odpowiedzią na działania władz Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza zmierzające do sprzedania budynku. Zbywani przez wiele miesięcy obietnicami bez pokrycia, młodzi ludzie podjęli radykalne działania. Akademik udało się uratować, a pokłosiem protestu stała się ta książka.

„Jowita zostaje” jest kroniką protestu, który – jak przyznają autorzy i równocześnie uczestnicy – miał dla nich znaczenie formacyjne. Ta pozycja to szczegółowe kalendarium działań uzupełnione o dokumentację i korespondencję z władzami. Jednak najważniejsze w „Jowicie” są zapisy rozmów przeprowadzanych na gorąco z uczestnikami okupacji w czasie jej trwania – dzielą się oni swoimi refleksjami i obawami. Ta książka to też dokumentalna opowieść o tym, jak zmienia się środowisko studenckie, często niesłusznie oskarżane o nadmierny konformizm.

Książka wyrasta ze świadomości autorów, jak ważna jest dokumentacja wydarzeń, które z natury są ulotne i łatwo mogą zostać zapomniane. W przedmowie pisała: „za parę lat będziemy jedynie historią. Zależy nam na tym, by kolejne grupy zbuntowanych studentek i studentów

mogły sięgać po takie źródła, by uczyć się, jak zwyciężać w walce o swoje prawa”.

Zapisy z „Jowity” są też dowodem na aktywność ruchów studenckich kontestujących oficjalne ciała, takie jak samorządy studenckie czy NZS. Postrzegane są one dziś jako te, które nie reprezentują ogółu studentów, a jedynie same siebie. Dzisiejsi studenci, szczególnie ci określający się jako lewicowi, zwracają się w stronę tego, co historycznie leży u podstaw lewicowości – bezpieczeństwa socjalnego, trwania po stronie najsłabszych, pozbawionych uprzywilejowanej pozycji. Upominają się o wartości, o których „dorosła” lewica chyba zapomniała. ©



**JOWITA ZOSTAJE.
HISTORIA 10 DNI
RUCHU STUDENCKIEGO**
Wydawnictwo
Ekonomiczne Heterodox,
Poznań 2024 r.

Co zostaje

URSZULA HONEK

KIEDY PISZĘ O WIERSZU KRYSZYNY Dąbrowskiej, pies kładzie łapę na laptopie. Układają się pod nią litery, cyfry, kropki i przecinki. Cała masa znaków, chaotycznych i przypadkowych. Przez chwilę próbuję go powstrzymać, bezskutecznie. Czekam, aż odejdzie. Po chwili rzeczywiście się kładzie, unosi łeb i patrzy mi w oczy. Nieświadomy, że przybliżył mnie do wiersza autorki „Miasta z indu”.

A może w ogóle do całej jej poezji, która tak mocno opowiada się po stronie rzeczywistości? Poezji, która zwykłym i prostym doświadczeniom porządkującym chaos pozwala sprawić, że istnienie staje się tajemnicą.

Tak jak tajemnicza była chwilowa burza w pewne styczniowe późne popołudnie, gdy po raz pierwszy – na osobności – spotkałam się z Krystyną Dąbrowską.

Czytam jej niepublikowany wiersz „Mój czerwony szwajcarski scyzoryk” i wydaje mi się, że słyszę muzykę, odgłos nalewanego do kieliszków wina, gwar rozmów, szepty i śmiechy. Czuję zapach egzotycznych przypraw, które wypełniają ciasne pomieszczenie. A potem jest trochę głośniejsze: ktoś zaczyna tańczyć, po chwili odważają się następni i następne. Wyobrażam sobie, w jaki sposób – poznani przecież przez przypadek ludzie – poruszają się w rytm muzyki. Za pomocą przekazywanego z rąk do rąk czerwonego scyzoryka poznają nieznane mi wcześniej imiona: Ainur, Ghayath, Zaza, Mashiul. I słyszę nazwy miejsc, do których nigdy nie

dotarłam: Iowa, Kazachstan, Zimbabwe, Bangladesz.

Czasami ktoś pyta mnie o korzyści z pisania literatury. Dopiero niedawno odkryłam, że to poznani dzięki niej ludzie. Niektórzy zostają tylko na chwilę, inni na miesiące, lata, a może – chciałabym w to wierzyć – już do końca. Dlaczego właśnie ci, a nie inni? Czy drobne rzeczy, które im podarowałam, przekazali innym i teraz leżą one w obcych domach? Na przykład śmieszne fiszki z głową kota albo ubrania, których nigdy nie odważyłam się założyć. Przecież wiem, że rzeczy stracą fason i kolor. Papierowe uszy kota zagną się i naderwą, a ja – jak w wierszu Krystyny – będę mogła powiedzieć: „jestem ta sama i inna”. Ale też wierzę, że to, co dane innym – dobre i złe – zostaje, jak wykrzywane rzece imiona – będzie się niosło i niosło. ©

KRYSZYNA DĄBROWSKA

Mój czerwony szwajcarski scyzoryk

być może wcale nie jest mój,
tylko Ainur, której imię
znaczy „światło księżycy”,
jak powiedziała, gdy przedstawialiśmy się sobie,
trzydzieści dwoje uczestników
pisarskiego programu w Iowa.
Ainur, komediopisarka z Kazachstanu
z łobuzerskim uśmiechem i piegami na policzkach,
i ja, poetka z Polski, z siwą czupryną wokół dziecinnej twarzy,
byłyśmy jedynymi w grupie posiadaczkami
tego narzędzia niezbędnego do przetrwania.
Nasze bliźniacze scyzoryki wyposażone w korkociąg
otwierały butelki z winem, gdy zbieraliśmy się nie w słynnym
barze Fox Head, ale tam gdzie mieszkaliśmy,
w akademiku, w pokoju Ghayatha
nazwanym przez nas czule Fox Ass.
Fox Ass – najlepsza kawiarnia literacka świata,
w której od dyskusji płynnie przechodziło się do tańców.
Nasze scyzoryki wyposażone w pęsetę usuwały kleszcze
po wędrowce przez las na skarpie nad Missisipi,
a był to święty las rdzennych Amerykanów
z pradawnymi kopcami w kształcie ptaków i niedźwiedzi
i Judith z Meksyku przy każdym kopcu kładła w ofierze
zwitek tytoniu. Nasze scyzoryki
krążyły z rąk do rąk po kuchni, gdzie pichciliśmy wspólnie
potrawy ze wszystkich kontynentów, w tym Atlantydy,
i zawsze brakowało nam noży do krojenia
cytryn na syryjską zupę z soczewicy,

pomidorów smażonych po palestyńsku,
marchewek na pilaw, dyni na krem, który Zaza
przyrządzała według przepisu swojej mamy w Zimbabwe.
I nie wiem już, czy to scyzoryk Ainur czy mój posłużył
do kulinarnej edukacji Mashiula,
który w rodzinnym Bangladeszu co rok publikuje
zbiór opowiadań lub powieść, ale nie umiał dotychczas
zrobić sobie posiłku, a w Iowa postanowił spróbować
i zaczął od ćwiczeń w siekaniu cebuli, najpierw

na toporne bloki,
a po kilku sesjach na jedwabiste paseczki i piórka.
Być może mój scyzoryk jest teraz w Ałmaty,
a scyzoryk Ainur u mnie w Warszawie.
Mój i nie mój, ten sam i nie ten sam co przed podróżą,
tak jak ja jestem ta sama i inna.
Kiedy przy wejściu do muzeum muszę go zostawić
w depozycie,
strażnik nie podejrzewa, że to przedmiot wyposażony
w pamięć
pojemniejszą niż gdyby zgromadzić worek pendrive'ów,
że wysunięte ostrze nie jest bronią,
tylko drogowskazem do krajów i losów przyjaciół
z zaszyfrowanym zapisem zmieniających się odległości.
Nierdzewna stal ma kolor rzeki,
która dopiero oglądana ze skarpy odsłoniła się
w swoim ogromie
jak przedzielona wyspami zieleni wielopasmowa autostrada,
rzeki, której wykrzyčiliśmy nasze imiona, aby je poniosła.

KRYSZYNA DĄBROWSKA (ur. 1979 r.) jest poetką, eseistką i tłumaczką. Laureatka Nagrody Kościelskich (2013), Nagrody im. Wisławy Szymborskiej (2013), Nagrody Literackiej m. st. Warszawy (2019).

**ERGO
HESTIA®**

LEPSZE JUTRO

MICHAŁ SOWIŃSKI

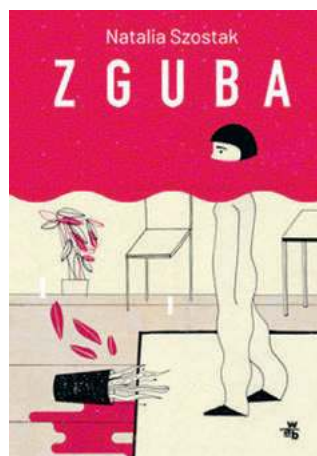
Książki nominowane w tym roku do Nagrody Literacka Podróż Hestii opowiadają o świecie pełnym zagrożeń, ale też piękna. Przygotowują na liczne wyzwania, a jednocześnie uczą zachwytu nad tym, co dzieje się tu i teraz.

Literatura dla młodzieży różni się od bezprzymiotnikowej tym, że czytelnicy tej pierwszej są dużo bardziej bezwzględni w swoich osądach. Młodzi ludzie, dokonujący pierwszych wyborów książkowych, są szczególnie wyczuleni na fałszywe nuty, paternalizm, moralizatorstwo i – przede wszystkim – nudę. Dlatego autorzy przeznaczonych dla nich powieści stoją przed wyjątkowo trudnym zadaniem. Z jednej strony muszą wykazać się kunsztem literackim, a z drugiej powinni opisywać i tłumaczyć świat w sposób dostosowany do potrzeb i możliwości swoich czytelników.

Mówiąc inaczej – chodzi o szacunek, który w praktyce oznacza respektowanie indywidualności dzieci i nastolatków, przyzwolecie na to, żeby na własnych warunkach mogły poznawać świat. To niezwykle wyzwanie dla dorosłych, bo wiąże się z ciągłym balansowaniem między podsuwaniem wzorców a powstrzymaniem się przed nadmierną ingerencją.

Z tym właśnie wyzwaniem mierzą się, każda na swój sposób, wszystkie książki nominowane w tym roku do Nagrody Literacka Podróż Hestii. Opowiadają o kryzysie i rozpadzie rodziny (Natalia Szostak), pełnej przemocy przeszłości (Maria Strzelecka), trudnym dzieciństwie i nierównościach społecznych (Katarzyna Ryrych), dorastaniu i poszukiwaniu samego siebie w mrocznym świecie (Zygmunt Miłoszewski) czy o zachwycie nad światem i nauce współodpowiedzialności za niego (Karolina Lewestam). Wszystkie tytuły łączy pasja i wiara w moc literatury, właściwa ich autorkom i autorom; pasja i wiara, którą chętnie dzielą się z innymi. A bez tego przecież nie mielibyśmy kolejnych pokoleń czytelników.

Konkurs Literacka Podróż Hestii wyróżnia autorów i autorki klasycznych form: powieści, powieści graficznych i opowiadań – napisanych z myślą o młodych czytelnikach i czytelniczkach (10-15 lat). Wybieramy tytuły, które mają szansę pozostać na długo w kanonie literatury dziecięco-młodzieżowej. Nominacje do czwartej edycji Nagrody poznaliśmy 27 maja i prezentujemy je Państwu w tym wydaniu. Tytuł zwycięskiej książki poznamy już we wrześniu. Laureaci Nagrody Literacka Podróż Hestii otrzymują 50 tysięcy złotych.



**Natalia Szostak,
ZGUBA,
W.A.B., Warszawa 2023**

ODZYSKIWANIE

Piętnastoletnia Marianna nagle traci głos. Emocje, które odkładały się w niej przez wiele miesięcy, w końcu biorą górę i nastolatka – fizycznie i metaforycznie – gubi możliwość dalszego opowiadania swojej historii. Rozczarowana światem dorosłych, do którego coraz częściej sama bywa zaliczana, postanawia uciec. Jak do tego doszło? Tę zagadkę próbuję rozwikłać fabuła „Zguby” Natalii Szostak.

Historię rodziny pogrążającej się w coraz większym kryzysie śledzimy z wielu perspektyw. Młodszy brat bohaterki, jej rodzice oraz babcia – każdy z nich ma tu swoją historię do opowiedzenia, najczęściej gorzką, pełną żalu. Najgorzej, że nie słyszą siebie nawzajem. Między innymi dlatego skargi wypowiedziane ze ściśniętymi gardłami zbierają się niczym burzowa chmura nad pozornie zwykłą i szczęśliwą rodziną. Małe miasteczko, skromne życie – rodzice Marianny próbują wiązać koniec z końcem, jednak długi (a wraz z nimi toksyczne kłamstwa i sekrety) narastają, aż do momentu, gdy nie da się dalej udawać, że wszystko jakoś się ułoży. Trzeba podjąć drastyczne decyzje – dzieci trafiają do babci (która bynaj-

mniej nie jest tym zachwyconą), mieszkanie zostaje wynajęte, a rodzice wyjeżdżają do pracy w Wielkiej Brytanii.

Marianna nie potrafi odnaleźć się w nowej sytuacji, staje się coraz bardziej zamknięta, zaczynają się problemy w szkole, a zdawkowe rozmowy przez telefon z mamą w niczym nie pomagają. Szostak pokazuje tu rodzinę, która się powoli rozpada. Centralną postacią jest oczywiście Marianna – z jej emocjami i przeżyciami utożsamiają się przede wszystkim młodzi czytelnicy i czytelniczki. Niemniej perspektywy pozostałych członków rodziny są równie ważne, bo dopiero po ich uwzględnieniu możliwe jest zrozumienie całej sytuacji. Każdy tu popełnia błędy (choć różnego kalibru), ale nie jest to akt oskarżenia, a raczej próba rozpisanie dramatu na różne głosy. Literatura, szczególnie powieść, pozwala popatrzeć na świat z różnych perspektyw – także z tych, które wydają się początkowo obce. I w tym sensie jest narzędziem *stricte* poznawczym, dzięki któremu świat staje bardziej zrozumiały, a przez to mniej przerażającym miejscem. Narzędziem odzyskiwania głosów – swojego i innych.



Maria Strzelecka,
HAJDA. BESKID BEZ KITU,
Libra PL, Rzeszów 2023

PIĘKNO I GROZA

Maria Strzelecka już po raz trzeci zabiera młodych czytelników w Beskid Niski – tym razem jednak cofa się do lat powojennych, czasów okrutnych przesiedleń związanych z akcją „Wisła”. Bohaterem książki jest Kola, chłopak z łemkowskiej wsi, który próbuje zrozumieć coś z chaosu trwającego przez całe jego życie. Dorosli sami niewiele wiedzą, jeszcze mniej mówią dzieciom, ale atmosfera strachu i nadciągającej katastrofy jest wyczuwalna dla wszystkich.

Choć wojna oficjalnie skończyła się dwa lata wcześniej, w okolicznych lasach wciąż pełno niebezpiecznych ludzi. Teoretycznie każda z frakcji walczy o coś zupełnie innego, w praktyce jednak sprowadza się to do terroryzowania i okradania lokalnej ludności. Wielka historia z opóźnieniem, ale bezlitośnie wpęta w leśne doliny.

W trudnych chwilach Koli pomaga pies, tytułowy Hajda, szczeniak, którego chłopak uczy skomplikowanych zasad przetrwania w tej dziwnej rzeczywistości. Pies,

podobnie jak Kola, wie, gdzie i kiedy należy się ukrywać, razem też uwielbiają godzinami wędrować po pięknej beskidzkiej okolicy. Bo szczególnie moc tej opowieści zasadza się właśnie na bolesnym kontraście – z jednej strony ludzkie cierpienie wynikające z niezrozumiałych dla nikogo decyzji geopolitycznych, z drugiej piękno dzikiej przyrody, która dla Koli staje się drugim domem, jedynym miejscem, gdzie chociaż przez chwilę może poczuć się dobrze i bezpiecznie. Strzelecka doskonale zna okolicę, którą opisuje – jest też autorką ilustracji w książce, na których pokazane są unikalne okazy lokalnej fauny i flory. Dlatego też „Hajda” unika pułapki naiwnej sentymentalności – z jednej strony z niezwykłą empatią pokazuje trudne życie mieszkańców beskidzkiej wsi z lat 40., z drugiej składa hołd przyrodzie, która zachwyca, ale też stanowi integralną część ludzkiego uniwersum. Z tego połączenia zrodziła się niebanalna historia o skomplikowanym świecie, w którym piękno i groza są ze sobą nierozdzielnie splecione.



Katarzyna Ryrych,
KSIĘŻNICZKA
NA WYGNANIU,
CZYLI OSIEM ŻYWOTÓW
REGINY RÓŻYCZKI,
Butterfly / Ibis,
Konin 2023

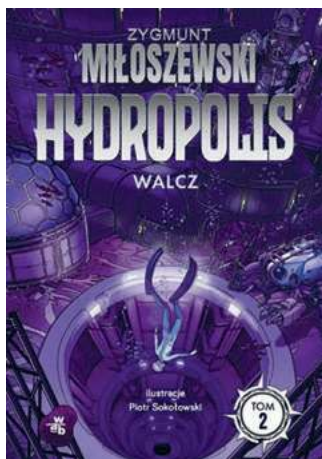
KSIĘŻNICZKA

Główna bohaterka książki Katarzyny Ryrych ma na imię Regina, czyli, jak sama często powtarza, księżniczka. Historia jej życia bliższa jest jednak oryginalnym baśniom Andersena niż ich disneyowskim adaptacjom. Regina od wczesnego dzieciństwa błąkała się po różnych instytucjach opiekuńczych, gdyż jej matka-alkoholiczka rzadko kiedy była w stanie się nią zajmować. Gdy w wieku 18 lat opuszcza po raz ostatni dom dziecka, nie jest gotowa na samodzielne życie. Przemoc fizyczna i psychiczna, której była ofiarą od najmłodszych lat, wcale nie uczyniła jej twardszą, jak sądzą niektórzy dorośli. Wręcz przeciwnie – odarta z wiary w ludzką dobroć, nieufna i emocjonalnie okaleczona musi zupełnie sama nauczyć się tego, co inne nastolatki w naturalny sposób podpatrują u swoich rodziców.

Powieść Ryrych jest surowa i ostra. Nie ma tu owijania w bawetnę, żadnego bajdurzenia o równości szans. Tym, którzy jak Regina mieli pecha urodzić się

w dysfunkcyjnej rodzinie, będzie nieporównywalnie trudniej w życiu niż innym. I nie pomogą tu kulawe instytucje państwowe, pełni hipokryzji księża i zakonnice ani nawet ludzie o niby dobrych, ale zazwyczaj naskórkowych intencjach.

Regina nie jest grzeczną dziewczyną – oddaje światu z nawiązką to, co sama od niego dostała: pogardę i przemoc. Tym samym nie pasuje do lukrowanej wizji sierotki, którą z wdziękiem można by się zająć. Razem z nią wędrujemy po kolejnych placówkach (wychowawczych tylko z nazwy), spotkaniach AA, na które ciąga ją matka w swoich lepszych momentach, aż w końcu trafiamy do szpitala psychiatrycznego na oddział niedoszłych samobójców. W każdym z tych miejsc Regina szuka dla siebie odrobiny ciepła, próbuje nawiązywać relacje z innymi ludźmi. I choć jest to trudne, a do tego zazwyczaj kończy się bolesnym rozczarowaniem, bohaterka się nie poddaje. „Księżniczka na wygnaniu” to gorzka, ale przez to niezwykle błyskotliwa i przekonująca lekcja życiowego heroizmu.



Zygmunt Miłoszewski,
HYDROPOLIS. WALCZ,
W.A.B., Warszawa 2023

NA DNIĘ

Kolejna odłona uniwersum Hydropolis – tym razem postapokaliptyczny świat podwodnych kolonistów poznajemy oczami nastoletniej Emmy. Mieszkanka Czwartej Kolonii Podwodnej ma problemy z budowaniem relacji z rówieśnikami. Wyjątkowo dokuczliwe atopowe zapalenie skóry na twarzy sprawia, że najchętniej stałaby się niewidzialna dla wszystkich. Na takie luksusy w tym świecie nikt jednak nie może sobie pozwolić. Zwłaszcza że dorośli naciskają, aby młodzież była samodzielną i swoją częścią podwodnego habitatu zarządzała sama.

Emma szybko odzyskuje rezon i przejmuje społeczno-polityczną inicjatywę. Uczy się przepracowywać kompleksy, a drwiny ze swojego wyglądu przekuwa w skuteczną broń. W ten sposób przechodzi (a czytelnicy wraz z nią) przyspieszony kurs radzenia sobie w rówieśniczej dżungli. Zwłaszcza że w świecie Hydropolis każda decyzja jest plebiscytem, od którego zależy towarzyskie być albo nie być (choć pewnie w naszym świecie bywa podobnie).

Dramaty rówieśnicze są na tyle intensywne, że chwilami można zapomnieć o postapokaliptycznym tle, na którym się rozgrywają. Miłoszewski jednak umiejętnie o nich przypomina, wprowadzając zwroty akcji znane z klasyki gatunku. Cała bowiem seria Hydropolis to umiejętnie skonstruowany pastisz klasycznych fabuł przygodowo-dystopijnych, od Juliusza Verne’a i „20 000 mil podmorskiej żeglugi” zaczynając, przez Isaaca Asimova („Fundacja”) i Juliusza Zajdla („Paradyż”) aż na „Władcy much” Williama Goldinga kończąc – wspaniała przebieżka dla rodziców i podpowiedź kolejnych lektury do podsuwania nastoletnim czytelnikom.

Dorastanie nigdy nie jest łatwe. Nieoczekiwanie okazuje się jednak, że zamknięcie w klaustrofobicznych komorach na dnie oceanu doskonale rymuje się z tym doświadczeniem. Nic dziwnego, że postapokaliptyczne opowieści dla młodzieży w ostatnich latach stały się osobnym, niezwykle popularnym subgatunkiem. Choć tak naprawdę po mrocznych zakamarkach upadłego świata lubimy się powtórzyć niezależnie od wieku.



Karolina Lewestam,
SILLA,
Agora dla dzieci,
Warszawa 2023

ZORZA

Karolina Lewestam zabiera swoich czytelników w mroźną podróż do skutej lodem krainy Tlate Hiin, gdzie ludzie i zwierzęta żyją we względnej harmonii. W tej klasycznej z ducha powieści fantasy białe niedźwiedzie, śnieżne krowy, wilki, foki, renifery, a nawet wiewiórki są, obok ludzi, równoprawnymi stworzeniami, władającymi wspólnym językiem. A wszystkim rządzi polarna Zorza – tajemnicza wyrocznia, która gwarantuje istnienie świata w dotychczasowej formie.

Corocznym świętem, wokół którego kręci się cała kultura tej lodowej, międzygatunkowej społeczności, jest wieczór Zorzy – tym razem jednak uroczystość przebiega inaczej niż zazwyczaj. Jedenastoletni chłopiec imieniem Ari po raz pierwszy słyszy głos Zorzy, która wymawia jego imię i powierza mu niezwykle zadanie. Rozpoczyna się podróż, od której zależeć będą losy całego świata.

Lewestam uruchamia najlepsze tradycje

powieści drogi. Chłopiec na swojej drodze spotyka nowych przyjaciół i wrogów, dowiaduje się ważnych rzeczy o świecie, ale też sobie samym – a przede wszystkim podziwia (a my razem z nim) piękno lodowej krainy, którą do tej pory znał tylko z opowieści innych.

„Silla” stawia na nowo klasyczne pytanie o naturę dobra i zła, uruchamiając przy okazji konteksty zrozumiałe dla dzisiejszych nastolatków. Chwiejna równowaga podtrzymująca istnienie krainy Tlate Hiin została naruszona – wszystkim grozi katastrofa. Być może znikną zwierzęta, rośliny i krajobrazy, które od niepamiętnych pokoleń były częścią tego uniwersum. Lewestam umiejętnie łączy lęk i nadzieję. Ari boi się, ale strach go nie paraliżuje. Do tego czuje współodpowiedzialność za swój świat, co jednak nie obciąża go ponad siły. Jest w tym duża mądrość, bo tylko tak wyposażone dzieci będą w stanie kiedyś walczyć o lepsze jutro dla siebie i innych.

10. edycja

Łapraszamy!

Patron X edycji
Julian Przybóś

Festiwal
**Stolica
Języka
Polskiego**

4—10.08.2024
Szczepieszyn, Zamość

fol. Archiwum prywatne Uty Przybóś

REKLAMA

Organizator:

Fundacja
Sztuki
Kreatywna
Przestrzeń

Mecenas Festiwalu:

 Bank Polski

Współorganizatorzy:

Partnerzy Festiwalu:

Mecenas monodramu „Najdroższy”:

 
Partner Pasma
Językowego: Pocztajmy
o ogrodach: 

Partnerzy medialni:

Projekt sfinansowany ze współpracy z Narodowym Centrum Kultury
 

WOJCIECH

Bonowicz: Zmiana



ROLE ZAWCZASU ROZDANE, KTO CO POWIE, od dawna wiadomo, trzeba zwrócić się ku kotom. Piszę ten felieton, zanim jeszcze od-

dano i policzono głosy, wy go czytacie, wiedząc już, jaki jest wynik wyborów. Zapewne wszyscy odrzabili zwycięstwo lub przynajmniej sukces, ci, co nie poszli, żałują, że nie poszli, albo wprost przeciwnie, nad Europą czarne chmury się zbierają, co sprytniejsi zaczęli wykupywać w sklepach to, co się szybko nie psuje, jedni płaczą, inni świętują, jeszcze inni domagają się rozliczeń, połowie narodu jest wszystko jedno. Trzeba zwrócić się ku kotom, ratować, póki nie jest za późno.

Koty to równowaga. Chwiejna, ale jednak. Przeprowadzka na wieś to miało być dla kota Leona wydarzenie porównywalne z przekopem Mierzei Wiślanej. I było. To znaczy – niby zmiana, a w sumie bez zmian. Niby wstrząs, stres, a jakoś bezstresowo poszło. Od kilku tygodni mieszkanie w Krakowie podejrzenie pustoszało, znikały znajome meble i zapachy, teraz się wyjaśniło, dlaczego. Na nowym miejscu nie wszystko jeszcze oswojone, ale zapachy podobne. Można do woli przepatrywać złożone w salonie siatki, siatki i pudła, i snuć wspomnienia. Okienko do wyboru więcej, dzieje się za nimi mniej, ale jednak ciekawiej. Przede wszystkim – zlążą się z okolicy inne koty. Wystarczy? Nie wystarczy.

Rzecz najistotniejsza – w samym domu kot Leon nie jest już jedynym kotem. Mieszka z nim teraz Krupcia, drobniejsza, starsza, pięknie, niesymetrycznie ubarwiona, o krótkich nóżkach zakończonych białymi skarpetkami. Skąd się wzięła? Nie wiadomo. Przyszła i została. Ścisłej rzeczy ujmując, przychodziła regularnie przez ostatnich kilka miesięcy, jakby przeczuwała, że jest szansa na nowy dom. Podobało jej się u nas coraz bardziej, jadła,

spala i od czasu do czasu domagała się pieszczot, za każdym razem przed odjazdem trzeba ją było jednak wystawiać na dwór, co naturalnie podobało jej się mniej. Witaa nas potem pełnym pretensji skrzekiem, skrzekiem też broniła się przed wynoszeniem, a nam serce krwawiło. Teraz nareszcie koniec zabaw w chowanego i koniec krwawienia. Relacje z Leonem układają się poprawnie, to znaczy – blisko, ale nie za blisko, z jednej partii, ale nie w jednej frakcji. Na wszelki wypadek Krupcia nie wychodzi na razie na zewnątrz, noce spędza przy mnie, a w dzień robi, co chce, czyli na ogół śpi, zresztą też najchętniej tam, gdzie pracuję. Teraz np. śpi na łóżku na wznak, z przednimi łapkami w górę, z głową lekko przekrzywioną na bok, żeby mieć mnie na oku.

Nie są to żadne sensacje, ale muszę się nimi z wami podzielić, żebyście wiedzieli, co się dzieje. Że od teraz będę pisał z nieco innej perspektywy, bo wstając rano, słyszę przede wszystkim niewiarygodny chór ptaków, a poza tym ciszę, auto za płotem przejedzie najwyżej jedno na kwadrans. Żyje nierozpakowany, za to w zieleni, za oknem mam ogród na wpół dziki, z rzadka póki co koszony. W skrzyniach truskawki, o które trzeba stoczyć walkę ze ślimakami, a za skrzyniami krzaki borówek, co rok obficie owocujące. Brzozy, świerki, leszczyny, małe jabłunki i wiśnie, maliny, jeżyny, nawet aronia. Człowiek całe życie spędził w mieście, a teraz zmiana. Jako się rzekło – niby zmiana, ale nie tak bardzo. Byłem chłopem miejskim, nie wiem, czy taka kategoria w socjologii funkcjonuje, ja byłem. Do uprawiania ziemi, sadzenia, rozsadzania, plewienia itd. się nie palę, ale zapach ziemi lubię. Jeśli trzeba kosić, skoszę, nie idzie mi to równo, grunt u nas mocno pofałdowany, glina, krety, a póki nie było ogrodzone, to i dziki przychodziły.

Tak, oczywiście, ja też wszystko przeżywam, o wszystkim rozmyślam, na wybory do miasta pojadę. Nie uchylam się od obowiązków i nie zamierzam rezygnować z praw. Nie uciekam. Niemniej wiem już, że raczej koty niż... Że, owszem, wielki świat i problemy wielkie, przyszłość nasza się decyduje, przygotować się trzeba na to i na tamto – ale koty... Krupcia leży z łapkami w górę, Leon na oknie czuwa, inne koty już się zwołują i pod dom podchodzą... ©



MANDO

REKLAMA

TRAUMALAND

Polacy w cieniu przeszłości

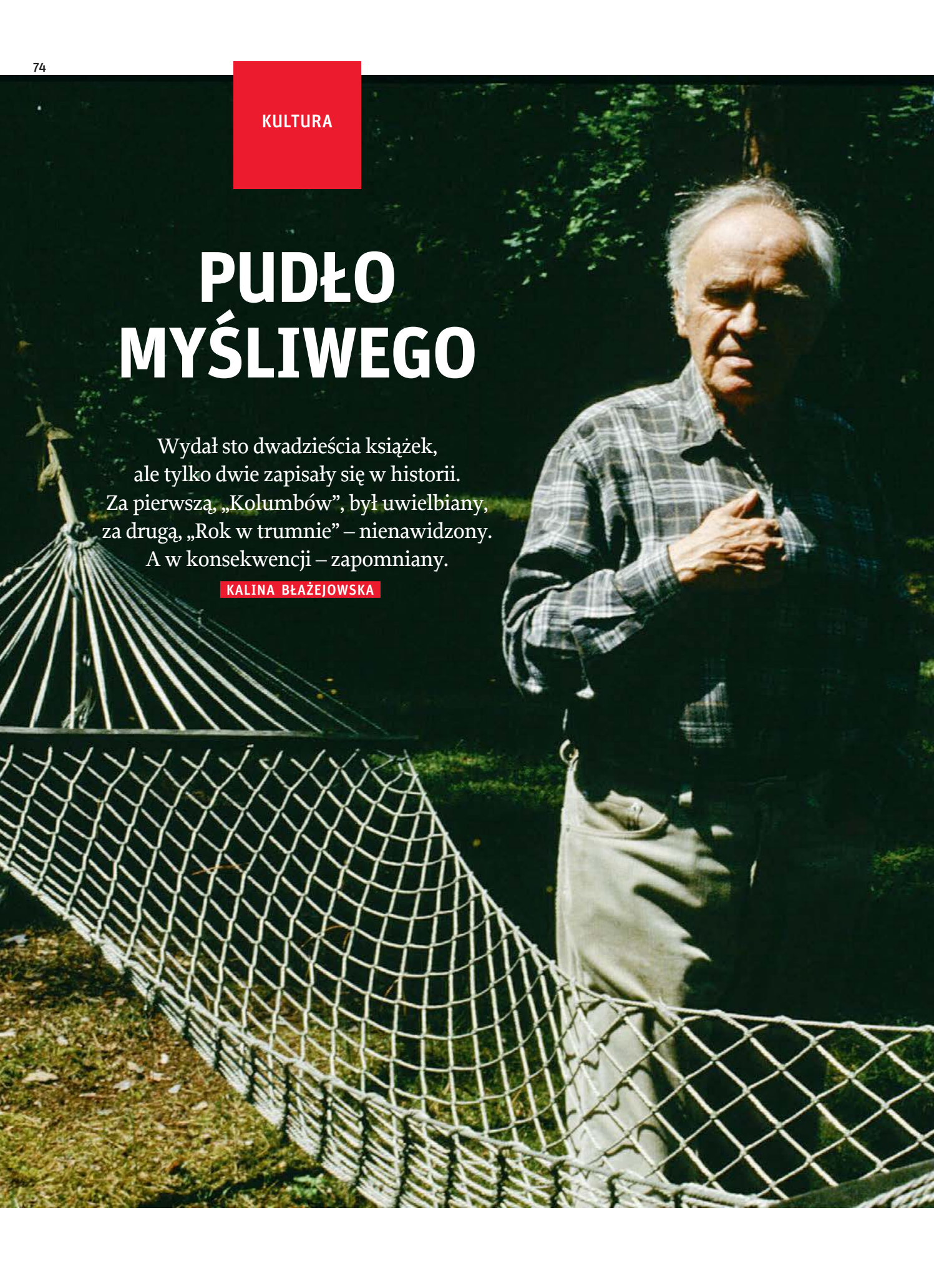
MICHAŁ BILEWICZ

Nieufni wobec państwa i wszelkich instytucji. Wiecznie narzekający i niezadowoleni. Pełni obaw i lęków. A jednocześnie gotowi do ogromnej mobilizacji w czasie kryzysu i pomagania innym, gdy są w potrzebie. Tacy są mieszkańcy Traumalandu. Michał Bilewicz zaprasza do zgłębienia społecznej psychologii Polaków.

PUDŁO MYŚLIWEGO

Wydał sto dwadzieścia książek,
ale tylko dwie zapisały się w historii.
Za pierwszą, „Kolumbów”, był uwielbiany,
za drugą, „Rok w trumnie” – nienawidzony.
A w konsekwencji – zapomniany.

KALINA BŁĄŻEJOWSKA



MEGALOMAN ZE ŚMIESZNIE MAŁYMI stopami. Zapalony myśliwy i miłośnik zwierząt. Maczo, który w domu nie podnosił głosu. Głosiciel równości klasowej, ale kochający luksus – w PRL spędzał wczasy na Sycylii, sprowadzał rasowe psy z Anglii, jeździł najnowszym modelem fiata. Ostatnie dwadzieścia lat życia przesiedział w mazurskiej głuszy.

Roman Bratny był często portretowany przez kolegów po fachu. Tadeusz Konwicki, zanim zerwał z nim przyjaźń, pisał: „Jeśli ktoś nie zrazi się jaskrawym hochsztaplerstwem, bezczelnym bluffem i prasłowiańską hucpą – może polubić pana Romana. Ja właśnie do takich należę. Bo pod tym krzykliwym upierzeniem kryje się szlachetne kurczę o gołęmb sercu i słowiczym głosie”. Leopold Tyrmand, wdzięczny za załatwienie paszportu, wspominał: „powiniennem był go nie lubić: były akowiec, który przyszlusował, pisuje kłamliwie, nic go nie trapi z tego, co mnie trapi. (...) Ale – co tu ukrywać – Romuś jest sympatyczny, gra nieźle w tenisa, ma poważne zainteresowania seksualne i właściwie nigdy nikomu żadnego świństwa nie zrobił”. Janusz Głowacki, ulubiony partner Bratnego do tenisa: „Uważał, że jeśli na jakiś temat nie pozwalają pisać całej prawdy, to lepiej pisać sześćdziesiąt procent niż nic. I na tyle mu, zresztą po długich targach (...) pozwalano”.

Gwiazdy wyjęte z melodii

Roman Bratny urodził się w 1921 r., gdy premierem był Wincenty Witos, zmarł w 2017 r., gdy premierką była Beata Szydło. Opowieść o jego życiu to więc opowieść o dziejach Polski ostatniego stulecia. Tego niełatwego zadania podjął się Emil Marat, autor popularnych książek *non-fiction* o akowskiej tematyce.

O wiele ciekawsze od pomieszczonych w książce cytatów z Bratnego są cytaty z najbliższych mu kobiet. Poślubiona jeszcze w czasie wojny, starsza od niego o dekadę pisarka Joanna Żwirska w ciekawych wspomnieniach z konspiracji pisała o Romanie, że gdy się poznali, patrzył na nią „jak żebrak na sutą jałmużnę, której się nie spodziewał”.

Kolejnym źródłem wykorzystywanym przez Marata są fascynujące dzien-

niki drugiej żony Bratnego, ekscentrycznej malarki Alicji Wahl. Kiedy się w niej zakochał (znowu od pierwszego wejrzenia), miała lat siedemnaście, on – dwadzieścia osiem. Wprowadziła się do niego razem z siostrą bliźniaczką, nie zważając na obecność Żwirskiej i jej matki. Przez pewien czas Bratny mieszkał więc z żoną, teściową i kochanką. W czerwcu 1977 r., jedenaście lat po rozwodzie, Wahl pisała o byłym mężu: „zgubiła go choroba wszystkich mężczyzn – mania władzy na stare lata. Wszystko przez to, że mu się raz udało – jego »Kolumbowie« zgubili go, wyciągając mściwą rękę zza grobu”.

W książce pojawiają się wypowiedzi trzeciej żony, młodszej od Bratnego o dwadzieścia lat modelki Ewy Młynarskiej. O początkach związku (Bratny był wtedy jeszcze żonaty z Wahl) mówi: „zabierał mnie na polowania, czasem nawet konne wyprawy myśliwskie. Teraz ciągle robi się filmy o tych supermężczyznach, którzy widzą do tyłu. On właśnie taki był: coś w lesie cichutko chrupnęło, mrugnęło i Roman już miał ustrzeloną zwierzynek. Miał niesamowity zmysł myśliwski, zawsze był w tym najlepszy. To też jakoś mi imponowało”.

Żywy blask w martwym oku

Jak wielu intelektualistów jego pokolenia, Bratny chorował na Polskę. Nie wyobrażał sobie życia poza nią, ciągle zastanawiał się, jaka była, jest i powinna być. Tyle że między 1945 a 1989 rokiem jego rozpoznania zawsze pokrywały się z linią władzy.

Patriotyzmu nauczył go ojciec. Józef Mularczyk dokonał rzadkiego w swoim pokoleniu awansu: od syna małorolnego chłopca z podolskiej wsi Boryczówka do sanacyjnego pułkownika, dowódcy I Pułku Strzelców Konnych w Garwolinie. Dzięki niezwyklej determinacji rodziny nie tylko skończył gimnazjum, ale wyjechał na studia do Wiednia. Potem, już jako żołnierz Legionów, ożenił się z utalentowaną pianistką z zamożnego krakowskiego domu. Z wojny polsko-bolszewickiej wrócił z *Virtuti Militari*. Dokładnie dziewięć miesięcy później rodzi się Roman. Po dziewięciu latach na świecie pojawi się drugi syn, Andrzej (późniejszy wybitny reporter i scenarzysta, m.in. „Samych swoich”).

W latach 30. Józef (na spółkę z przyjaciółmi, rotmistrzem Tadeuszem Likier-

nikiem) buduje willę w Konstancinie. Nazywa ją „Boryczówka”. Ale ani Romana, ani Andrzeja nigdy nie zabierze do prawdziwej Boryczówki, nie będzie nawet tego miejsca wspominał – jakby chciał oszczędzić dzieciom zderzenia z biedą i zacołowaniem.

Jedno z pierwszych wspomnień Romana: ubrany w miniaturowy mundur kawalerzysty jedzie z ojcem do Belwederu, gdzie wypija filiżankę czekolady, a „wielki pan” z długimi zażółconymi od papierosów wąsami głaszcze go po głowie. W snach będzie wracać do niego przerażające szklane oko konia stojącego w kącie hallu. „Kasztanka – wytłumaczył mu to nabożnie ojciec, w którego świecie znaczyło to zupełnie coś innego niż wypchany zdechły koń, coś bliższego może dziecinnej tajemnicy żywego blasku w martwym przedmiocie” – napisze o tym po latach.

Roman jest dobrym jeźdźcem i strzelcem, ale kariera kawalerzysty go nie pociąga. W liceum o wiele bardziej niż musztra interesuje go poezja, czyta tomik za tomikiem, naraz klasyków i nowości. Nie wybiera się jednak na polonistykę – po maturze składa papiery na Akademię Nauk Politycznych w Warszawie. Ostatnie wakacje przed wojną spędza w junackim hufcu pracy; przy budowie okopów nabawia się ropowicy rąk.

Kilka tygodni później bezskutecznie próbuje zaciągnąć się do armii. Jak setki tysięcy cywilów rusza na wschód, w upiorną pieszą wędrówkę donikąd. Największe wrażenie robią na nim opuszczone ranne konie, które nie mogą się podnieść. Jak pisze Marat: „Sny o potęgze skończyły się nagle i tragicznie. Wielkość okazała się jedynie złudzeniem, a kawalerskie szable i lśniące konie stały się złudzenia tego symbolem”. Tego września Roman Mularczyk postarzał się o kilka lat.

Pogarda

Przez całą okupację mieszka w „Boryczówce” z matką i bratem. Zastępuje ojca, który znika w podziemiu (po wojnie Roman dowie się, że ojciec był szefem okręgu kieleckiego ZWZ-AK). Prowadzi tajne komplety dla Andrzeja i dzieci z sąsiedztwa, próbuje szmuglu, czyta najważniejsze dzieła dziewiętnasto- i dwudziestowiecznej literatury i filozofii. Nie wiadomo, kiedy zaczyna pracę w konspiracji. Na pewno kończy podchorążówkę Armii →

Roman Bratny w ogrodzie swojego domu w Konstancinie. Lipiec 2001 r.

→ Krajowej. Ale wcześniej wstępuje do Miecza i Pługa, który po wojnie opisze fałszywie jako „niedużą organizację z potężną frazeologią”.

„Potężna frazeologia” to eufemizm na faszyzm. Z deklaracji ideowej MiP: „Naród Polski ma już dość dominowania obcych wpływów kulturalnych nad jego rodzimą słowiańską kulturą. Mieczem i pługiem przetrzebi wpływy żydowskie i ujemne naleciałości Zachodu”. Przywódcy ruchu składają Gestapo ofertę, tak streszczoną przez Marata: „W zamian za współpracę w walce z komunizmem – sformowanie Polnische Wehrmacht – Niemcy mieliby odstąpić od terroru wobec Polaków”.

Oferta zostanie odrzucona, a MiP w końcu podporządkuje się AK. Ale zanim to się stanie, Roman działa naraz w obydwu. I koleguje się z bliskim „pługowcom” krytykiem Alfredem Łaszowskim – wtedy agentem Gestapo, później współpracownikiem UB i SB. Nie ma na to dowodów, ale może właśnie ta znajomość jest przyczyną wpadki, która będzie Bratnego męczyć resztę życia. W 1943 roku Gestapo odkrywa działającą w „Boryczówce” radiostację AK. Po torturach na Szucha dwóch telegrafistów zostaje rozstrzelanych, trzeci wysłany do Oświęcimia. A Romanowi, obecnemu przy aresztowaniu, nie spada włos z głowy. Jakiś czas się ukrywa – przed Gestapo i przed towarzyszami broni z AK. Zostaje oczyszczony z podejrzeń o zdradę, ale wątek utraty zaufania przyjaciół będzie ciągle wracać w jego książkach.

W tym samym 1943 roku zakłada „Dźwigary. Miesięcznik Literacki Ruchu Miecz i Pług”. To w nim publikuje – według Marata kluczowy dla zrozumienia postaci – tekst „Hamlet rozstrzelany”, a w nim akapit: „Każdy strzał bojowca wymierzony we wroga narodu polskiego zabija Hamleta w świadomości zbiorowej inteligencji. Ona to, wyzwolona z postawy wątego sceptycyzmu, podejmie w wolnym państwie walkę o POLSKĘ PRACUJĄCEGO CZŁOWIEKA”.

Roman i reszta zespołu „Dźwigarów” zaprzyjaźniają się z redaktorami „Sztuki i Narodu”, konkurencyjnego podziemnego pisma literackiego, snującego tyleż niepokojące, co naiwne wizje odrodzenia Polski w postaci imperium słowiańskiego. Młodzi poeci konspiratorzy spotykają się w „Boryczówce”, żeby przy tanim winie czytać sobie nawza-

jem nowe wiersze, tańczyć i dyskutować o roli sztuki w życiu narodu. Gwiazdą tych spotkań jest Karol Topornicki, czyli Tadeusz Gajcy. Ponoć to on wymyśla Romanowi pseudonim, który po wojnie stanie się urzędowym nazwiskiem.

Burżuazyjne zwyrodnienie

W powstaniu warszawskim dowodzi plutonem w batalionie „Bełt” – broni przekopu w Alejach Jerozolimskich (tego, któremu poświęcił kiedyś przemówienie Donald Trump). Jako żołnierz przechodzi to samo, co większość powstańców, którym udało się uciec z życiem: drogę od euforii przez bezradność i rozczarowanie po gorycz porażki. Świadek bezsensownej hekatombi, utwierdza się w przekonaniu, że decyzja o powstaniu była okrutnym błędem elit, które w politycznej grze poświęciły Warszawę i warszawiaków.

Po powstaniu, leżąc głodny na pryczy w niedogrzanym baraku obozu jenieckiego, Bratny przeprowadza rozrachunek z przedwojenną Polską. Notuje w zeszycie coś, co Marat nazywa „marksistowsko-nietzscheańskim wywodem”. Piszze: „Tragiczny okres pięciolecia nie sprzymierzył klas w postawie walki narodowej, lecz tylko w konsekwencjach narodowej klęski”. Ogłasza upadek liberalnej demokracji i konieczność sojuszu inteligencji z chłopami i proletariatem. Postuluje pokojową „Rewolucję Narodową”.

Gdy po wojnie wraca do Polski, jest przekonany, że nowe władze tę właśnie rewolucję realizują. Tyle że z błędami, które trzeba im uświadomić. Błąd najważniejszy to stosunek do AK. Bratny jeszcze jako student zakłada pismo literacko-społeczne „Pokolenie”, które ma przekonywać władze do zaprzestania prześladowań akowców, a akowców – do włączenia się w odbudowę kraju. W pierwszym numerze stwierdza: „Służyliśmy koncepcji »londyńskiej«, upatrując w niej polską rację stanu. Nie mamy czego się wstydzić”. Zastanawia się, „dlaczego tak wielu z nas spotkały obozy internowania i aresztowania. Czy innej drogi nie było?”. Odpowiedź przychodzi kilka miesięcy później: pismo zostaje mu odebrane, a potem zamknięte. Jego znajomi dalej trafiają do więzień. Bratny musi sobie zdawać sprawę, że może być następny – zwłaszcza ze swoją przeszłością w MiP.

Zaczyna tworzyć to, czego nowa Polska od niego oczekuje: jednoaktówki do wy-

stawiania w świetlicach, reportaże z „ziem odzyskanych”, scenariusz melodramatu o córce kułaka zakochanej w spółdzielcy, sprawozdanie z pokazowego procesu ideologa polskiego faszyzmu Adama Doboszyńskiego. Oraz wiersze typu „Podanie do towarzysza Dzierżyńskiego” („Towarzyszu Dzierżyński, powiedzcie / – umieliście umrzeć i pozostać z nami – / powiedzcie mi, jak żyć częściej / niż raz jeden, i to z błędami”). Składa samokrytykę na łamach „Nowej Kultury”, przyznając się do „burżuazyjnego zwyrodnienia” i „formalistycznego garbu” we wcześniejszej twórczości. Gdy wstępuje do Partii, zapewnia, że zrozumiał, iż w AK „kryła się zdrada najistotniejszych interesów narodu i wrogość wobec ideałów klasy robotniczej”.

A sześć lat później, gdy tylko nadchodzi odwilż, wydaje akowską epopeję o Powstaniu. Ogromny sukces „Kolumbów. Rocznik 20” wcale go nie onieśmiela. Nie paraliżuje go lęk, że już tego sukcesu nie powtórzy. Przeciwnie, przez kolejnych czterdzieści lat pisze jak automat, zazwyczaj, „byłe co, byłe jak, byłe aktualnie”. Powieści, opowiadania, nowele, scenariusze. O głośnych zbrodniach, korupcji, polityce, często z mrocznym tłem wojennym i scenami erotycznymi na granicy pornografii. Głównego bohatera lubi nazywać Jerzy (to jego drugie imię) i wyposażać w podobny do swojego życiorys.

Trzeba pomóc generałowi

Marat uważa, że decydujący w politycznej biografii Bratnego jest rok 1968, kiedy zamiast zwątpić w system, zaczyna go gwałtownie bronić. I tak już mu zostanie.

Czy jest antysemitą? Nie większym niż każdy wychowany w II RP, twierdzi Marat.

Wprawdzie publicystyka Bratnego z 1968 r. wpisuje się w moczarską propagandę, ale nie wynika to z wyrachowania czy nienawiści, tylko szczerego przekonania o zbrodniach wojennych Izraela i o potrzebie oczyszczenia polskich elit politycznych z przefarbowanych stalinistów. Jednocześnie – tak przed, jak po Marcu – Bratny umieszcza w swojej prozie wątki wprost sprzeczne z moczarską polityką historyczną. Całkiem otwarcie, choćby w noweli „Naganiacz”, pisze o Polakach uczestniczących w Zagładzie.

Po 1976 r. jego obsesją staje się demokratyczna opozycja. Nie może się pogodzić z jej istnieniem. Uważa, że jeśli



Jan Englert i Urszula Gałucka w filmie „Kolumbowie. Rocznik 20”, reż. Janusz Morgenstern, 1970 r.

Książka i serial, które pokochali Polacy

„KOLUMBOWIE.

ROCZNIK 20” po raz pierwszy trafiają do księgarń w maju i czerwcu 1957 r. Książka staje się bestsellerem, a nakład znika błyskawicznie – w ciągu dwóch tygodni. Po fali artykułów i wywiadów Roman Bratny przyjmuje w domu delegacje dziennikarzy i dziennikarek gazetek szkolnych, pracowników domów kultury oraz „kaowców”. Pozwala sobie na szaleństwa związane z sukcesem: planuje

wyprawę nad Amur we wschodniej Azji, zamienia wartburga na nową škodę 440, droższą wówczas od „garbusa”.

KIEDY POWIEŚĆ zostaje zekranizowana, a w telewizji pojawia się serial Janusza Morgensterna, „Kolumbowie” znów osiągają wysokie nakłady, PIW wznawia tytuł kolejno w latach 1972, 1974, 1976, 1977 i 1979. W samych latach 70. nakład sięgnie 200 tys. egzemplarzy,

a łącznie powieść zostanie wydrukowana w ponad milionie sztuk. W momentach, gdy brakuje jej w księgarniach, biblioteki tworzą długie listy oczekujących.

ODTWÓRCA jednej z głównych ról serialu, Jan Englert, przyzna, że z „nikogo staje się najpopularniejszym aktorem w Polsce”, a całe zamieszanie wokół niego i serialu „to był jakiś Mount Everest, który wyrósł w pół roku na Nizinie Mazowieckiej”. Bratnego ludzie zaczepiają na ulicy, przysyłają do domu kwiaty.

WIDZOWIE, którym do tej pory proponowano przygodowy obraz wojny w stylu „Czterech pancernych i psa” (od 1966) czy „Stawki większej niż życie” (od 1968), są – jak pisze Emil Marat – „porażeni zrealizowanymi niemal w dokumentalny sposób scenami dramatu powstania”. Serial jest drugim, po „Kanal” Andrzeja Wajdy, ważnym obrazem poświęconym tragedii. ©© MOCH

będzie wystarczająco silna, Polskę czeka drugie powstanie albo wojna domowa, kolejny bezsensowny rozlew krwi. PRL uważa za system dogłębnie zepsuty, ale jedyny możliwy. Píše „interwencyjne” powieści, w których piętnuje niesprawiedliwości, układy, głupotę elit. Będzie twierdził, że gdy jego koledzy podpalali stajnię Augiasza, jaką był PRL, on próbował ją czyścić.

Po wprowadzeniu stanu wojennego od wiedzy brata, który z emocji trafił do szpitala kardiologicznego, i namawia do wypisu: „Trzeba pomóc generałowi. Tylko wojsko ma w tym kraju czyste ręce”. Sam

pomaga, jak umie. Píše książkę, która – jak notuje w dzienniku Mieczysław Rakowski – generała wprost zachwyca.

„Rok w trumnie” ukazuje się tuż po zniesieniu stanu wojennego. Sprzedaje się w kilkuset tysiącach egzemplarzy. To paszkwil, stylizowany na pamiętnik więźnia, który w karnawale „Solidarności” wychodzi na przepustkę i opisuje swoje erotyczne przygody w środowisku opozycji. Pierwowzorem narratora był skazany za współudział w morderstwie aktor i pisarz Jerzy Nasierowski, zawdzięczający Bratnemu przedterminowe zwolnienie.

I tak z autora powieści rehabilitującej AK, Bratny staje się autorem powieści dezawuuującej Solidarność. Skarykaturowani w książce wymierzają mu najgorszą dla pisarza karę. Milczenie – które obejmie też wszystko, co napisał potem.

Konające wściekle zwierzę

Opis trzydziestu czterech lat, jakie przeżył po wydaniu „Roku w trumnie” zajmuje u Marata ledwie czterdzieści stron. A przecież ten właśnie okres piętna i pokuty – utraty większości przyjaciół, obserwowania bankructwa własnych przekonań, podejmowania rozpaczliwych prób utrzymania się na rynku literackim, wreszcie powolnego umierania – jest najbardziej dramatyczny i tym samym najciekawszy.

W latach 90. Bratny dużo narzeka i wyklina – na politykę parlamentarną i politykę wydawniczą. Bardzo przeżywa usunięcie „Kolumbów” z listy lektur. W wywiadzie z 1994 r. żali się, że kiedyś musiał walczyć z cenzurą, a teraz jest objęty „systemem tłumienia: ani słowa o książkach, ani słowa o człowieku: nowe socjotechniki są skuteczniejsze”. Andrzej Mularczyk mówi Maratowi, że jego brat był wtedy „jak konające, wściekle zwierzę”. Biograf podsumowuje: „Nie zauważył, że nie broni już niczego oprócz siebie i swojego przekonania o nieomyślności. Oraz wygody życia w tym przekonaniu, w materialnym dostatku, z pisarską popularnością”.

W drugiej połowie lat 90. Bratny przestaje pisać i wyprowadza się na stałe na Mazury. Ma depresję, do której dochodzą demencja i trudności z poruszaniem. W ostatnich latach życia przeprowadza się do córki, która prowadzi coś w rodzaju domu spokojnej starości dla koni: wysłużone kłaczki i ogiery chodzą samopas między stajnią a pastwiskiem. Bratny czasem siada w fotelu przed domem i czeka, aż córka mu je przyprowadzi.

Uśmiecha się, głaszcząc ciepłe pyski. Mówi, że często śni mu się koń z dzieciństwa. Nazywał się Samum. Nie pamięta już imion, ale to jedno mu zostało.

© KALINA BŁAŻEJOWSKA



Emil Marat,
**BRATNY. HAMLET
ROZSTRZELANY**,
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2024



JOVAN MROWIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE TONFA

Duet TONFA

Nowe dzieci w bloku

JAN BŁASZCZAK

Najciekawszy raperzy młodego pokolenia wracają do opowiadania lokalnych historii. Zabawa słowem i potrzeba ekspresji są dla nich ważniejsze od eleganckich rymów i gramatycznej poprawności.

PODZIAŁ NA STARĄ I NOWĄ SZKOŁĘ w polskim rapie zawsze był problematyczny – bo czym właściwie miałyby one być? Zarówno Stare Miasto, jak i Molesta dzieliły się radami na temat tego, „jak się poruszać po mieście”, ale brzmienie, inspiracje i pochodzenie członków obydwu składów jasno dawały do zrozumienia, że mowa o trochę innych Warszawie.

A przecież muzyka lat 90. to nie tylko stolica. Dorzućmy ówczesny funkowy rap z Wrocławia czy psychodeliczne wyćieczki śląskiego Kalibra 44, a okaże się,

że jeżeli istniała jakaś stara szkoła, to z pewnością była ona wielozawodowa.

Bez szkoły

W roku 1998 ukazał się „Skandal” Molesty. Był to nie tylko pierwszy stołeczny album rapowy wydany przez dużą wytwórnię, ale także płyta, która na wiele lat zdefiniowała charakter polskiej sceny. A na pewno – powszechne o niej wyobrażenie. Vienio i Włodi zdawali raport z życia na wielkomiejskim osiedlu, przybliżając zasady, którymi należy się tu kierować. Choć sami niejednokrotnie da-

wali świadectwo otwartości i niezależności, to jednocześnie wprowadzili do polskiego rapu zwroty ze słownika półświatka, a także twarde reguły kojarzone z kulturą więzienną. Właściwie „Skandal” przebrał polską scenę w dresy, określił jej stosunek do policji i ustawił kurs na prawdziwość. Przy czym album Molesty wpłynął nie tylko na twórczość niezliczonych rapowych składów, ale także na odbiór tej muzyki przez media głównego nurtu, w których strach mieszał się z pogardą.

Włodi i Vienio mieli oczywiście ograniczony wpływ na odbiór swojego albumu i jego następstwa dla polskiego rapu. Jak pisze Filip Kalinowski w książce o stołecznym rapie, „niemała część środowiska poczuła się zawiedziona, że ich ukochana kultura została przejęta przez ludzi, których wcześniej obawiano się, idąc do Alfego czy Hybryda”. Co ciekawe, młodzi raperzy chętnie wracają dziś do tamtego okresu. Nie wiedzie ich tam retromania, a różnorodność, szczerość, spontaniczność i niemal punkowy duch obecny u narodzin środowiska.

Twórcy młodszy niż „Skandal” wchodzi na scenę świadomi jej historii i nieobciążeni bagażem, który niesie. „Nie stara, nie nowa – w ogóle nie szkoła” – mówili o sobie członkowie TONFY, pojawiając się na scenie. Za sprawą takiej właśnie wolności są jedną z najciekawszych grup w polskim rapie, który zresztą dawno nie wydawał mi się tak interesujący.

Powrót do korzeni

Kluczowym ogniwem między wczesnym rapem, odgrywającym rolę „telewizji bloków”, a odwołującymi się do niego młodymi twórcami, był Przemysław „2K88” Jankowiak. Producent, współtwórca duetu Syny, którego debiutancki „Orient” nawiązywał do osiedlowych nagrań z lat 90., nierzadko ubierał swoje opowieści w smoliste, dubowe basy.

– Wychowałem się na polskim rapie, ale od niego uciekłem, na lata wjechałem w zupełnie eksperymentalne rejony – tłumaczy Jankowiak. – Kiedy wróciłem za sprawą Synów, miałem poczucie, że można do tego środowiska coś od siebie dodać. To była jednak kapsuła czasu, bo ówczesny rap był dla mnie asłuchalny. Dlatego sięgaliśmy z Robertem (Piernikowskim – przyp. JB) do jego korzeni. Jaraliśmy się Wzgórzem Ya-Pa 3, Zip Składem, WWO, Molestą i mieliliśmy to wszystko przez naszą wrażliwość.

Sięgając do przeszłości, Syny zbudowały niezwykle sugestywne uniwersum, którego wyjątkowość podkreślała niepodrabialna ekspresja Piernikowskiego oraz koncerty przybierające formę muzycznego rytuału. Niektórzy bardziej konserwatywni odbiorcy (w tym specjalizujący się w hip-hopie dziennikarze) dosłuchiwali się w „Oriencie” fałszywych nut i dyskredytowali wiarygodność grupy. Natomiast wielu młodszych odbiorców, którzy nie zawracali sobie głowy certyfikatami prawdziwości, fascynowało się wyrazistą twórczością duetu.

Jankowiak podkreśla, że często porównywani do nich młodszy twórcy mają własny język i pomysł na siebie, więc nie ma zamiaru podpinąć się pod ich sukces. Jest jednak pewien, że Syny przygotowały dla nich grunt, pokazując nastoletnim słuchaczom autorski, współczesny, ale zanurzony w osiedlowej tradycji rap.

– Mieliliśmy masę młodych słuchaczy, którzy mieli po 13-15 lat, kiedy uka-



Przemysław „2K88” Jankowiak

zywał się „Orient” – wspomina Jankowiak. – Oni nie chodzili wtedy na nasze występy, ale teraz spotykam ich na koncertach TONFY i podjarani zbijają ze mną pionę.

Weterani i świeżynki

Wśród fanów duetu nie brakowało także starszych słuchaczy. Mało tego, z szacunkiem podchodzili do twórczości Synów także weterani polskiego rapu, ci „najprawdziwsi z prawdziwych”. Dość powiedzieć, że z propozycją współpracy zwrócił się do Jankowiaka sam Włodi, a jej rezultatem był wydany w 2020 r. album „W/88”. Wśród zaproszonych na płytę gości znalazł się zarówno Kosi – weteran warszawskiej sceny, jak i stawiająca pierwsze kroki na scenie TONFA.

To uznanie ze strony najważniejszych postaci polskiego rapu pomogło Jankowiakowi w pracach nad producenckim albumem, który ukazał się dwa lata później. Na „Rulecie” do jego bitów rapowali zarówno weterani sceny, jak i jej nowe głosy, raperzy i raperki, przedstawiciele surowej ulicznej szkoły i twórcy śmiało zerkający w stronę radiowego popu.

– „Ruleta” w tym sensie była mocno Gen-Z – tłumaczy asthma, jeden z najciekawszych raperów tego pokolenia. – Dla mnie to jest o inkluzyjności, budowaniu świadomości względem różnorodności i otwieraniu na nią. Myślę, że w polskim rapie przez długi czas ważne były podziały i zasady: tu jest stara – a tu nowa szkoła, jak stara szkoła – to nosisz dresy itd. W ostatnim czasie widzę wię-

cej otwartości, trochę się wszyscy do siebie zbliżyliśmy.

Jeśli sama „Ruleta” powstawała miesiącami i w licznych podgrupach, to towarzysząca jej premierze trasa koncertowa była hip-hopowym światem nawiązywania relacji i wspólnego snucia dalszych planów. – Pamiętam, że w autobusie jadącym na wrocławski koncert razem z Kosim nauczyliśmy się tekstu „Flauty” – wspomina asthma. – Od tego czasu on jest dla mnie jedną z najważniejszych postaci w polskim rapie.

„Ruleta” okazała się swojego rodzaju przekazaniem pałeczki, sztafety pokoleń. Z tą różnicą, że młodzi raperzy wcale nie chcieli odstawiać swoich mistrzów na boczny tor.

Wyznanie wiary

Wielu z najciekawszych dziś twórców odwołuje się do czasów, w których rap nie był jeszcze w głównym nurcie. Wracając do opowiadania lokalnych historii, które nie muszą być powszechnie zrozumiałe. Do rapu, w którym zabawa słowem waży więcej niż misternie utkana opowieść, a potrzeba ekspresji ma pierwszeństwo przed dokładnym rymem czy gramatyczną poprawnością.

– Dużo się narzeka na obecny rap, ale w podziemiu dzieją się naprawdę zające rzeczy – twierdzi Jankowiak. – Byłem na koncertach Ziomec, Mosa.Tech czy TONFY, a jest jeszcze Cichoń, Kajzer, Wojtek Siwik, Koneser – oni wszyscy mają sporo wspólnego z tym, co robiliśmy w Synach. I nie chodzi mi nawet o jakąś bezpośrednią inspirację – oni po prostu grzebią w tych samych rewirach, co my.

Współtworzący TONFĘ kaserolaaa wspomina, że w wieku kilku lat wiedział już dobrze, jak wygląda 2Pac czy logo nowojorskiego Wu-Tang Clanu, bo jego starsi kuzyni słuchali takiej muzyki. Mimo to rapem zainteresował się poważnie dopiero w gimnazjum za sprawą środowiska deskorolkowego. – Wcześniej zupełnie nie słuchałem tej muzyki – tłumaczy. – Wydawało mi się chyba, że chłopaki w koszulkach Hemp Gru to patusy, a ja nie dość, że nie byłem patusem, to trochę się ich bałem.

Początkowo kaserolaaa słuchał więc głównie amerykańskiego rapu. Dopiero debiut Synów udowodnił mu, że polski rap może być jego muzyką. Podobnych →

→ wątpliwości nie miał nigdy drugi z członków TONFY, kierat: – Co w tym było? Wydaje mi się, że dla takiego trzynastolatka jak ja ważne było to, że ci raperzy próbowali mi nadać kierunek. To było z jednej strony uliczne i młodzieżowe, a z drugiej – dojrzałe, bo oni mówili o zasadach, o jakiejś ogólnej prawidłowości. Trafiało to do mnie może też dlatego, że byłem wychowany w mocnym nurcie katolickim, gdzie ważne było wyznawanie różnych prawd.

Po śladach

Dla dorastającego na warszawskim Ursynowie kierata ważna była też wiarygodność raperów takich jak Włodi czy Wilku. – To były takie chłopaki jak ja, tylko starsze. Widywałem ich czasem w metrze. Byli autentyczni, namacalni.

Nic dziwnego, że kierat doskonale pamięta wieczór, kiedy TONFA dostała propozycję wystąpienia na płycie Włodiego. Pamięta ciarki, które przechodziły mu wtedy po całym ciele. Cztery lata później zrewanżował się współtwórcy Molesty, zapraszając go na „Trzecią szynę” (tytuł to nawiązanie do utworu Tedego z 1999 r). Tegoroczna płyta TONFY to jeden z najlepszych polskich albumów roku i jedno z moich ulubionych rapowych wydawnictw, jakie ukazały się na rodzimej scenie w ostatnich latach. Przede wszystkim za sprawą luzu, który bije ze zwrotek kierata i kaseroliii. Tu nie chodzi o wielokrotnie złożone rymy, ale o spontaniczność, świeże skojarzenia, zabawę słowem. To kawałki, które przypominają stary polski rap, bo są o bujaniu się po mieście i do bujania się po mieście. Ważny jest tu również niezależny etos, przyjaźń, pasja („TONFA to spółdzielnia, a nie akcyjna spółka”), a niekoniecznie klarowność przekazu. Co nie oznacza, że zespołowi nie przytrafiają się absolutne językowe perełki („odcisk mi nadepniesz, nie ma sprawy w moje ślady chodź!”).

Uroku „Trzeciej szynie” dodają też scratche DJ Zetena, którego z kieratem połączyła miłość do starego polskiego



MATERIAŁY PRASOWE

asthma

rapu. Podczas koncertów tej trójce towarzyszy na scenie grający na perkusji Wojtek Perczyński, a nierzadko także zaproszeni goście. Ten sceniczny chaos generujący niemal punkową energię to kolejny aspekt, który naturalnie przenosi do koncertów Molesty i innych wczesnych hiphopowych ekip o garażowym zapleczu.

Nie dla pieniędzy

Inny z najciekawszych raperów młodszego pokolenia – asthma po raz pierwszy usłyszał Molestę dzięki tacie, który wgrał mu kawałek warszawskiej grupy na odtwarzacz mp3. Miał wtedy siedem, może osiem lat. Jego ojciec grał z kolegami z Bielska w punkrockowym zespole, ale słuchał też dużo rapu, głównie amerykańskiego. Jego mama jako dwudziestoparolatka była natomiast fanką Paktofoniki. – Ślaski charakter tego zespołu na pewno miał tu jakieś znaczenie, zwłaszcza w tamtych czasach. Trudno mi o tym powiedzieć coś więcej, bo wtedy nie było mi nie przecież jeszcze na świecie – słusznie przypomina mi asthma.

Równolatek „Kinematografii” mógłby być synem urodzonego w 1976 r. Kosiego, a tymczasem od premiery „Rulety” chętnie z nim współpracuje. Weteran rapowej sceny, graficarz i współtwórca kultowej warszawskiej ekipy JWP pojawił się na ubiegłorocznym „nowym życiu” asthma i sam gościł go na swojej solowej płycie. – Kosi oprowadzał mnie kiedyś po miejscach, które były dla niego szcze-

gólnie ważne w młodości – opowiada asthma. – Powiedział mi wtedy, że jego zdaniem na samym początku polskie środowisko hiphopowe miało najwięcej punktów wspólnych z anarchizmem i punkiem. Dopiero później pojawiły się te konotacje kibicowskie, prawicowe, dresarskie. Stąd bierze się to porozumienie między nami.

Kiedy pisałem o początkach rapu we Wrocławiu, często trafiałem na byłych punkowców, którzy zafascynowali się hip-hopem za sprawą deskorolki (tak jak 20 lat później kaserolaaa) i kultowej ścieżki dźwiękowej do filmu „Sądna noc”, na której gitarowe zespoły takie jak Sonic Youth, Helmet czy Faith No More nagrywały utwory z udziałem raperów. Dodajmy do tego jeszcze Peję grającego pierwsze koncerty na Rozbracie, czyli poznańskim squacie, i Włodiego, który zaczynał od grania hardcore’u.

Słynne hasło tego ostatniego: „Po pierwsze nie dla sławy, po drugie nie dla pieniędzy” mogłoby zresztą z powodzeniem otwierać jakąś ważną punkową płytę. Jedną z tych, z których sample trafiły na „manifest” asthma – głośny debiut, na którym słyszymy fragmenty nagrań Izraela czy Brygady Kryzys. Młody raper nawiązywał do tych składów nie tylko za sprawą muzycznych próbek, ale także tekstów, w których atakował opresyjne państwo, przestrzegał przed katastrofą klimatyczną, głosił potrzebę duchowej rewolucji.

Te same bloki

Kiedy rozmawiamy o starym polskim rapie, asthma, który właśnie skończył nagrywać kolejny album, przyznaje, że słyszy jego niedostatki: odczasownikowe rymy czy wypadanie z bitu, ale nie ma to dla niego większego znaczenia. Najważniejsza jest szczerość, emocje, które wybijają się na tle wielu późniejszych, bardziej profesjonalnych nagrań.

– Bloki zostały ocieplone i pomalowane, ale to wciąż te same bloki – mówi raper. – Młodzi ludzie wciąż zmagają się z podobnymi problemami natury materialnej, tożsamościowej. Zamiast wódki i heroiny jest fentanyl i mefedron. W Warszawie możesz pójść do ekskluzywnego domu handlowego, ale zakup mieszkania to taka sama abstrakcja, jak wtedy. Tak naprawdę pracujemy z bardzo podobnymi emocjami.

© JAN BŁASZCZAK



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.

Słuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl



MATERIAŁY PRASOWE PRODUCENTA

„Hotel Paradise 8”, odcinek 8.

Najważniejsze to kochać

MICHAŁ WALKIEWICZ

Po ośmiu sezonach „Hotelu Paradise” i dziewięciu „Love Island” serwisy plotkarskie wciąż piszą o nich newsy, a media społecznościowe i memosfera pracują na pełnych obrotach. Uczestnicy opowiadają, jak pobyt w rajach zmienił ich życie.

CZAR PAR – MIKOŁAJ NAZYWA SHAHIRE „kebabem” i szydzi z jej wagi, ale lży płyną dopiero wtedy, gdy pyta ją: „Jak ty wyglądasz, kobito? Gdybym zobaczył cię w bramie, uciekałbym, ile mogę”. Obelgę chłopak usprawiedliwia konwencją zabawy w przebieranki, z kolei winą za kwaśną sytuację obciąża dziewczynę: „Przynajmniej szczerzy jestem. Nie doceniasz tej szczerości?”.

Na sąsiedniej wyspie konkurenci Mikołaja w wyścigu o sławę grają w inną grę: kobiety muszą przenieść w bikini kostki lodu, a następnie wsypać je w kąpielówki mężczyzn i roztopić, ocierając się o ich krocza pośladekami. W wysokiej rozdzielczości, w zwolnionym tempie i przy akompaniamencie popowego szlagieru wygląda to jak niezobowiązująca,

wakacyjna zabawa. #morzaszum #ptakówśpiew

Oto język miłości i choreografia tańca godowego, których uczą nas popularne telewizyjne reality shows. Niemal wszystkie opowiadają nie tyle o miłości, co o pieniądzu, dietach wysokobiałkowych i transakcyjnym modelu relacji międzyludzkich. Większość bazuje na sprawdzonym schemacie: wywozimy umiędzynarodowionych influencerów i seksowne trenerki personalne do egzotycznego kurortu, łączymy ich w pary, a resztę załatwia siła odśrodkowa.

W założeniach to bezpretensjonalna eskapistyczna rozrywka. W praktyce – połączenie „Władcy Much”, eksperymentu stanfordzkiego, coachingu mentalnego oraz polskiej komedii romantycznej.

Dzień świstaka

W filmie „Lobster” (nagroda jury w Cannes) Yorgosa Lantimosa wdowcy i rozwodnicy zamieszkujący dystopijny świat przyszłości są umieszczani w specjalnych hotelach. Mają tam ostatnią szansę na znalezienie drugiej połówki. Samotność oznacza śmierć, a właściwie – pośmiertną zamianę w wybrane przez siebie zwierzę. W emitowanej przez TVN polskiej wersji amerykańskiego formatu „Hotel Paradise” los nie jest dla uczestników aż tak okrutny. Reszta się jednak zgadza – to „Lobster”, tyle że nieironiczny. Izolacja oraz restrykcyjne zasady gry zmieniają naturę relacji społecznych, bycie singlem jest stanem podwyższonego ryzyka, zaś osoba, która traci partnera lub partnerkę w trakcie cotygodniowej eliminacji, zdaje klucz i odjeżdża w ciemną noc. Z jednej strony to celna metafora rzeczywistości, w której samotność jest czymś wstydlivym, niepożądanym i piętnowanym. Z drugiej – w kontrze do „istoty” tej miłosnej układanki oraz związanej z nią marketingowej retoryki, w grze liczy się przede wszystkim pragmatyzm.

Nasz dzień świstaka zaczyna się bladym świtem. Pobudka, śniadanie, siłownia w plenerze, basen, później konkurencja sprawnościowa, test na orientację, zabawa w kółko graniaste. W regularnych interwałach randki, przetasowania par, ➔

→ powitania nowych uczestników, pożegnania z weteranami. Wreszcie zaś – koronne punkty programu. Najpierw tzw. Puszka Pandory, czyli rozmowy w formule „szczerść za szczerść”, w trakcie których rozgryzani uczestnicy całkowicie ścierają klocki hamulcowe. Później – rajskie rozdanie, czyli wspomniany proces eliminacji.

Aby wygrać, zawodnicy muszą doczłapać do finału w parach. Kto w trakcie ostatecznej rozgrywki stłucze pożądaną kulę, ten rozbija bank i zgarnia 10 tysięcy złotych. Jeśli oboje doniosą Świętego Graala na metę, dzielą się pieniędzmi. Niektórzy rzucają kulą o ziemię, inni „wybierają miłość”. Ostatecznie jednak stawka jest zero, skoro liczy się przede wszystkim performance, a kasą można podzielić się za kulisami.

Waleczne serca

Miłość jest merkantylizowana w sposób najdosłowniejszy z możliwych, natomiast seks – właściwie wyrugowany z opowieści. Jego stężenie na godzinę zabawy mierzy się ogrywanymi do znużenia w mediach społecznościowych „incydentami”, sugestiami, że „do czegoś doszło”, oraz momentami pościelowych rozmów. Ekranowa rzeczywistość składa się raczej z intryg, aktów podwójnej lojalności, szczeniackich umizgów oraz pijackiego biadolenia. Jasne, walory rozrywkowe płynące z tej zabawy są spore – zwłaszcza gdy trafi się ktoś, kto w roli czarnego charakteru czuje się jak ryba w wodzie. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że za mało tu „show”, a jeszcze mniej „reality”.

Uczestnicy nie rozmawiają o swoich marzeniach i pasjach, a nawet o sposobach na biznes. Nie dzielą się konstytuującymi ich tożsamość doświadczeniami. Tego świata nie dotknęła pandemia, nie obowiązywał w nim dystans społeczny, jego mieszkańcy nie nosili maseczek i rękawiczek. Nic dziwnego, że do rangi buntownika z wyboru urasta facet, który wytatuował sobie na klatce piersiowej datę rozpoczęcia I wojny o niepodległość Szkocji. Zrobił to, ponieważ lubi „ambitne kino”, a „Braveheart – Waleczne serce” zna na pamięć. Można się śmiać, ale jednak zagrał wbrew obowiązującej, radzieckiej metodzie typa: tu Byczek, tam Intrygantka, pod palemką Nimfa Wodna, a za rogiem – Dziewczyna Twardo Stąpająca Po Ziemi.

Oglądam reality shows namiętnie,

gdyż są to bajki o miejscu, którego istnienie jest na tyle prawdopodobne, by stać się przedmiotem naszej wiary, i na tyle nieprawdopodobne, by stać się przedmiotem naszych marzeń.

Fakt, że nasz układ nerwowy jest przystosowany do wchłaniania tego rodzaju treści, jest wyłączną zasługą strumienia telewizyjnego, który medioznawca Raymond Williams nazywał „narzędziem eksploatacji kulturalnej”. Współczesna telewizja zbudowana jest nie tyle z programów o jednolitym kodzie stylistycznym i zakresie tematycznym, co z wymiennych „soczewek”, które skupiają całość odbiorczego doświadczenia. Niezłymi przykładami takich modułów są telewizja śniadaniowa, *late night shows*, programy rozrywkowe, a nawet serwisy informacyjne, które zrównują każdy przekaz i miksuje komunikaty tak, by osiągnąć wrażenie tonalnego dysonansu. Nadajemy właśnie ze Strefy Gazy, by już za chwilę przenieść się na czerwony dywan w Złotych Tarasach, a stamtąd – na krągową „jedynekę”, gdzie doszło do tragicznego wypadku. Ale cóż to! W Przysieci Starej mieszka pan Zdzisław, który od trzydziestu lat widzi uchem.

W odbiorze krytycznym czyni to z programów w stylu „Hotelu Paradise” formy odporne na wszelkie generalizacje, a co za tym idzie – na sądy głoszone z wysokiego diapazonu. Sam oglądam *reality shows* namiętnie, gdyż są to w gruncie rzeczy bajki o alternatywnym wymiarze; o miejscu, którego istnienie – korzystając z jednej z najlepszych definicji komedii romantycznej – jest na tyle prawdopodobne, by stać się przedmiotem naszej wiary, i na tyle nieprawdopodobne, by stać się przedmiotem naszych marzeń.

Moja osoba

O ile pełen intryg, zdrad i spisków „Hotel Paradise” ogląda się jak tiktokową adaptację Szekspira, o tyle polsatowskie „Love

Island” to coś w rodzaju hipermelodramatu. Uczestnicy łączą się w pary szybciej i zostają w nich dłużej, nawet jeśli scenarzyści rzucają im kłody pod nogi, a prowadząca regularnie sprawdza ich lojalność. I choć całość zrealizowana jest w poetyce miękkiego erotyku, a festiwal falujących biustów i naprzężonych tricepsów nie ma końca, to w gruncie rzeczy program jest o wiele bardziej konserwatywny. Wszelkie przejawy nieuczciwości spotykają się z silniejszą reakcją ze strony uczestników oraz komentujących wydarzenia w mediach społecznościowych widzów.

Jak przeczytałem na jednym z portali plotkarskich, „Love Island” wyróżnia także to, że uczestnicy mają „nie tylko piękną fizjonomię, ale i barwne osobowości”. Ja użyłbym raczej liczby pojedynczej: „osobowość”. Na ekranie bowiem wszyscy stanowią monolit; jeden byt o bliźniaczych marzeniach, potrzebach i ambicjach.

Emilia jest tancerką i fotomodelką. Rafał, z wykształcenia weterynarz, zajmuje się logistyką, ale marzy o otwarciu własnego schroniska dla zwierząt. Daniel skończył AWF i szkołę muzyczną, Adrian pracuje w kancelarii prawnej, a Oliwia jest nauczycielką. Wszyscy są młodzi, piękni i wysportowani, ale mimo wszystko – różni. Konwencja wymaga jednak, by poszukać najmniejszego wspólnego mianownika – obsesji ciała, kultu „prawdziwej miłości”, „honorowego kodeksu mężczyzny”, rytuałów utożsamianych z tradycyjnymi rolami płciowymi, narcyzmu. Symbolem tego procesu są językowe manieryzmy, które na stole montażowym ubijają się tak gęsto, byśmy ani przez chwilę nie mieli wątpliwości, że to egoizm jest dominantą „ludzkiej natury”: „Czego chcesz od mojej osoby?”, „Dlaczego obrażasz moją osobę?”, „Wydaje mi się, że Janusz jest zainteresowany moją osobą”.

Jedna z par była ze sobą przed programem. Druga umówiła się na wspólną przeprawę do finału tuż po castingu. Ktoś jest bratem menadżera z TVN-u. A ktoś inny jest w tajemnym stałym związku. Po ośmiu sezonach „Hotelu Paradise” i dziewięciu edycjach „Love Island” tego rodzaju sytuacje wpisały się w konwencję całej zabawy. Widzowie się oburzają, serwisy plotkarskie piszą newsy, media społecznościowe i memosfera pracują na pełnych obrotach. Wyeliminowani uczestnicy idą do śniadaniówek i opowiadają



MATERIAŁ PRASOWY POLSATU

Uczestnicy 4. edycji programu „Love Island”

o tym, jak pobyt w raju zmienił ich życie. Jeśli wcześniej nie byli influencerami, zostają nimi po programie. Ostatecznie przecież o autopromocję chodzi.

Czarne lustro

Kamera frunie nad plażami Bali, nad lasami Zanzibaru, nad hiszpańską prowincją. Zza kadru dobiega głos lektora, który ostrzega, że nawet w takich okolicznościach przyrody z człowieka potrafi wyjść zwierzę. I zazwyczaj wychodzi. Toksyczne zachowania oraz przemoc psychiczna wobec uczestników i uczestniczek nie są oczywiście normą, lecz ilekroć się pojawiają, zawsze wpadają w nieistotną sferę medialnego szumu. Nawet gdy są zgłaszane przez widzów do KRRiTV, sytuacja powtarza się w kolejnym sezonie.

Gdy kamera zaczyna pikować, spada na wysokość muskularnych torsów i wypiętych pośladków – nowi uczestnicy wprowadzani są w króciutkich winietach, w których prężą się przed obiektywem, sięgają wzrokiem za horyzont i opowiadają o pragnieniu miłości. Ciekawsze są jednak momenty obezwładniającej nudy, gdy drapią się po głowie, leżą rozwaleni na sofach albo dłużej w nosie. Te krótkie momenty wchodzi klinem w gładziutką fakturę obrazu i przypominają, że jednak obcujemy z ludźmi z krwi i kości, a nie z zaprojektowanymi przez telewizyjnych macherów socjotechnicznymi konstruktami.

Pytanie o promowane przez telewizję wartości nie jest może w kontekście tego

rodzaju produkcji zbyt fortunne. Lecz gdyby je zadać, odpowiedzią jest strategia dobierania i prezentowania informacji o uczestnikach. Nie liczy się to, jakie studia ukończył Janek, tylko to, jakiej kobiety szuka. Nie ma znaczenia pasja Weroniki, tylko to, ile pieniędzy jej przyniosła. Uczestnicy są nieraz stawiani przed interesującymi dylematami oraz w psychologicznie wymagających sytuacjach. Ale żeby jakoś zaadresować problem szowinizmu czy wysublimowanych form przemocy psychicznej, nie wystarczy pogrzmiewający lektor: „No teraz to Bartek przegiąłeś”.

Duchowa odnowa?

„Hotel Paradise” i „Love Island” to przykłady najbardziej emblematyczne dla całego nurtu, ale nie jedyne. Polska tradycja, pomijając prehistoryczne dzieła w rodzaju „Big Brothera”, „Łysych i blondynek” czy „Baru”, ma swoje korzenie w programie „Warsaw Shore” autorstwa MTV, stanowiącym destylat wielkomiejskiej patologii. Duchowym spadkobiercą tej narracji byłby zapewne amerykański format „Ex na plaży”. Tytuł nie kłamie: oto z morskiej toni wyłaniają się dawni partnerzy zawodników. Ich zadaniem jest wicherzyć, przeszkadzać, mącić wodę. Lecz to, co na papierze brzmi jak pyszna komedia charakterów, na ekranie zamienia się w seans przemocy. Wszystko w myśl zasady, że nie ma takiego ciosu na odlew, którego nie dałoby się poprzedzić wyzwiskiem.

W amerykańskim „Too Hot Too Handle” uczestnicy muszą zachować wstrzeźliwość seksualną na czas trwania programu. Jest to o tyle trudne, że wszyscy wyglądają, jakby urwali się z filmu dla dorosłych. Za każdy przejaw fizycznej czułości ubywa pieniędzy ze wspólnej puli, zaś dyspensę mają jedynie ci, którzy zasłużyli na pieczętów duchową odnową. Efekt zderzenia atawizmów z tą pop-filozofią jest dokładnie taki, jak można sobie wyobrazić: napaleni uczestnicy kitrają się po kątach i obmacują, a następnie deklarują zmianę systemu wartości na treningach jogi i w trakcie zajęć z coachem.

Z podgatunku „socjologicznego” polecam „20 kontra 40”, zaś z przegródki „stręczycielskiej” – „Gry małżeńskie”. W tym pierwszym programie facet około czterdziestki oraz jego młodszy o dwie dekady kolega romansują z kobietami w analogicznym przedziale wiekowym – opowieść o wdrukowanych w naszą podświadomość i niemożliwych do spełnienia kulturowych wymaganiach wobec obydwu płci przypomina bulwarową komedię. Ten drugi program to jeszcze większy odlot. Zadaniem samotnej osoby jest rekonesans w mieszkaniach i rozpoznanie, który z trzech uczestników (bądź uczestniczek) jest singlem markującym życie w szczęśliwym związku. Jeśli jej się uda, wygrywa nagrodę pieniężną. Jeśli nie podoła – otrzymują ją pozostałe pary. Jak nietrudno się domyślić, schowanym za ścianą partnerom i partnerkom zawodników zależy więc przede wszystkim na tym, by ci jak najbardziej przekonująco odgrywali „gotowych na wszystko” singli. Niby „Niemoralna propozycja”, ale na polską miarę. Tu stawką w grze są trzy tysiące złotych.

Podobnie jak twórcy świetnego „Algoritmu miłości”, czyli serialu, który zamienia wspomniane programy w przedmiot bezlitosnej satyry, zmierzam do konkluzji, że niewiele z tej zabawy wynika. Producenci mają w rękach wszelkie narzędzia, by powiedzieć coś ważnego o społeczeństwie, zmieniać naszą świadomość, a nawet sprawić, byśmy dostrzegli w uczestnikach coś więcej niż cyrkową atrakcję. W ramach telewizyjnych igrzysk wolą jednak zamieniać ich w zwierzęta. Moja osoba nic na to nie poradzi – mają nas w garści.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

Szara strefa

ANITA PIOTROWSKA

Doświadczenie emigracji staje się coraz bardziej powszechne i coraz bardziej polaryzujące. Łatwo stać się „nielegalnym”.



MŁODSI POLACY MIELI SZCZĘŚCIE nie zaznać tego na własnej skórze, starsi woleliby nie pamiętać. Choć przecież ciągle jeszcze, na różnych przejściach granicznych i z rozmaitych powodów, można poczuć ten nieprzyjemny dreszcz: jesteś podejrzany/podejrzana. Nawet kiedy znasz język, masz w porządku wszystkie papiery, „właściwy” wygląd, a przed sobą całkiem niewinny cel podróży. Bo także wtedy wszelkie dodatkowe procedury typu pobieranie odcisków palców, kontrola osobista czy rozmowa z urzędnikiem imigracyjnym stawiają osobę podróżującą w niewygodnym, czasami mocno stresogennym położeniu. A nuż coś ongiś przeskrobałam i zostało to zapisane w wieczystych rejestrach?

„Do granic” opowiada o takim właśnie, zgoła kafkowskim doświadczeniu – tym silniejszym, im bardziej problematyczny jest kraj, z którego pochodzisz. Oraz im bardziej niegościnne jest państwo, do którego zmierzasz. Ale to jedynie pierwsza warstwa kameralnego thrillera napisanego i wyreżyserowanego przez Alejandra Rojas i Juana Sebastiána Vasqueza. Filmu o osobistym zaufaniu, kulturowych uprzedzeniach

i, podskórnie, o globalnych nierównościach.

Fakt, iż mamy do czynienia z twórczym duetem, prywatnie zakorzenionym w imigracyjnych doświadczeniach, nie może być bez znaczenia. Kiedy więc Diego (w tej roli Alberto Ammann, znany z serialu „Narcos”) i jego partnerka Elena (Bruna Cusi) przenoszą się z Barcelony do Miami, już w taksówce czy w trakcie lotu do Nowego Jorku, gdzie czeka ich przesiadka, widać będzie wyraźnie, kto z nich odczuwa większy stres.

Przed lustrem w samolotowej toalecie pochodzący z Caracas mężczyzna ćwiczy szeptem formuły, które zaraz będzie wypowiadał podczas rutynowego przesłuchania. Teoretycznie bohaterowie tworzący zalegalizowany w Unii Europejskiej związek cywilny mają równy status. Dzięki wygranej zielonej karcie bezrobotny urbanista i nauczycielka tańca współczesnego, oboje przed czterdziestką i bezdzietni, mają szansę ułożyć sobie wspólne życie za oceanem. Tak jak miliony innych legalnych imigrantów. Jednakże w czasach, gdy prezydent Donald Trump zapowiada budowę muru na granicy z Meksykiem (akcja filmu dzieje się na początku 2019 r.), bardzo łatwo stać się tym „nielegalnym” – i winnym z samego założenia. Wystarczy być Latynosem, resztę załatwią szczegółowe przeświadczenia, odpowiednie paragrafy i niesprzysięgający czynnik ludzki.

Co ciekawe, bohaterowie filmu, po tym jak już odsiedzą swoje w poczekalni dla podejrzanych, głównie zresztą niebiałych, trafiają na urzędniczkę (Laura Gó-

mez), która sama ma latynoskie pochodzenie i w pewnym momencie przechodzi z nimi na język hiszpański. Być może w swojej surowości jest nadambitną służbistką, a może pod ledwie skrywaną arogancją i jawnymi złośliwościami odreagowuje swój emigrancki resentyment. Rojas i Vasquez szczegółowo odtwarzają nie tylko podchwytliwy styl przepytывania, ale i klaustrofobiczną atmosferę wokół, co sprawia, że przeżycia ekranowych postaci natychmiast udzielają się widzowi. Tyle że i nasza ufność rychło zostaje wystawiona na próbę, okazuje się bowiem, iż pomimo kilkuletniej zażyłości Elena i Diego nie mówili sobie całej prawdy. To najbardziej dwuznaczny aspekt „Do granic”. W obliczu rozgrzebanej prywatności, tendencyjnych konfrontacji i szantaży sami bohaterowie zaczynają patrzeć na siebie z podejrzliwością. Powody ma zwłaszcza ona – ta z lepszymi papierami, pochodząca z uprzywilejowanego świata. Toteż kamera prowadzi przez Vasqueza przygląda się baczniej jego twarzy. To on skrywa tajemnice, które mogą mieć istotny wpływ nie tylko na wbicie upragnionej pieczętki do paszportu.

Przez godzinę z niewielkim haczykiem zostajemy uwięzieni w zawieszonym między światami szarej strefie. A konkretnie w czterech ścianach schludnego, acz zdehumanizowanego niemiejsca, w którym każdego dnia waga się czyjeś losy. I tak wiele zależy od intencji, od słów wpisywanych do formularza czy zwykłego łapania za słowa. Z czasem jednak o wiele silniej oddzia-

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

DO GRANIC

(„La llegada”/„Upon Entry”)

– reż. Alejandro Rojas, Juan Sebastián Vasquez.

Prod. Hiszpania 2022.

Dystryb. Gutek Film.

W kinach

od 14 czerwca.

Alejandro Rojas pochodzi z Wenezueli, tam kręcił filmy krótkometrażowe, a „Do granic” to jego debiut hiszpański. Współtworzył go debiutujący również w tej roli Juan Sebastián Vasquez, reżyser, scenarzysta i operator (robił zdjęcia m. in. do filmu „Ratownik”, 2020), także pochodzący z Wenezueli.

Ich wspólny tytuł otrzymał aż dwadzieścia sześć nagród na całym świecie, od Buenos Aires po Kalkutę.

Kadr z filmu „Do granic”.

luje to, co dzieje się w milczeniu pomiędzy głównymi bohaterami, niż cały ten proceduralno-immigracyjny koszmar z udziałem niezwykłych funkcjonariuszy i psów tropiących zakazane substancje. Poczucie dezorientacji i niepewności nabiera nowych odcieni. W spojrzeniach i ciałach aktorów rozgrywa się intymny spektakl strachu, wątpliwości, rozczarowania. Od prawdy wychodzącej na jaw pod wpływem urzędniczych manipulacji ważniejsza zdaje się zupełnie inna prawda: co łączy Diega i Elenę teraz, gdy ich wspólny „amerykański sen” stanął pod dużym znakiem zapytania. I co właściwie istniało między nimi wcześniej.

Dlatego trudno dzisiaj traktować „Do granic” wyłącznie jako krytykę systemu migracyjnego w USA. Ów skromny film podbijał festiwale na całym świecie i nic dziwnego – doświadczenie emigracji staje się coraz bardziej powszechne i coraz bardziej polaryzujące. Na ironię może zakrawać, że tym razem chodzi o wykształconych, władających językami bohaterów, którzy nie łamią prawa i nie muszą walczyć o podstawowe przetrwanie, zaś ich mobilność bywa postrzegana zdecydowanie bardziej przychylnie – ot, przejaw elastyczności i zdrowych aspiracji. Po prostu, jak dowiadujemy się z przesłuchania, współczesna Hiszpania nie oferowała Elenie i Diegowi zadowalających dla nich perspektyw. W tym sensie prawie wszyscy możemy nazwać siebie potencjalnymi emigrantami.

Bez względu na to, czy zostaną zawróceni, czy dotrą do swojej ziemi obiecanej, odbywamy wysiedzianą na szpilkach i nader gorzką lekcję. Na tle rozlicznych filmów o podobnej tematyce „Do granic” wyróżnia się przede wszystkim emocjonalną powściągliwością i laboratoryjną dyscypliną formy. Mniej znaczy więcej. Ścisłym głosem i językiem biurokracji, bez nadmiernej wylewności i pochopnych ocen, Rojas i Vasquez opowiadają o tym, że z powodu skostniałych procedur i czyjejs złej woli nawet emigracja w obrębie „pierwszego świata”, w warunkach nieomal sterylnych, może już na wejściu być doświadczeniem poniżającym, bolesnym czy wręcz niszczącym. A co dopiero... i tutaj możemy wstawić sobie zupełnie inne warunki, miejsca, historie. ©

Lektor: Czytajcie Calvina!



■ **Italo Calvino, NASI PRZODKOWIE. WICEHRABIA PRZEPOŁOWIONY, BARON DRZEWOLAZ, RYCERZ NIEISTNIEJĄCY**

Przekład Barbara Sieroszewska.

Przekład przejrzała i napisała posłowie Katarzyna Skórska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2024, ss. 600.

NIE BYŁEM DOBRY WE WSPINANIU SIĘ NA DRZEWIA, ale i tak jednym z moich młodzińskich bohaterów został Cosimo Piovasco di Rondò. Człowiek, który z błahego pozornie powodu (odmowa zjedzenia przyrządzonych przez jego potworną siostrę Battistę ślimaków) 15 czerwca 1767 roku wchodzi na drzewo, by już do śmierci nie zejść na ziemię i w koronach drzew przeżyć całą burzliwą epokę, włącznie ze spotkaniem z Napoleonem. W tej stylizowanej na oświeceniową powiastkę historii porwała mnie pochwała wolności, na której ołtarzu Cosimo składa właściwie wszystko, ale też obraz epoki, choć nie umiałem odczytać wszystkich gier intertekstualnych. Dziś wzrusza mnie obecna w finale nostalgiczno-ekologiczna nuta.

„Baron drzewolaz”, wedle daty powstania druga część pisanej przez lata (1952, 1957, 1959) trylogii Calvina, pozostała do dziś moją ulubioną. Nie mówiąc już o „Opowieściach kosmimicznych” i „Jeżeli zimową nocą podróżny” – ale to zupełnie inna historia. Bo Italo Calvino (1923-1985), zaczynający książką o partyzantce („Ścieżka pajęczych gniazd”) jest pośród wielkich prozaików powojennej doby jednym z najśmielszych eksperymentatorów, zonglującym gatunkami i szukającym nowych dróg, jak jego koledzy z francuskiej grupy OuLiPo (Warsztatu Literatury Potencjalnej), której był gościem honorowym. A więc literatura, matematyka, a także astronomia i uczynienie powieściowymi postaciami bytów nieczłowiecznych. I spora dawka humoru.

Wróćmy jednak do „Naszych przodków”. Wicehrabia Medardo di Terralba, uczestnik jednej z niezliczonych siedemnastowiecznych wojen, zostaje przepołowiony przez kulę armatnią i do domu wraca jedynie jego zła, wręcz zbrodnicza połowa. Dobra połowa także ocalała, ale czyste dobro okazuje się równie kłopotliwe; dopiero ich ponowne połączenie pozwala przywrócić równowagę. Z kolei Agilulf, rycerz z czasów Karola Wielkiego, jest – jak pisze Joanna Ugniewska – „uosobieniem geometrycznego rozumu”; to „czysta świadomość, gardząca światem, nienawidząca przypadku”. Te fantastyczne przypowieści zawierają więc czytelne przestrogi – i jak znakomicie są napisane! Lektura Calvina to czysta przyjemność, co w przypadku eksperymentatorów nie takie częste... ©®

OLGA

Drenda:

Normalna usterka



DWIE NIEZBYT ODDALONE OD SIEBIE w czasie sytuacji: raz – jadę jednym z licznych połączeń kolejowych między dwoma miastami wojewódzkimi, przy czym do jednego z nich docieram koleją lokalną, a po drugim poruszam się komunikacją miejską. W pojazdach jest miejsce oraz są działające toalety, na stacji mogę przechować bagaż, a po podróży nie towarzyszy mi znajome uczucie zdrozenia i nerwowki. Wszystko toczy się według prostego trybu: rzeczy działają zgodnie z ich przeznaczeniem i instrukcją obsługi.

Druga sytuacja przychodzi na myśl lubiane sformułowanie „jak z Barei”: na innej stacji z trójga nowych drzwi działają tylko jedne, więc wchodzimy wyjściem. Toaleta na tejże stacji (ciekawe, jak często to WC staje się tak wymownym symbolem!) jest dostępna po wrzuceniu do automatu dwuzłotówki. Nie dwóch złotych czy innych nominalów składających się na kwotę 2 zł, lecz wyłącznie dokładnie jednej, okrągłej dwuzłotówki. W dobie płatności bezgotówkowych wygląda to na nieco perfidny żarcik z pasażerów w naglącej potrzebie.

W takich sytuacjach pozostaje odwołanie się do międzyludzkiej solidarności i polskiego zwyczaju obchodzenia trudności przy pomocy sposobu. Zakup napoju w kiosku z nadzieją na otrzymanie reszty doprowadza operację do połowicznego sukcesu. Wiele osób wpadło na ten sam pomysł, co doprowadziło do braku dwuzłotówek w kiosku. Pani sprzedawczyni dzieli się jednak tajnym zaklęciem: trzeba udać się do automatu z przekąskami, wrzucić dwie złotówki i anulować zamówienie, a wtedy jest szansa, że wypadnie pożądany nominal...

Ta wielopiętrowa opowieść o zawilej drodze do łazienki to jakby rewers przygody numer jeden. W jednej z nich to na-

turalne, że wszystko raczej funkcjonuje, a toczące się procesy sprzyjają ich uczestnikom w drodze. Druga – to świat oparty na usterce. Można przez niego z powodzeniem przebrnąć, ale błędem jest oczekiwanie, że cokolwiek spełnia swoje nominalne zadanie, a czynność A wiedzie do rezultatu B. Trzeba raczej wymyślać na bieżąco metody omijania coraz to nowych i zniechęcających się błędów. Błąd to zasada.

Obie wersje rzeczywistości mieszczą się bowiem na swój sposób w spektrum definicji „polskiej normalności”. Przy tym ta druga, z wybojami, sposobami, zasięganiem rady i kombinowaniem, towarzyszyła mi przez znaczną część dorosłego życia; uznawałam za zupełnie oczywiste, że rzeczy raczej nie działają, niż działają, że jest raczej zamknięte niż otwarte, że nie można po prostu czegoś załatwić czy zorganizować, tylko trzeba stawiać na pomysliwość, że wyjście awaryjne jest wyjściem głównym. Nawet bez zastanawiania się – po prostu lepiej przyjąć, że taki jest standard. Radzenie sobie z nim bywało wręcz osobliwym powodem do chluby: może nic tu nie działa, ale ja – owszem! W pewnym momencie jednak zawitała nowa rzeczywistość, dla urodzonych nieco później niż ja pewnie już bardziej oczywista: taka, w której rzeczy zasadniczo działają, a awarie można zgłosić i naprawić, a wręcz zrobić aferę w internecie, że niedziałanie to skandal. Co więcej: można się spodziewać, że wszystko będzie działać, i oczekiwać pewnego standardu, a nie co najwyżej wzdychać z rezygnacją.

W kimś, kto przyłapał się – jak ja – na świadomości, że oto nastąpiła zmiana, mogą kłębić się rozmaite odczucia. Oto doświadczyłam dwóch sposobów organizacji świata. Jeden, ten na opak, wydawał mi się naturalny, poza nim istniały może krainy pieczonych gołąbków. Gdy jednak poznałam świat działania prawidłowego ten pierwszy wydał mi się przygodą Alicji po drugiej stronie lustra, z której wyniosłam niespodziewane sprawności harcerskie. Pierwszym uczuciem może być ulga: a jednak można; doczekaliśmy się. Może wręcz przekonanie, że nie tylko potrafimy, lecz nam się należało. Wkrótce pojawia się jednak rysa niepokoju. Która wersja oprogramowania świata jest tak właściwie na opak? Być może to wcześniejsze, „dysfunkcyjne”, to w rzeczywistości tryb domyślny, a „funkcjonująca” rzeczywistość to wypadek przy pracy, tymczasowa usterka? Jeśli tak, to może lepiej nie uznawać jej zawczasu za normalną i nadmiernie się nie przyzwyczajać, żeby nie stracić uprzednio nabytych umiejętności?

Amerykanie mawiali kiedyś, że „normalny to nazwa programu w palce automatycznej”. To podpowiada, że sam ten termin może być dość pusty. A jednak odczuwamy jego znaczenie, umiemy zidentyfikować: „normalny” świat to ten, po którym płyniemy jakby z zamkniętymi oczami. A jednak – by kontynuować pralkową metaforę – znam, i nie tylko ja, taki świat, w którym po włączeniu pralki okazałoby się, że ona zamraża albo robi hot dogi. Myśl o tym, że musiałabym się do niego kiedyś od nowa wdrażać, irytuje. Przynajmniej mam te umiejętności, myślę sobie. Ale może doświadczenie poprawy wcale nie bywa jednoznacznie pozytywne: możliwość porównania przypomina o tym, co było. Wraca jak przykre widmo. Może właśnie teraz trwa jakieś złudzenie, błąd systemu?

©

Zdjęcie wykonane w czasach „domyślnego niedziałania”



PAWEŁ

Bravo: Wybory od kuchni



TYSIĄC TRZYSTA EURO KOSZTUJE MIEJSCE w samolocie Lufthansy na trasie między Frankfurtem a Strasburgiem. Nie da się taniej przejechać tych dwustu kilometrów? Normalni ludzie pokonują je autobusem, jadąc dwie godziny za jedną dwudziestą tej

ceny. A jednak chcecie się poczuć wyjątkowi? Będzie trudno, rozkład przewiduje bowiem taki zloty, a skromny lot tylko raz w miesiącu – w poniedziałek po południu i w czwartek, również po obiedzie. Czemu wtedy? Bo są skrojone pod europosłów i inne ważne postaci instytucjonalnej bańki, udające się na sesje parlamentu, a potem po czterodniowej pracy do domu. Bądźmy złośliwie dokładni: owe cztery dni „pracy” są tylko na papierze, realna robota dzieje się tylko we wtorki i środy, potem byle do obiadu i pa, pa.

Kto bogatemu zabroni? To znaczy wam, fundatorom tych wspaniałości, coś że pośrednim, złożony podział pracy cechuje przecież rozwinięte społeczeństwa, jeden płaci podatki, drugi za nie fruwa. Jeszcze by mu papierowa korona w autobusie na wybojach spadła. Jeśli w zeszłą niedzielę nie chciało wam się zagłosować, to mieliście ku temu różne poważne powody oprócz tego, że słonko świeciło (podobnie uczciwe powody mieli ci, co jednak poszli). Ale tak czy owak, możecie być spokojni, wielkiej różnicy w dalszym funkcjonowaniu wspólnoty państw wasz krzyżyk lub jego brak nie uczynił.

Za to już niebawem ciężką jak kamień kartkę będzie ścisłał w garści wyborca francuski, z nagła powołany do urn gambitem swojego prezydenta, który jeszcze tego samego niedzielnego wieczora pomieszał szyki komentatorom odprawiającym nowenny do świętego banału. Gniew, frustracja lub kaprys Francuza będą brzemienne w skutki nawet dla nas, tu daleko od Paryża – i to jest właściwa skala porównawcza. W kwestii więc latających cyrków możemy spokojnie powrócić do oglądania po raz setny arcydzieł Johna Cleese’a.

Wprawdzie parlament to w dużej części składowisko odpadów politycznych, ale cała ta żmudna procedura deliberacji wymyślona przez mądrych ludzi na miejsce wojen odbywa się przecież w brukselskich korytarzach wypełnionych zapachem gnijących w teczkach kompromisów. Tyle że są to korytarze Komisji oraz Rady, czyli miejsca, gdzie zasiadają premierzy – obecni, nie byli – albo ministrowie wysłani ze stolic. Jeśli niedzielne wybory mogą służyć za orientację w przyszłych układankach, to jestem skłonny was uspokoić, że naszym przewodom pokarmowym nie zagrażają jakieś nagłe urzędowe zmiany (włoska Liga poszła dalej niż straszenie mąką z robaków, na plakatach sugerowała, że Europa każe Włochom jeść inne horrendum: pizzę z ananasem – wrócimy jeszcze do tej zniewagi). Solidna reprezentacja partii z „ludem” w nazwie raczej utopi wszystkich jeszcze będące na stole istotne, potencjalnie wywrotowe zmiany w rolniczej części Zielonego Ładu.

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy
lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakow



Częściowo słusznie: nie da się pewnych postulowanych zmian przeprowadzić w sposób, który nie zrujnowałby realnych (a nie utopijnych, z podmalowanej sepią arkadyjskiej wizji) rolników, dopóki np. trwa blokada zmiany w prawie dotyczącym roślin uzyskanych dzięki tzw. nowym technikom genetycznym. Nauka zalicza w tej materii od dekady epokowe zmiany, a Europa ciągle tkwi ze swoim ogólnym zakazem wszelkiego „gieemo” z 1990 r. Trzy lata trwało żmudne szukanie konsensusu wokół ułatwień dla roślin uzyskanych drogą mutacji podobnych do tych zachodzących samoistnie w przyrodzie (zawdzięczamy im tak sympatyczne rzeczy, jak fioleto-
towe tulipany, buldożki francuskie albo jabłka granny smith), które mogą zapewnić np. rośliny bardziej odporne na choroby – co dopiero otwiera drogę do stopniowego wycofywania pestycydów. Albo uprawy zdolne sobie poradzić w suchszej i bardziej zasolonej glebie – zmiany polityczne są odwracalne, ale zmiana klimatu dzieje się bez względu na sondaże. Komisja zaproponowała, parlament dłuhał, poprawiał i wstępnie klepnał, po czym ministrowie spotykali się kilkanaście razy, ostatnio w maju, aż pełniąc przewodnictwo Belgia musiała uznać porażkę. Następni w kolejce do prezydencji są Węgrzy, dotychczas niechętni tym zmianom. A potem kolej Polski, od stycznia. Czy zdołamy to posunąć? Ministerstwo mądrych kroków mamy, obawiam się, wciąż nieobsadzone. ©P

Włoch prycha na naszą pizzę z ananasem,
a sam przecież je
paskudztwa, np. chleb
zupełnie bez soli
w Toskanii i Umbrii.
Ja go uwielbiam,
ale wiem, że prawie
nikomu tu nie
smakuje.
Trzeba
go po
prostu jeść
z czymś
wyrazistym.
Np. jak w tym
recyklingowym przepisie

pici alle briciole. Pici to takie grubsze spaghetti z ciasta z dodatkiem oliwy, możemy je zastąpić zwykłymi kluskami, byle dobrej jakości. A briciole to okruchy, możemy wziąć **czerstwą białą ciabattę**, z **solą** – nie mamy wyboru. Na dużej patelni podgrzewamy na **dobrej oliwie** (niestety musi być droga) **dwa rozkrojone ząbki czosnku i nieco pokruszonej papryczki**. Wyjmujemy czosnek, dodajemy ok. 200 g drobno pokruszonego miększu, podsmażamy aż do lekkiego zrumienienia. Przerzucamy na patelnię **400 g ugotowanego al dente makaronu**, mieszamy energicznie, aż się potoczy z chlebem, zdejmujemy z ognia, polewamy szczydrze oliwą i na koniec dodajemy **posiekaną natkę**, a już na talerzach **garść tartego sera**.



SZKOŁA UCZUĆ

BOGDAN DE BARBARO, PSYCHIATRA I PSYCHOTERAPEUTA:

Nawet relacje międzynarodowe uwarunkowane są tym, co czujemy. Pod spodem naszych myśli kryją się urazy, traumy, kompleksy, duma, marzenia.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Czy można wskazać jedno uczucie, które zdominowało życie współczesnego Polaka?

BOGDAN DE BARBARO: Mniej więcej od dekady doświadczamy chaosu zmieszanego z lękiem. Chaos rodzi lęk, a lęk nasila chaos, bo przecież zachodzi silne połączenie między tym, co się dzieje w emocjach, i tym, co się dzieje w rozumie. W dodatku, nasze oświeceniowe marzenie, by światem rządził rozum, sprawdza się w obszarze nauk ścisłych, ale nie w relacjach międzyludzkich. To nie jest, oczywiście, tylko polskie zjawisko.

Przeceniamy wagę rozumu?

Nawet relacje międzynarodowe uwarunkowane są tym, co czujemy, a w każdym razie to, co myślimy, zależy od tego, co czujemy. Pod spodem myśli kryją się urazy, traumy, kompleksy, duma, marzenia itd.

Czyli na wyrost szcycimy się tym, że jesteśmy homo sapiens?

Jesteśmy homo sapiens, ale także np. homo ludens. Jako homo sapiens powinniśmy się opierać na faktach i do nich odwoływać, ale przecież w przestrzeni publicznej, a wtórnie w naszych umysłach, królują opinie, plotki, niesprawdzone hipotezy, domniemania, pomówienia. Współczesna technologia zaprasza i ułatwia rozprzestrzenianie fałszywych informacji. Postprawda, a właściwie klimat postprawdy, to bolesna okoliczność naszego bytowania. A na dodatek – wirusy nienawiści, dla niepoznaki i znieczulenia zwane hejtami. Trudno się dziwić, że jesteśmy w stanie chronicznej niepewności.

Chaos informacyjny wzmacniają media społecznościowe, to wszystko składa się na mentalny bałagan. Niejeden coach czy terapeuta doradzałby: wycofaj się z tego, sprawdzaj w internecie informacje raz na kilka dni. Nie ufaj tym, którzy zajmują się produkcją sensacji. Najlepiej, jakbyś nie czytał dzienników, lecz tygodniki, najlepiej – zaryzykuje stronnictwo – „Tygodnik Powszechny”, ze względu na dystans do polaryzujących i zanurzonych w emocjach sporów.

Dobrze rozumiem: by osiągnąć spokój, trzeba zredukować bodźce?

Kiedy ktoś co godzinę sprawdza, czyta i słucha wiadomości, to tak, jakby śledził mecz piłkarski na bieżąco. Czyli każda akcja jest ważna, niczego nie można ominąć, angażuje uwagę, energię i emocje. Wyczerpująca sytuacja. A dla kogoś, kto chce zachować w swoim umyśle porządek, ważny będzie sam wynik. Niekoniecznie interesuje się tym, czy piłka szła lewym skrzydłem.

To uczucie chaosu zmieszanego z lękiem przenosi się też na grunt rodzinny?

Opisuje to teoria systemów: to, co się dzieje na jednym piętrze struktury, przenosi się w górę lub w dół. Czyli to, co wpływa na jednostkę, ma wpływ na to, co się dzieje w rodzinie. I podobnie: zachodzą wzajemne wpływy między rodziną a kontekstem społecznym, w którym żyje rodzina.

A więzi poluzowała nasza transformacja i kapitalizm, zabierający czas przeznaczony na budowanie relacji?

Zaś ponowoczesność zakwestionowała drogowskazy etyczne. W konserwatywnej wersji rodzic dziecku mówił, co dobre, a co złe, i karał, jeżeli dziecko nie trzymało się zasad. Czyli miał autorytet. Dzisiaj dziecko jest w świecie cyfrowym mądrzejsze od rodzica. W wirtualnej przestrzeni może znaleźć odpowiedzi na wszelkie pytania, już nie potrzebuje do tego mamy czy taty. Dawniej mądrości przybywało z doświadczeniem, a autorytet rodzica był wspierany jego praktyką i wiedzą o życiu. Dziś ten związek między wiedzą a władzą w relacjach rodzinnych został zachwiany, co ma

→

PROF. BOGDAN DE BARBARO

jest psychiatrą i psychoterapeutą, zajmuje się terapią rodzin.

Od czerwca w podkaście „Tygodnika Powszechnego” rusza cykl „Szkoła uczuć”, w którym Katarzyna Kubisiowska będzie go pytać właśnie o uczucia.



→ poważny wpływ na proces wychowawczy. Atrybuty rodzica zostały w pewnym stopniu unieważnione. W tym świecie bez wiarygodnych drogowskazów trudno się nastolatki poruszać, ponieważ wobec rówieśników musi się prezentować zgrabnie, modnie i silnie.

Ale drogowskazy, które dawniej dostawaliśmy od dorosłych, nieraz miały się z naszymi ambicjami. W moim pokoleniu karierę robiło jedno z zatrważających przykazań: „Siedź w kącie, a znajdą cię”. Nie wspominając o klasyku: „Dzieci i ryby głosu nie mają”.

Nawet jeżeli te drogowskazy były nietrafne, to były potrzebne do tego, żeby móc z nimi powalczyć i zbudować na sprzecznie własną tożsamość. Więc tu był materiał na jakiś pomysł rodzica i, nazwijmy to tak, anty-pomysł nastolatka. Odnoszę wrażenie, że dziś te dwa światy są tak od siebie odległe, że trudno o mosty, na których można by się spotkać, poprzeczać, a w końcu wzajemnie uszanować.

Co z uczuciem rodzicielskiej frustracji, zazwyczaj idącej w parze z bezradnością?

Jeśli bezradność jest stanem zatrzymania się, zebrania energii, poukładania myśli i ruszenia dalej, to można ją potraktować jako użyteczne doświadczenie. Choćby dzięki namysłowi nad tym, co się dzieje i jak to się stało. Dostrzeże-

nie i nazwanie różnych trudów może być krokiem rozwojowym.

Ale gdzie szukać rozwojowego kroku, kiedy człowiek czuje, że nic się nie da zrobić? Przykład: rodzic, mimo podejmowanych prób, nie jest w stanie pomóc dziecku uzależnionemu od opiatów.

Taki człowiek powinien zwrócić się do kogoś o poradę. Sprawa się komplikuje ze względu na to, że zostały zachwiane hierarchie i opinia seniorów rodu przestała być brana pod uwagę. Proszę też zauważyć, że pogubienie dotyczy obu stron, zarówno rodzic, jak i nastolatek mogą nie mieć sensownego pomysłu na to, jak rozumieć, co się dzieje, jak rozumieć siebie nawzajem i co robić, żeby się dogadać. Tworzy się sprzężenie zwrotne, którego istotą jest bezradność wobec tego drugiego. Ponadto dziś trudno o pomoc zewnętrzną. Duszpasterze też tracą u młodych autorytet, bo z powodu poważnych przewinień niektórych spośród nich dla wielu młodych stają się mało wiarygodni. Pozostają mądrzy przyjaciele, ale ich też ubywa, bo świat rywalizacji i prezentacji utrudnia budowanie życzliwej wzajemnej otwartości. Zostaje jeszcze psychoterapeuta, który dla wielu ludzi z różnych powodów, w tym finansowych, jest nieosiągalny.

Co więc zrobić?

REKLAMA

Szukamy Najlepszych z Najlepszych!



**Nauczyciel Roku 2024
i Nauczyciel Jutr@**
Można już
zgłaszać
kandydatów!

głosnauczycielski



Są jeszcze ośrodki opłacane przez NFZ, trwa praca nad reformą psychiatrii, przybywa ośrodków interwencji kryzysowych. Więc byłoby przesadą twierdzić, że rodzina, rodzice i młodzież są pozbawieni wszelkiej pomocy. A ponadto można też szukać odpowiedzi na własną rękę. Bo z jednej strony cyberświat jest pułapką, z drugiej: okazuje się pomocny. W sieci padają odpowiedzi na wiele trudnych pytań. Do tych odpowiedzi potrzebny jest pewien krytycyzm, ale jednak nie jest tak, byśmy musieli czuć się bezbronni w każdej sprawie.

Ryzykowne jest to, co Pan mówi.

Doceniam smartfona, doceniam to, co dobrego dają nam możliwości techniki XXI wieku. Ale kłopot w tym, że gdy jesteśmy zanurzeni w cyfrowym tyglu, to trudno o proste instrukcje w sprawach międzyludzkich. Wierzę, że w procesie wychowawczym i rozwoju młodego człowieka zasadniczą kwestią jest staranne dbanie o dynamiczny, bo zmieniający się z wiekiem dziecka, balans między wolnością i miłością. Dla rodzica kluczem może być uważność na te dwie nuty, przy czym wolności u młodego człowieka ma przybywać wraz z jego gotowością i umiejętnością współpracy oraz brania odpowiedzialności. To trudne, gdyż wymaga od rodzica umiejętności wsłuchania się w perspektywę dziecka. A inna jest przecież perspektywa dwulatka niż piętnastolatka. I jakże różne emocje im towarzyszą.

A samo uczucie złości u dorosłych? Proszę zwrócić uwagę, jak często jest ona tłumiona. Nawet poprawność polityczna – unikanie określeń dyskryminujących – bywa maską dla hipokryzji. Ludzie nauczyli się mówić plugawym językiem, nie używając stygmatyzujących wyrażań.

Mam dość życzliwy stosunek do tzw. poprawności politycznej. Bo wierzę, że ma sens szukanie języka, który jest dialogiczny, a więc nieagresywny, niewyższościowy, nieunieważniający. Często między ludźmi, także tymi, których łączą serdeczne więzi, dochodzi do kłótni. Jeśli to będzie tylko wybuch emocji, po którym osoby już „splukane z gniewu” są w stanie dojść do porozumienia, to w porządku. Ale jeśli kłótnie i spory zawierają epitety wyrażające pogardę czy nienawiść, grozi to nie tylko doraźnym zranieniem, ale także wzajemnym niszczeniem. Najbardziej użyteczny jest taki język, który wyraża wzajemny szacunek, potrafi zagadnienie problematyzować, unika wersji zerojedynkowej, dostrzega zalety spojrzenia drugiej strony.

Piękne, lecz rzadkie.

Nie ma sensu tłumienie złości, ale też nie jest obojętne, czy gniew lub irytację będę wyrażał poprzez zwierzenie się komuś z tego, co w danym momencie czuję, czy też unieważniając lub wyrażając nienawiść. Wersja „bądź autentyczny”

Doceniam smartfona,
doceniam to, co dobrego dają
nam możliwości techniki.

Ale kłopot w tym,
że gdy jesteśmy zanurzeni
w cyfrowym tyglu, to
**trudno o proste instrukcje
w sprawach międzyludzkich.**

nie zwalnia nas z poczucia odpowiedzialności za to, co z mojej autentyczności ma wynikać.

A sama złość?

Istnieją różne kanały, którymi agresja może się wylewać. Widzimy i słyszymy ją choćby na trybunie stadionu piłkarskiego, w internecie, ale też w tramwaju, gdy jedna osoba nie chcący potrąci drugą. Bardziej wysublimowane formy to np. propagowanie ideologii nacjonalistycznej. Można przecież coś nazwać patriotyzmem, przeżywać własny naród jako lepszy i wybrany oraz unieważniać tych, którzy myślą inaczej.

Internet obiega nagranie, w którym Brittany Pietsch, współpracowniczka firmy Cloudflare, pokazała, w jaki sposób została zwolniona z pracy. Na finał krótkiego spotkania powiedziała, że nie rozumie tego, co się dzieje: przełożony chwalił ją za wyniki, a teraz czuje, jakby firma, w którą wierzyła, wymierzała jej policzek. Na to osoba, która ją zwalniała, przejętym głosem powiedziała: „Absolutnie rozumiem, jak się czujesz i dlaczego się tak czujesz, ale nie powiemy nic, co zmieni twoje samopoczucie”.

Pani przytoczyła sytuację konfliktu i próbę jego rozwiązania. Zwierzchnik zwalnia pracownicę. Pytanie brzmi: jak to zrobić, żeby to było z najmniejszą traumą dla obu stron? Jedna strona w tej sytuacji musi przecież skrzywdzić stronę drugą.

Odwołam się do osobistego wspomnienia. Kilka lat temu, będąc kierownikiem katedry, musiałem jednemu z lekarzy odebrać pomieszczenie. Było to dla mnie bardzo przykre, jednak po rozważeniu za i przeciw oraz po rozmowach, które przeprowadziłem z innymi osobami, uznałem, że to będzie rozwiązanie słuszne i sprawiedliwe. Musiałem się pogodzić z tym, że pojawiła się sytuacja konfliktowa i wymagająca rozwiązania, i że muszę podjąć decyzję, która nie będzie dla wszystkich korzystna. Nie wyobrażam sobie życia bezkonfliktowego. Natomiast może być ważnym zadaniem, by z konfliktu nie robić dodatkowego narzędzia do wyrażania agresji.

Ale ja mówię o jeszcze czymś innym: o wyrafinowanej manipulacji, stwarzaniu złudzenia empatii, które sztucznie mają gasić emocjonalny pożar.

To jest skomplikowane. Bo z jednej strony, jeśli ktoś udaje empatię, to odbiorca takiej postawy łatwo taką grę rozszyfruje. Ale samo gaszenie emocjonalnego pożaru, jak to pani nazywa, może mieć sens.

Natomiast na pytanie, jak można sobie radzić z własną gniewną energią, odpowiedzi jest wiele. Być może najlepiej by było zacząć od namysłu: kto wie, czy ten mój gniew jest uzasadniony? Bo gdyby się przyjrzeć, jak on się zrodził, →

→ to może się okazać, że zasługuje na rozpuszczenie w uśmiechu pobłażania. Można też mieć w domu worek treningowy i na nim rozładowywać napięcia. Można sięgnąć po pędzle, blejtram i dużo czerwonej farby rozmazywać na płótnie z poczuciem, że unicestwia się w ten sposób nie tylko wroga, ale także rozładowuje się własny gniew.

Ale można też agresję wyrażać złośliwościami i uszczypliwościami. Jeśli coś takiego przemieni się w rutynę, stanie się groźne. Psychoterapeuta często zajmuje się tym, by człowiek, którego pozytywny autoportret został przez drugą osobę zakwestionowany i zdewastowany, potrafił go odbudować i poczuł swoją wartość. Lecz by ten proces zakończył się sukcesem, trzeba czasami sięgać głębiej, czyli do czasu dzieciństwa, w którym już miało miejsce jakieś unieważnianie.

Krzywdy zaznane w dzieciństwie nie bywają utudą? Vivian Gornick w eseju „Kobieta osobna i miasto” opisała sytuację, w której ma osiem lat i szykuje się na przyjęcie urodzinowe koleżanki. Nie dojdzie do tego, ponieważ jej mama w sukience, którą Vivian miała założyć, w miejscu serca wytnie kawałek materiału. Przez kolejne 50 lat Gornick wypomina matce to przy każdej okazji. Ta zaś utrzymuje, że nic takiego się nie zdarzyło. Aż pewnego dnia, blisko 60-letnia Gornick zrozumie, że cokolwiek wydarzyło się tamtego dnia, miało niewiele wspólnego z tym, jak to zapamiętała. I sama sobie stawia pytanie: urodziłam się po to, by wymyślać sobie krzywdy?

Psycholodzy nazywają takie przeżycie zafałszowaniem pamięci, false memory. Takie pseudo-wspomnienie jest obecne w pamięci jako coś realnego, podczas gdy faktycznie nie miało miejsca.

Wolelibyśmy o pamięci myśleć, że przy jej pomocy możemy wiernie odtwarzać przeszłość. Lecz ona często jest prze-

tracona przez traumy, oczekiwania, marzenia. Sądzę, że niejednemu z nas zdarzają się takie zafałszowania i nie należy tego traktować jako oszustwo czy urojenie. Zaś odnosząc się do sytuacji Vivian Gornick, to mógłbym postawić hipotezę, niezbyt się przy niej upierając, że to fałszywe wspomnienie miało fundament emocjonalny. Może ta dziewczynka była na inne sposoby krzywdzona emocjonalnie, a ostatecznie podświadomość przerobiła to na, jakże bogate w symbolikę, usunięcie jej serca.

I w ten sposób wracamy do roli emocji w naszym umyśle. Owo zafałszowanie pamięci to kolejny przejaw ich siły i znaczenia.

A nie chodzi tu i o to, że z pozycji ofiary można czerpać profity?

Nie znam szczegółów historii Vivian Gornick, więc nie odważę się iść w jakieś dalsze interpretacje. Ale faktem jest, że ktoś, kto niegdyś zaznał krzywdy, może z tego doświadczenia zrobić swego rodzaju okulary, przez które potem patrzy na świat. To nie jest cynizm ani manipulacja, która miałaby zmierzać do wspomnianych przez panią profitów. To raczej doświadczenie, które trwa i współkonstruuje bieżącą narrację. Więc nie ma sensu oskarżanie kogoś, kto czuje się skrzywdzony, że on kombinuje.

Ale zgadzam się z panią, że pozycja skrzywdzonego, paradoksalnie, może przynieść rodzaj ulgi. Kiedy ktoś czuje, że został skrzywdzony, to może stać się bezradny. A skoro tak, to należy mu się wsparcie i troska, nie ma powodu do szukania własnych rozwiązań. W umyśle kogoś, kto doświadczył niegdyś przemocy seksualnej, fizycznej lub psychicznej, w sposób naturalny trwa ta narracja: zostałem skrzywdzony. Potem zaś, jeśli za ową krzywdą nie dojdzie do zadośćuczynienia i sprawca nie zostanie ukarany, poczucie krzywdy będzie trwało i się pogłębiało. Dlatego tak ważne jest, by, mówiąc patetycznie, sprawiedliwości stało się zadość.






Szkota uczuć

Katarzyna Kubisiowska i Bogdan de Barbaro zapraszają na cykl rozmów o uczuciach – tych codziennych i niecodziennych, ekstatycznych i dojmujących, pojętych i niepojętych. Zawsze ludzkich.

Tylko w podkaście
Tygodnika Powszechnego



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
 FOT. GRAZYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH

Psychoterapeuta ma pomóc, by narracja krzywdy nie trwała jako interpretator aktualnych zdarzeń?

I by osoba, która niegdyś doznała krzywdy, mogła się wydobyć z tamtej traumy. Mówiąc metaforycznie: będzie to praca nad zdejmowaniem ciemnych okularów, które dzisiejsze neutralne sytuacje przemieniają w sytuacje krzywdzące.

Mając do czynienia w terapii z osobami niegdyś skrzywdzonymi, wiem, jak głęboka może być trauma doznana w dzieciństwie i jak trudnym zadaniem dla ofiary przemocy może być uwolnienie się od niej. Zwłaszcza że owa niegdyś trauma utrudnia dostęp do doświadczeń dobrych, rozwojowych, bo jako ślad tamtych zdarzeń trwa lęk przed bliskością i nieufność do ludzi.

Możliwe jest przeżycie dzieciństwa bez krzywdy?

Rodzic surowy, milczący, nieobdarowyujący dziecka miłością i troską to swego rodzaju krzywda dla dziecka, także wtedy, gdy będzie nieświadoma. Gdyby to pani pyta nie rozumieć w ten sposób, jak powinien rodzic się zachować, żeby dziecka nie krzywdzić, to odpowiedź jest przynajmniej teoretycznie prosta: powinien budować z dzieckiem bezpieczną więź. Jeśli zaś matka, ojciec czy opiekun nie potrafią tego robić, pojawia się pytanie o przyczyny tego stanu rzeczy. I odpowiedzi jest wiele: przyczyną mogą być własne traumy tego rodzica, bieżące stresy, konflikty, wreszcie jakaś niemożność emocjonalna spowodowana innymi przyczynami, przejawiająca się jakąś formą biernego agresji. Ale przecież nie musi tak być. Jest wielu rodziców pięknie kochających swoje dzieci.

Cokolwiek by było, dobrze jest, kiedy rodzice znają sytuację intelektualną, emocjonalną i etyczną swojego poste-

Niektórzy wyrażają
agresję złośliwościami
i uszczypliwościami.

**Jeśli coś takiego
przemienia się w rutynę,
staje się groźne.**

powania. I jeśli znają pułapki, jakie czyhają na ich miłość wobec dziecka. Ono musi mieć poczucie, że jest kochane. Musi czuć bliskość, ciepło, troskę. I rodzaj akceptacji bezwarunkowej. Co nie znaczy, że nie ma dostawać wyzwań czy zadań rozwojowych.

A co z bezwarunkową rodzicielską akceptacją, kiedy dziecko staje się dorosłe i popełnia na naszych oczach potężne błędy, np. krzywdzi żonę?

W każdej rodzinie ważne są granice międzypokoleniowe. Zadaniem małżonków jest zadbać o małżeństwo, a ingerencja rodziców tę granicę osłabia, co może pogłębić konflikt, budować jakieś dysfunkcyjne koalicje i dodatkowo nasilać konflikt. Rozumiem potrzeby rodziców, by czuwać nad małżeństwami ich dzieci, ale mało wierzę, żeby to mogło mieć w ostatecznym rachunku dobre skutki. Silny, niepoddawany refleksji związek między młodym małżonkiem a jego matką jest czynnikiem ryzyka dla małżeństwa.

Czyli rodzic ma się nie wtrącać?

Patrząc z boku na taką sytuację, można by powiedzieć: to pięknie, że między synem a matką trwa miłość. A jednak nie mam pewności co do tego, jakie motywy, te świadome i te przedświadome, kierowałyby rodzicem, gdyby zabierał się do naprawiania małżeństwa własnego dziecka. I obawiam się, że nic dobrego nie wynikłoby z ewentualnej ingerencji.

Opisana przez panią sytuacja dobrze ilustruje ważną prawdę: w życiu rodzinnym nie wystarczy dobra wola i deklaracje miłości. Potrzeba jeszcze wielu innych rzeczy, a zwłaszcza głębokiej świadomości własnych emocji. Więc piękna skądinąd dewiza św. Augustyna „Kochaj i rób co chcesz” wymaga problematyzowania.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński,
Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
Anita Piotrowska

Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński,
Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Klaudia Bień, Katarzyna Domin, Sylwia Frotow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Marzena Cora, Mateusz Chmielowski,
Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo,
Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Zumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu odpłatnej, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

STANISŁAW

Mancewicz: Mielonka



PRZEZ NAJBLIŻSZY ROK Z OKŁADEM NIE BĘDZIE w Polsce wyborów. Kolejne przyniosą wybór prezydenta RP. Można by optymistycznie mniemać, że będziemy mieć teraz nieco wytchnienia od hałasu towarzyszącego produkcji mielonki bez polepszaczy. Niestety:

wiemy, jak jest. Prezydencka kampania wyborcza ruszy łada dzień, a jej początek będzie o tyle osobliwy, że nazwiska kandydatów poznamy dużo, dużo później.

Wpływ na politykę kończącego drugą kadencję prezydenta powinien maleć. Im bliżej wyborów, tym rola prezydenta staje się coraz bardziej ozdobna. Jeździ sobie po festynach, zachwala demokrację, tnie wstęgi, wręcza ordery, ułaskawia tego i owego, bliższych lub dalszych kolegów oraz koleżanki. W przypadku p. A. Dudy mamy sytuację o tyle nietypową, że jego jakikolwiek wpływ na cokolwiek zawsze był mały.

Zanim wpływ p. Dudy już skrajnie zmaleje, wypada przez sekundę spojrzeć na aktywność polityczną i pozapolityczną, ale publiczną tego człowieka, w tym jego aktywność umysłową. Oto mamy nieodparte wrażenie, żeśmy ostatnie lata siedzieli na ciągnącym się spektaklu, którego akcja – gdyby ją ściśnąć – zmieściłaby się, owszem, w paru minutach, ale pan reżyser ją zapętlił. Spektakl się nam wlecz. Nie, nie chcemy tu wcale powiedzieć, że jest nudno. Co to, to nie. Jest w tym coś niezdrowo podniecającego, na granicy perwersji, że na okrągło oglądamy te same sceny, wysłuchujemy tych samych monologów i dialogów, patrzymy z niepokojem, a czasem z dezorientacją na te same srogie bądź słodkie minasy, miny i minki, że jesteśmy bezustannie na tym samym przedszkolnym poziomie analizowania rzeczywistości, historii i przyszłości, że słyszymy

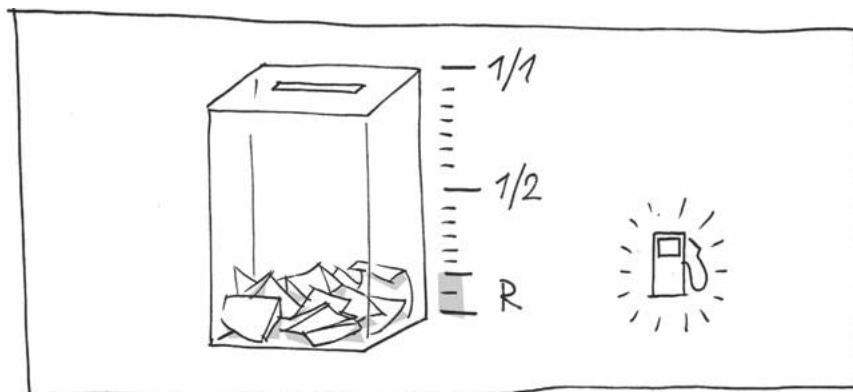
wciąż te same szokująco infantylne recepty zarówno na szczęście, jak i nieszczęście.

Chcemy z mocą stwierdzić, że co dzień, od początku pierwszej kadencji p. prezydenta Dudy, utrwala się nasze przekonanie, że nigdy i nigdzie, w żadnym kraju, człowiek tego typu, z taką umysłowością i sposobem komunikowania się z obywatelem, nie był prezydentem. Wciąż mamy niesłabnące wrażenie, że obserwujemy zabawę w prezydentowanie, że to kinderbal zorganizowany przez jednego pana, który płasza wraz z kilkomą roześmianymi kolegami, ubranymi w bluzeczki z napisem Red is Bad. Nawiasem, im dłużej i uważniej się temu wszystkiemu przyglądamy, tym częściej się zastanawiamy, czy aby urząd prezydencki w Polsce jest nam jakkolwiek do szczęścia potrzebny. Skłonni jesteśmy dziś stwierdzić, że jednak jest. Właśnie dlatego, że nikt w świecie nie dostaje podobnej nam rozrywki.

A więc kinderbal się powoli, ale nieubłaganie kończy. Z tej okazji pojawiają się pomysły i domysły, czymże były prezydent RP się zajmie. Zawsze tym wizjom towarzyszy spostrzeżenie, że jest człowiekiem stosunkowo młodym jak na emeryta, więc – to chyba domysł – może robić wszystko. Formalnych ról i propozycji świat dla byłych prezydentów ma niewiele. Można zostać wykładowcą renomowanego uniwersytetu, doradcą w poważnych sprawach, rozjemcą międzypaństwowych konfliktów, a wszystko to są zajęcia słusznie płatne. Można też zostać tzw. autorytetem, rzecz jasna w pewnych sytuacjach pobierającym honorarium, a w innych robiącym to *pro bono*. I to by było na tyle, bowiem wyobrażenie sobie, że b. prezydent kraju ma np. zakład świadczący usługi elektryczne bądź wypożyczalnię sprzętu narciarskiego, nie przychodzi nikomu do głowy. To by uwłaczało godności kraju.

No więc, mówiąc prosto z mostu, nie wydaje nam się, żeby z tej puli coś pasowało do p. prezydenta Dudy. Być może jest to kwestia marnej wyobraźni, ale zobaczenie go w roli profesora wizytującego w jakiejś innej uczelni niż owej w Toruniu przekracza nasze możliwości. Podobnie wyobrażenie go sobie jako mentora w gronie zagranicznych ekspertów od czegokolwiek. Słowem: przed nami ciekawe czasy, pełne zagadek, w rozwiązywaniu których będzie nam przeszkadzać rytmiczny łomot towarzyszący produkcji politycznej mielonki bez polepszaczy. ©

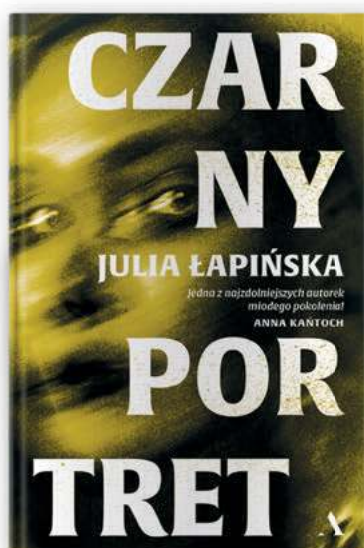
BARTOSZ MINKIEWICZ



PALIWO DEMOKRACJI



Gęsta od emocji, nastrojowa historia zauroczenia, któremu nie wolno ulec.



Co łączy morderstwo w pomorskim hotelu z Lebensbornem i zaginionymi w czasie II wojny światowej obrazami?



Oto Izrael jakiego nie znacie. Fascynująca opowieść o tym jak, kiedy i dlaczego powstała izraelska mafia.



Mądre i praktyczne podejście do kłopotliwego tematu, jakim są pieniądze.



Wielopokoleniowa podróż w kierunku lepszego życia



Wydawnictwo
Agora

Wakacje są zawsze po to, by odpocząć. By zwolnić, przyjrzeć się czemuś nowemu, wyjść poza granice swojej codzienności. By zatrzymać myśli.

W tym zatrzymaniu myśli nasze nowe wydanie specjalne będzie dobrą pomocą.

– Michał Okoński, redaktor „Tygodnika Powszechnego”



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAZYNA MAKARA

**Wydanie Specjalne „Tygodnika Powszechnego”
w dobrych miejscach z prasą**